

NAOKOLO ŚWIATA

CEBETHNER I WOLF

N^o

13



2.50

Rozpoczynając w roku 1925-ym 66 rok swego istnienia

TYGODNIK ILLUSTROWANY

pod redakcją ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

*DAŻYĆ BĘDZIE STAŁE DO PODNIESIENIA LITERACKIEGO
I ARTYSTYCZNEGO POZIOMU PISMA*

Rozszerzając wraz z życiem kręgi swoich zainteresowań, obok zwykłej treści czerpanej z bogatych źródeł polskiej nauki, literatury i sztuki, „TYGODNIK ILLUSTROWANY” rozszerzy dział aktualności, ilustrując ją słowem i zdjęciami fotograficznymi tak, aby dała ona całokształt wszystkich ważniejszych wydarzeń w kraju i zagranicą. W tym celu „TYGODNIK ILLUSTROWANY” zwiększy w r. 1925 swoją objętość, co da mu także możność szerszego i bogatszego ilustrowania utworów beletrystycznych. Rozumiejac, iż czytelnictwo w Polsce oprócz się musi na dziełach o stałej, nieprzemijającej wartości literackiej, a biblioteka domowa powinna zawierać przynajmniej arcydzieła piśmiennictwa polskiego, „TYGODNIK ILLUSTROWANY” rozpoczął w roku ubiegłym wydawnictwo dzieł Bolesława Prusa i nadal w roku 1925 przesyłać będzie prenumeratorom swoim

PISMA BOLESŁAWA PRUSA

Jako dodatek bezpłatny

Chcąc odpowiedzieć zainteresowaniom czytelników, które idą w kierunku egzotyki, podróży, wynalazków i postępów nauki, „TYGODNIK ILLUSTROWANY” dołączać będzie w roku 1925 tak, jak dotychczas, wszystkim prenumeratorom swoim miesięcznik ilustrowany, pod tytułem

NAOKOŁO ŚWIATA

pod redakcją znanego podróżnika i powieściopisarza
FERDYNANDA GOETLA

W przeświadczeniu, że sport w wychowaniu fizycznym młodych pokoleń odgrywa coraz wybitniejszą rolę i stanowi osobną dziedzinę życia, domagającą się coraz szerszego traktowania, „TYGODNIK ILLUSTROWANY” wysyła i nadal wysyłać będzie prenumeratorom swoim z każdym numerem pisma

PRZEGLĄD SPORTOWY

Uznając nadto, że każdy czytelnik powinien być dokładnie obznajomiony z ruchem wydawn. polskim i obcym, TYGODNIK ILLUSTROWANY” wyjednał dla swoich prenumeratorów 25% zniżkę w prenumeracie dwutygodnika

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

Łączna prenumerata „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO” wraz z Pismami Bolesława Prusa, miesięcznikiem Naokoło Świata i tygodnikiem Przegląd Sportowy wynosi w Warszawie kwartalnie 20 Zł., z przesyłką 21 Zł. 50 gr. Miesięcznie 7 Zł., z przesyłką 7 Zł. 50 gr. Prenumeratę przyjmują: administracja „Tygodnika Ilustrowanego” Warszawa, ulica Zgoda 12, jak również wszystkie księgarnie w Warszawie i na prowincji, oraz kioski Towarzystwa Księgarni Kol. „Ruch”



Wyścig na żółwiach.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Nadchodzi wiosna, a z nią słońce, do którego wszyscy wzdychaliśmy, i które taki dobroczynny wpływ wywiera na całą naturę. Niestety! Dla nas, poza opalenizną, grożą nam piegi, którą mogą zeszpecić nawet najładniejszą cerę. Nic dziwnego, że istnieje masa środków, usuwających tę wadę cery nie wszystkie jednak są dobre i odpowiadają swojemu przeznaczeniu. Jako jeden z lepszych środków, polecam tutaj krem „Preciozę”, który wypróbowałam od szeregu lat, i śmiało mogę go polecić, jako pewny i nieszkodliwy. Krem „Precioza” usuwa nie tylko piegi, ale nawet żółte plamy wątrobiane. Nabywać go można we wszystkich pierwszorzędnych drogerjach i perfumerjach.

M-me ERCEDES

Skład główny: Warszawa, Perfumerja Perfection, Szpitalna 10.

WYDAWNICTWO
KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
NAOKOŁO ŚWIATA

POD NACZELNĄ REDAKCJĄ FERDYNANDA GOETLA

Jest pismem pierwszorzędnie i bogato ilustrowanem, na którego treść składają się opisy podróży, literatura egzotyczna, artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, obszerny dział beletrystyczny, przegląd humoru, rozrywki umysłowe i t. d.

MIESIĘCZNY NAKŁAD NAOKOŁO ŚWIATA PRZEWYŻSZA
25,000 EGZEMPLARZY

co umożliwia dostarczanie czytelnikom pierwszorzędnego i ciekawego materiału w wytwornej i pięknej formie.

KAŻDY NUMER NAOKOŁO ŚWIATA ZAWIERA NA 200 PRZESZŁO SZPAL-
TACH OKOŁO 8,500 WIERSZY DRUKU I 100 ILUSTRACYJ

Każdy numer stanowi zamkniętą w sobie całość.

ILUSTRATORAMI „Naokoło Świata” są następujący artyści:

M. BEREZOWSKA, K. GRUS, JAN HOLEWIŃSKI, K. MACKIEWICZ, B. NOWAKOWSKI, PROF. SIESTRZENCEWICZ, F. SIĘDLECKI, PROF. WŁAD. SKO-
CZYLAS, K. SOPOČKO, J. TOM, M. WALENTYNOWICZ, J. WOŁYŃSKI I INNI.

STAŁĄ OBSŁUGĘ FOTOGRAFICZNĄ STANOWIĄ:

ST. BRZOSOWSKI, CHUSSEAU-FLAVIENS, J. GRAUDENZ, J. MALARSKI,
Z. MARCINKOWSKI I J. RYŚ.

Adres Redakcji i Administracji miesięcznika „NAOKOŁO ŚWIATA”

Warszawa Zgoda 12. Telefon 122-14. (Telefon ekspedycji 104-32)

FILJE REDAKCJI:

*w Paryżu, Gebethner & Wolff 5, Rue du Cherche Midi;
w Londynie W. C. I. The Penn Club 9 Tavistock Square*

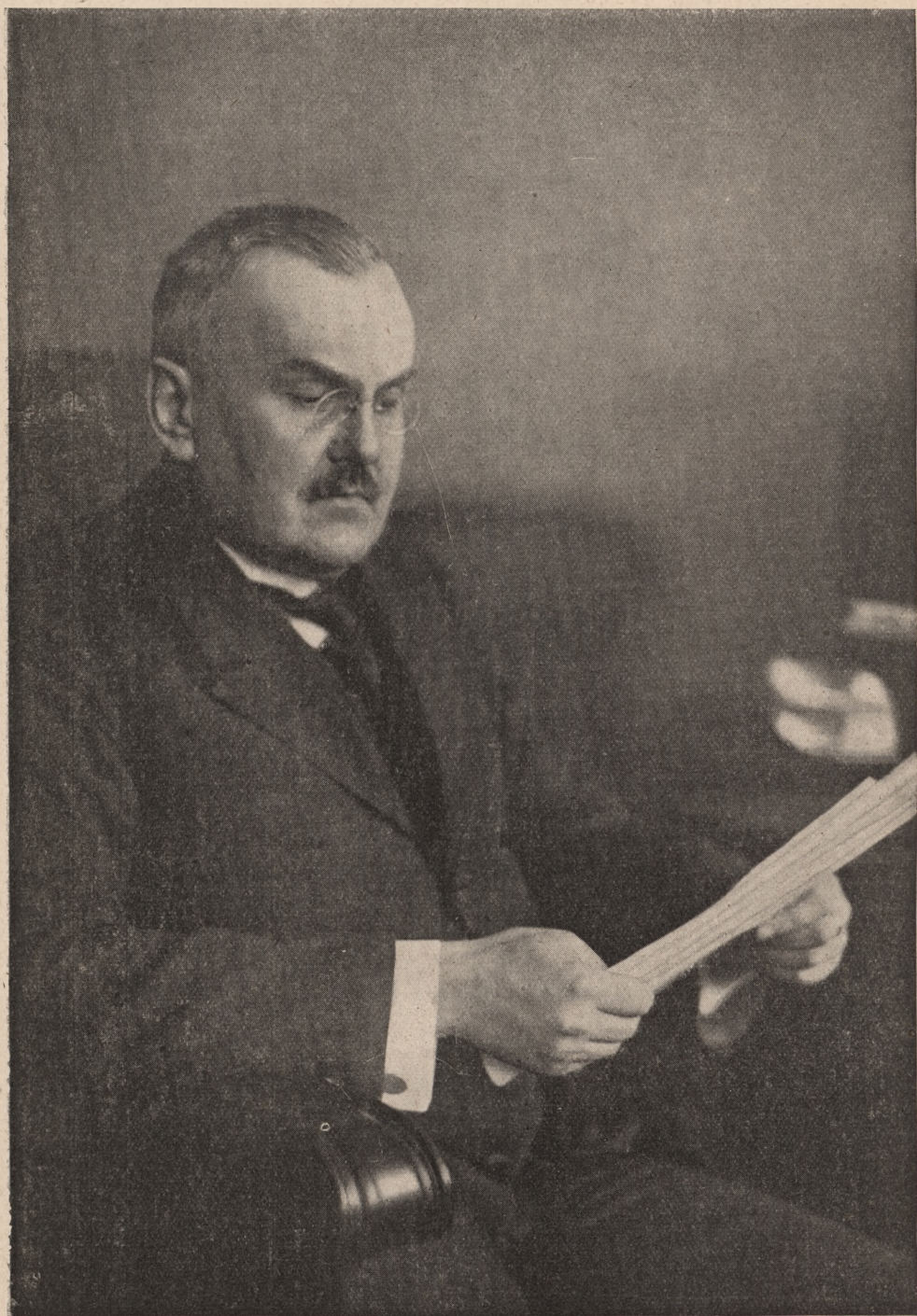
Cena numeru w kolorowej trójbarwnej okładce 2 zł. 50 gr.

PRENUMERATA kwartalna (za trzy numery z przes. poczt. w polec. opasce) 6 zł 50 gr.

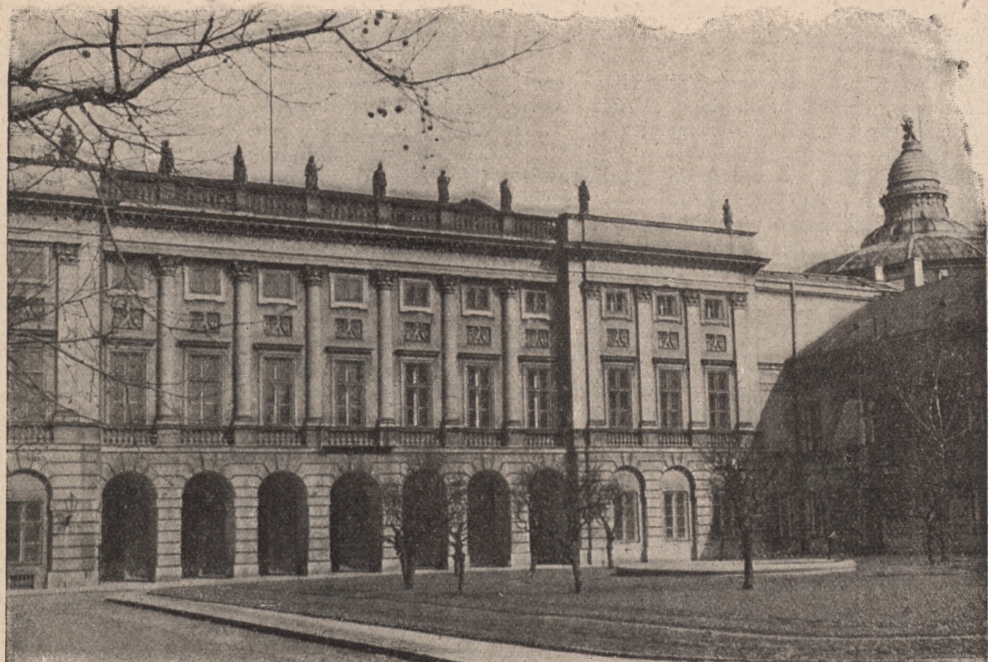
Cena okładki płóciennej na tom czterozeszytowy 2 zł 50 gr.

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie (prócz niedziel i świąt) od godziny 1 do 3-iej.





Prezes Rady Ministrów i Minister Skarbu, Władysław Grabski



Pałac Rady Ministrów

Dzień premiera Grabskiego

(Jak pracuje rząd?)

(Fotografie specjalnie dla Naokoło Świata wykonał Jan Ryś)

ZYCIORYS P. WŁ. GRABSKIEGO.

Urodzony 1874 roku 7 lipca w Borowie. Ukończył gimnazjum V-te w Warszawie w 1891 roku.

W Paryżu ukończył szkołę nauk politycznych z drugim odznaczeniem w 1893 r.

W Paryżu ukończył studia historyczne w Sorbonie z dyplomem „Certificat d'études supérieures”, przedstawiając tezę „La decadence de l'institution des missi dominici” w 1894 r.

Uczęszczał w 1896 r. po odbyciu praktyki rolniczej w 1895 r. na dwa semestry rolnicze w Halle. W 1896 r. objął po śmierci ojca gospodarstwo w rodzinnym majątku. Go-

spodarował, zajmował się pracą społeczną i pisał książki.

Napisał i wydał:

1) „Historję Towarzystwa Rolniczego” w dwóch tomach, z których pierwszy poświęcony historii sprawy włościańskiej w b. Królestwie Polskiem w pierwszej połowie XIX stulecia do uwłaszczenia. Za tę pracę otrzymał nagrodę Akademii Krakowskiej.

2) Materiały w sprawie włościańskiej w trzech tomach, z których pierwszy pisany w więzieniu rosyjskiem (w 1906 r.), trzeci w niemieckiem (1918 r.).

3) Stosunki służbowo-robotnicze w jednym tomie.

4) Roczniki statystyczne Królestwa Pol-

skiego za 1913, 1914 i 1915, z których dwa pierwsze w Warszawie, a ostatnie w Petersburgu.

5) Ekonomję rolniczą drobnych gospodarstw w dwóch wydaniach. Prócz tego, liczne broszury rolniczo-ekonomiczne.

W pracy społecznej:

Dał inicjatywę do założenia stacji rolniczej doświadczalnej w Kutnie — trzecią z rządu w Królestwie po Sobieszynie i Chojnowie i do zaprowadzenia przy tej stacji pierwszej w kraju kooperatywnej fabryki drewn pod nazwą „Spójnia”.

Założył i prowadził jedno z pierwszych kółek rolniczych w Królestwie w Bocheniu, w Łowickiem, oraz mleczarnię współdzielczą w tejże miejscowości, a w Łowiczu spółkę handlową włościańską udziałową kooperatywną.

Był sekretarzem sekcji rolnej w fazie poprzedzającej utworzenie Centralnego Towarzystwa Rolniczego, a w tem ostatniem był członkiem czynnym zarządu.

Był organizatorem i dyrektorem działu ekonomicznego biura pracy społecznej w fazie przedwojennej tej instytucji. Tutaj rozwinął akcję o powszechnem nauczaniu oraz Wydawnictwo Rocznika Statystycznego.

Był założycielem, kierownikiem, wiceprezesem, a później prezesem Centralnego komitetu obywatelskiego, powstałego w 1914 r. dla ratowania kraju od klęsk wojny i prowadził tę instytucję na wygnaniu w Rosji w latach 1915—1918.

W zakresie politycznym:

Był posłem z Ziemi Warszawskiej do I, II i III „dumy” rosyjskiej. Do IV mandatu przyjąć nie chciał, poświęciwszy się pracy w Biurze Pracy Społecznej i wycofując się z polityki do życia społecznego.

W „dumach” rosyjskich był referentem budżetu ministerstwa rolnictwa. Opracował wnioski o samorządzie dla Królestwa i o reformie podatków.

W 1906 r. był więziony przez władze rosyjskie za agitację narodową wśród włościan swego powiatu, po trzech tygodniach wypuszczony.

W 1918 r. był więziony przez władze okupacyjne niemieckie zaraz po powrocie swoim z Rosji i trzymany w Modlinie przez 6 miesięcy aż do czasu upadku potęgi niemieckiej.

Zaraz potem został powołany na ministra rolnictwa w listopadzie 1918 r. w gabinecie Świeżyńskiego.

Do Sejmu został wybrany posłem z okręgu łowickiego, sochaczewskiego, skierniewickiego, rawskiego.

Następnie w 1919 r. został przewodniczącym Głównego Urzędu Likwidacyjnego.

A w 1919 r. delegatem pełnomocnym na konferencję pokojową w Paryżu i poświęcił się wyłącznie sprawom odszkodowaniowym

i ekonomicznym, obejmując też katedrę w Uniwersytecie i w Szkole gospodarstwa wiejskiego.

Stanowisko ministra skarbu objął p. Wł. Grabski po raz pierwszy w dniu 13 grudnia 1919 r. i zajmował je do dnia 25 listopada 1920 r. w gabinecie Skulskiego, własnym i Witosa. Po raz wtóry objął tę funkcję ministra skarbu w dniu 13 stycznia 1923 r. i piastował ją do 1 lipca 1923 r. w gabinecie Sikorskiego i Witosa. Obecnie ministrem skarbu jest w gabinecie własnym od 19 grudnia 1923 r.

Stanowisko premjera zajmuje p. Wł. Grabski po raz wtóry. Pierwszy jego gabinet o charakterze przejściowym trwał od 23-go czerwca 1920 r. do 24-go lipca 1920 r. Obecnie na czele rządu stoi p. Wł. Grabski od 19 grudnia 1923 r.

* * *

Ileż razy zadajemy sobie pytanie jak może podołać wszystkim swoim obowiązkom p. Władysław Grabski, będąc jednocześnie prezesem ministrów i ministrem skarbu?

— Żyję bardzo regularnie, — mówi o swym dniu p. premjer — i to stanowi tajemnicę mej pracy.

Istotnie, już o godzinie siódmej i pół rano szef rządu wstaje. Po spożyciu śniadania, w czasie którego przegląda ranne dzienniki, pun-



W. Sarjusz-Wolski

Godz. 8 m. 29. Premjer opuszcza swe prywatne mieszkanie.



*P. Wł. Grabski w otoczeniu swych najbliższych współpracowników z Ministerstwa Skarbu
Od lewej strony: pp. Kauzik, Markowski, Głowacki, Dzierżowski, Widomski, Klarner, Kubala i Zaczek*

ktualnie o godz. 8 m. 29 wychodzi z mieszkania nr. 4 przy ul. Brackiej 13, trzymając pod pachą teczkę, tak, że gdy bije wpół do dziewiątej, jest przed bramą.

Tu czeka samochód. Auto mknie ulicami Bracką, Szpitalną, Mazowiecką, placem Małachowskiego i Saskim poprzez Wierzbową i Senatorską na ul. Rymarską do ministerstwa skarbu. Przejazd ten odbywa się w ciągu pięciu minut. W drodze przejeżdżającego premjera salutują posterunkowi policjanci. Do gmachu przy ul. Rymarskiej wciska się ciżba ludzi: to urzędnicy i urzędniczki, śpieszący do pracy, — jest ich około 450 osób; wśród tego tłumu znajduje się też p. minister skarbu. Ustępując miejsca paniom, szybko wymija on urzędników i już o godz. 8.37 jest w swoim gabinecie.

Tu oczekuje nań sekretarz, dr. Byszewski. Cichym, przytłumionym głosem raportuje on swemu ministrowi pocztę, interpelacje sejmowe, wyszczególnia delegacje, które pragną tego dnia być przyjęte, wręczając równocześnie korespondencję prywatną, która do ministerstwa nadeszła i nie jest otworzona.

Po sakramentalnem „dziękuję“, sekretarz bez szmeru opuszcza gabinet. Premier szybko przegląda zostawione papiery; wzywa raz jeszcze sekretarza i wydaje mu polecenia.

— Panu N. proszę odpisać, że nie ja zajmuję się wydawaniem ulgowych paszportów, interpelacje sejmowe proszę skierować do p. wiceministra Markowskiego i dyr. Kauzika, delegację zacząć przyjmować od g. 11, za kwadrans rozpoczynam konferencję z wiceministrami i dyrektorami departamentów — rzuca rozkazy.

Co czyni p. Władysław Grabski w ciągu tego kwadransu? Zatapia się w studjowaniu codziennego raportu giełdowego wykazu żyrowego w centralnych kasach państwowych, sprawozdania walutowego Banku Polskiego, Pocztowej Kasy Oszczędności, Banku Gospodarstwa Krajowego i t. d. Codzienne te wykazy informują ministra skarbu, w jaki sposób aprowiduje się kasy państwowe, jakie uczyniono wydatki, dotacje, zwykłe lub nadzwyczajne, z drugiej zaś strony ile nadwyżek wpłynęło do kasy państwowej. Wykazy te da-

ją pojęcie o saldzie i pozwalają śledzić stan skarbu państwa.

— To moje najczulsze barometry — mówi o nich premier.

Wręczane premierowi wykazy mają za zadanie codzienne przedstawianie stanu rozprawiania srebra i bilonu zdawkowego, dają pojęcie o dokonanych dnia poprzedniego skupie walut w poszczególnych oddziałach Banku Polskiego, zawierają dane o wszelkich wydatkach państwowych na urzędy, propagandę, giełdy w kraju i zagranicą.

Z tych codziennych wykazów powstają dekadowe wykazy o państwowych wydatkach i dochodach w bankach państwowych i poszczególnych resortach ministerjalnych. Potem miesięczne, potem budżety roczne. Ze szczególnym pietyzmem premier bada dane, dotyczące stanu bezrobocia i raporty o dochodach kolei.

Po przestudjowaniu tych wszystkich dokumentów premier może już wydać zarządzenia co do głównych posunięć finansowych państwa.

Może, ale nie czyni tego. Rozprawdza natomiast przejrany materiał po teczkach, które już p. sekretarz przygotował. Jest ich jedenaście. Okładki z brązowej tektury i białe naklejki. A na nich ręką premjera wypisane: „prezydjalny, Klarner, Zaczek, ekonomiczny, Markowski, podatkowy, monopolowy, cel, obrotu pieniężnego, kasa“. Za chwilę kolejno zjawiać się zaczną panowie, których praca jest zawarta w tych teczkach, tak niepozornych, a tyle znaczących. Przyjrzyjmy się temu najbliższemu sztabowi skarbowemu p. Władysława Grabskiego.

* * *

Starszy, szpakowaty pan w binoklach. Raczej niskiego, niż średniego wzrostu, wybitny skarbowiec, był dyrektorem banku, obecnie podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu, p. Czesław Klarner, żywo gestykulując, referuje premierowi sprawy wszelkich pożyczek wewnętrznych i zewnętrznych, informuje o stanie prac sejmowych komisji skarbowej i budżetowej, w których zazwyczaj zastępuje p. Wł. Grabskiego.

* * *

Dyrektor departamentu prezydjalnego p. Stanisław Kauzik jest uważany za jednego z najbardziej utalentowanych współpracowników szefa rządu. W ministerstwie skarbu zajmuje to stanowisko, na które każdy nowy minister powołuje „swojego człowieka“. Musi to być urzędnik całkowicie oddany swemu szefowi, musi posiadać całkowite jego zaufanie, jest bowiem najbliższym współpracownikiem ministra.

P. Kauzik urzęduje wprawdzie w ministerstwie skarbu, ale zakres jego wpływów wychodzi znacznie poza ul. Rymarską. Obejmuje on parlament, prasę, załatwia sprawy wynikające ze stosunku ministerstwa skarbu do Prezydenta Rzeczypospolitej, rady ministrów, innych ministerstw, urzędów centralnych i delegatur zagranicznych.

Wśród gorących dni parlamentarnych, gdy klęska wotum nieufności wisi nad rządem, spotkanie w kuluarach p. Kauzika, uwijającego się między posłami. Przyjrzyjcie mu się z bliska. Młody, przystojny, o jasnej czuprynie i niebieskich oczach, nie wygląda na polityczną rękę szefa rządu.

Zamieńcie z nim jednak kilka słów, a przekonacie się, że lotny jego umysł posiada dziennikarską zdolność „fotografowania“ sytuacji.

Wczoraj czytaliście w dziennikach, że te a te kluby postanowiły obalić w komisji sejmowej przy rozpatrywaniu jakiejś tam ustawy ministra NN.

Postanowienie nieodwołalne. Nazajutrz w sejmie zjawia się p. Kauzik, konferuje z jednym i drugim przywódcą. I ministra się nie obala.

Często w budżetowej i skarbowej komisji sejmu ten i ów poseł opozycji zgłosi niespodziewanie wnioszek antyrządowy. Za późno na rokowania kuluarowe. Zdaje się, że za chwilę stanowisko rządu nie zyska większości. P. Kauzik dyskretnie wymyka się z posiedzenia komisji, łączy się telefonicznie z ministrem skarbu. Ten zjawia się w sejmie w ciągu pięciu minut, i mówi krótko:

— Jeżeli panowie chcą, aby było inaczej, proszę, ale niechaj się to odbędzie bezemnie.

I Komisja się cofa, i rząd wygrywa.

A stosunki z prasą? Min. skarbu nie zada-

walnia się wyłącznie działalnością swego biura prasowego, na którego czele stoją dwaj wytrawni dziennikarze, pp. Wilamowski i Polak, nie ogranicza się wyłącznie do rozsyłania codziennego biuletynu informacyjnego.

Dyrektor departamentu prezydjalnego utrzymuje z redakcjami i dziennikarzami stosunki osobiste. Jest to bardzo ważne, zwłaszcza w okresie wzmożonego wpływu prasy na społeczeństwo. Codzienne konferencje premjera z p. Kauzikiem obejmują też głównie stosunki polityczno sejmowe i trwają co najmniej pół godziny.

Następnym z kolei rozmówcą p. ministra jest sekretarz komitetu ekonomicznego, p. Widomski, zewnętrznie typowy szlagon. Opiniuje on w sprawach gospodarczych innych ministerstw, omawia główne posunięcia w dziedzinie uregulowania kryzysu gospodarczego i ujemności bilansu płatniczego i handlowego.

— Bilans ten jest w bieżącym roku ujemny — mówi nam p. Wł. Grabski. — Trzeba też wszystko zrobić, aby nie zachwiał on równowagi budżetowej. Śledząc codzienne wykazy walut, naszą statystykę celną w dziedzinie importu i eksportu, doszedłem do przekonania, że już najwyższy czas, aby przystąpić do naprawienia bilansu.

Po chwili zjawia się w gabinecie ministra dyrektor departamentu obrotu pieniężnego, p. Kubala. Departament jego składa się z 5 wydziałów: środków płatniczych, dewizowego, bankowego, rady spółdzielczej i kredytowego.

Omawia on z premierem sprawy monetarne, oszczędności, obrotu wekslowo-czekowego, sprawy nieskonsolidowanego długu państwowego, zadłużenie w instytucjach kredytowych, zobowiązania skarbu krótkoterminowe i a vista, ustawodawstwa walutowego i skarbu narodowego.

Departament obrotu pieniężnego jest bodaj najważniejszym w min skarbu. P. Kubała jest

też bardzo bliskim doradcą skarbowym p. Wł. Grabskiego.

Pp. Kubala, Kauzik, Widomski, łącznie z wiceministrem Klarnierem stanowią tak zw. „mały komitet“ doradców obecnego ministra skarbu.



Sala biblioteki w gmachu Ministerstwa Skarbu przy ul. Rymarskiej

Z kolei zjawia się w gabinecie p. Zaczek, dyrektor departamentu budżetowego.

P. Zaczek konferuje z premierem głównie w sprawach wydatków państwowych i oszczędności. W jego też ręce przechodzi znaczna część codziennych raportów. Opuszczają brązową tekę tekturową, wędrują do notatek, z których ma powstać budżet.

— Budowa budżetu — oświadczył p. Wł. Grabski naszemu współpracownikowi — to ustawiczna możność regulacji w dziedzinie dochodów i kompresji w zakresie wydatków. Budowa budżetu, to notatki z codziennego trzymania ręki na pulsie życia państwa. Materiał do budżetu, one nam właśnie dostarczają. „Barometry skarbowe“, znajdujące się na mem biurku (tak premier nazywa teki, o których wspominaliśmy), notują codziennie prawie wszystko, co jest potrzebne do zbudowania budżetu. Trwałość jego to nie wnioski resortowe, lecz zamknięcia budżetowe i budżety miesięczne — wyjaśnia minister.

Następnie przychodzi kolej na dyrektora departamentu podatkowego i opłat, p. Czechowicza, dyrektora departamentu akcyzy i monopolu, p. Głowackiego, dyrektora departamentu ceł, Dzierżgowskiego i dep. kasowego p. Czauderę.

Ale nie na tem koniec.

Minister przyjąć musi jeszcze dyrektorów samodzielnych jednostek skarbowych, jak monopolu spirytusowego i tytoniowego, pp. Ostrowskiego-Belzę i Podkomorskiego. Często też konferuje z dyrektorami banków państwowych, pp. Karpińskim, Steczkowskim i Szymanowskim. A ile razy zjawiają się w ministerstwie ministrowie resortowi!

Raz na tydzień odbywają się pod przewodnictwem p. Grabskiego konferencje ze sferami gospodarczemi, raz na tydzień w sprawie wzmoczenia ruchu budowlanego, raz na tydzień komitet ekonomiczny rady ministrów, i tak bez końca.

Wszystko to załatwia premier do południa, aby przy picu herbaty móc przy pomocy swego nieodstępnego sekretarza, p. Byszew-

skiego, rozsegregować otrzymane materiały i wyznaczyć im dzień rozstrzygnięcia.

*
*
*

W południe rozpoczynają się audjencje. Zgłaszają się delegacje zrzeszeń i poszczególne osobistości. Zazwyczaj zwierają się one premierowi ze swych zapatrywań na obecną sytuację gospodarczą, żalą się na drożyznę, na podatki, na brak gotówki.

Wygodnie rozlokowany w fotelu, minister słucha dezyderatów, często potakuje, co widząc delegaci, reasumują krótko:

— Czyby rząd nie zechciał przyjść z pomocą finansową?

Wówczas minister ożywia się, podnosi głowę, i równie krótko, ale delikatnie mówi:

— Nie!

Punktualnie o godz. 1-ej, minister po krótkiej, powtórnej rozmowie z p. Kauzikiem, dzień swej pracy w ministerstwie skarbu zamyka.

Wraca do domu, gdzie oczekują nań z obiadem pani Władysławowa Grabska oraz trzech synów, dorosłych już, dzielnych, młodych ludzi.

Premjer jest dobrym mężem i dobrym ojcem. Stosunki rodzinne w jego domu są nie tylko patriarchalne, ale przede wszystkim serdeczne. Nieraz też w ciągu godziny obiadowej, szuka on rady u swej małżonki w trudnych i zawiłych sprawach życiowych.

Ale ma i innych doradców, cichych i dyskretnych, po prostu tajemniczych. Jak każdy mąż stanu. Przed audjencjami, spotkać możecie wychodzącego z gabinetu premjera, nie tylko wysokiego urzędnika ministerstwa skarbu, ale i wielkiego uczonego i wybitnego publicystę.

Szczęściem dla tych, może przypadkowych doradców, nie jest z pewnością wysoki tytuł ministra, o który się nie ubiegają, ale to, że ich rada wysoko, u szczytu myśli państwowej błyszczy.

O godz. 2 m. 30 p. Wł. Grabski „przestaje być” ministrem skarbu, — przybywa na Krakowskie Przedmieście do pałacu rady ministrów, aby rozpocząć urzędowanie, jako premier.



Fragment wnętrza z gmachu prezydium rady ministrów



„Sala zielona” w gmachu Rady Ministrów



Gabinet premjera

Wejdźmy za nim.

Przez poczekalnię dostajemy się do sekretariatu premjera. Za biurkiem dwaj sekretarze, pp. Stanisław Angerman i Bronisław Legieżyński, którzy przetrwali wszystkich premierów i wszystkich dobrze znają. Ludzie dobrze ułożeni, sympatyczni, dyskretni, tacy, jakimi winni być prezydjałści. Nic ich nie obchodzi barwa rządu. Doskonale wywiązują się ze swych obowiązków zarówno przy prof. Ponikowskim jak i przy p. Witosie, czy generale Sikorskim.

Za chwilę, po zameldowaniu, dostajemy się poprzez podwójne drzwi do gabinetu premjera. Siedzi za biurkiem i wertuje stos dzienników krajowych i zagranicznych. Przygotował mu je szef wydziału polityczno-prasowego w prezydium ministrów, p. Adam Romer. Wielki to zaszczyt dla dziennikarza, jeżeli jego praca, zakreślona czerwonym ołówkiem, znajdzie się na biurku prezesa rady ministrów.

— P. premier wciąż zapracowany...

— Pracuję znacznie mniej, niż mnie o to sądzą. A przykro mi, że publiczność, mnie dodając, ujmuje zasługi pracy urzędnikom. Urzędnicy zaś wogóle, a zwłaszcza urzędnicy wyżsi, pracują bardzo wiele. Często od 8.30 rano, nietylko do 3 i pół., ale do późnego wieczora. Zaszczytem jest dla mnie, że o sobie mogę powiedzieć, iż pracuję tyle, ile oni. Prasa sprawiałaby mi wielką radość, gdyby tę ciężką, codzienną pracę urzędnika podkreśliła — tak mówił nam p. prezes ministrów.

Jeżeli mowa o prasie, trudno, abyśmy nie zapytali p. Wł. Grabskiego o stosunek do niej.

— Zawsze przywiązuję doniosłe znaczenie roli prasy w społeczeństwie. Uważam, że rząd powinien służyć prasie ściśle i wyczerpującymi wiadomościami. Stosunek zaś rządu winien być niezależny od stosunku prasy do rządu. Współpraca i informowanie, to mój program dziennikarski — mówi premier.

Po chwili zjawia się w gabinecie sekretarza prezydjalny i, wręczając p. prezydentowi pocztę, komunikuje porządek audjencji, o które poprzedniego dnia poszczególne osobistości już się postarały. Są to głównie przedstawiciele świata politycznego, dyplo-

maci, postowie, senatorzy, ministrowie i t. d.

Przed rozpoczęciem audjencji premier przyjmuje podsekretarza stanu w prezydium rady ministrów, p. Studzińskiego, w sprawie programu dnia. P. Studziński jest to typ doskonałego urzędnika i jego też zadaniem jest ciągłość i systematyczność prac rady ministrów, informowanie premjera, przygotowywanie materiałów, wygotowywanie ustaw i t. d.

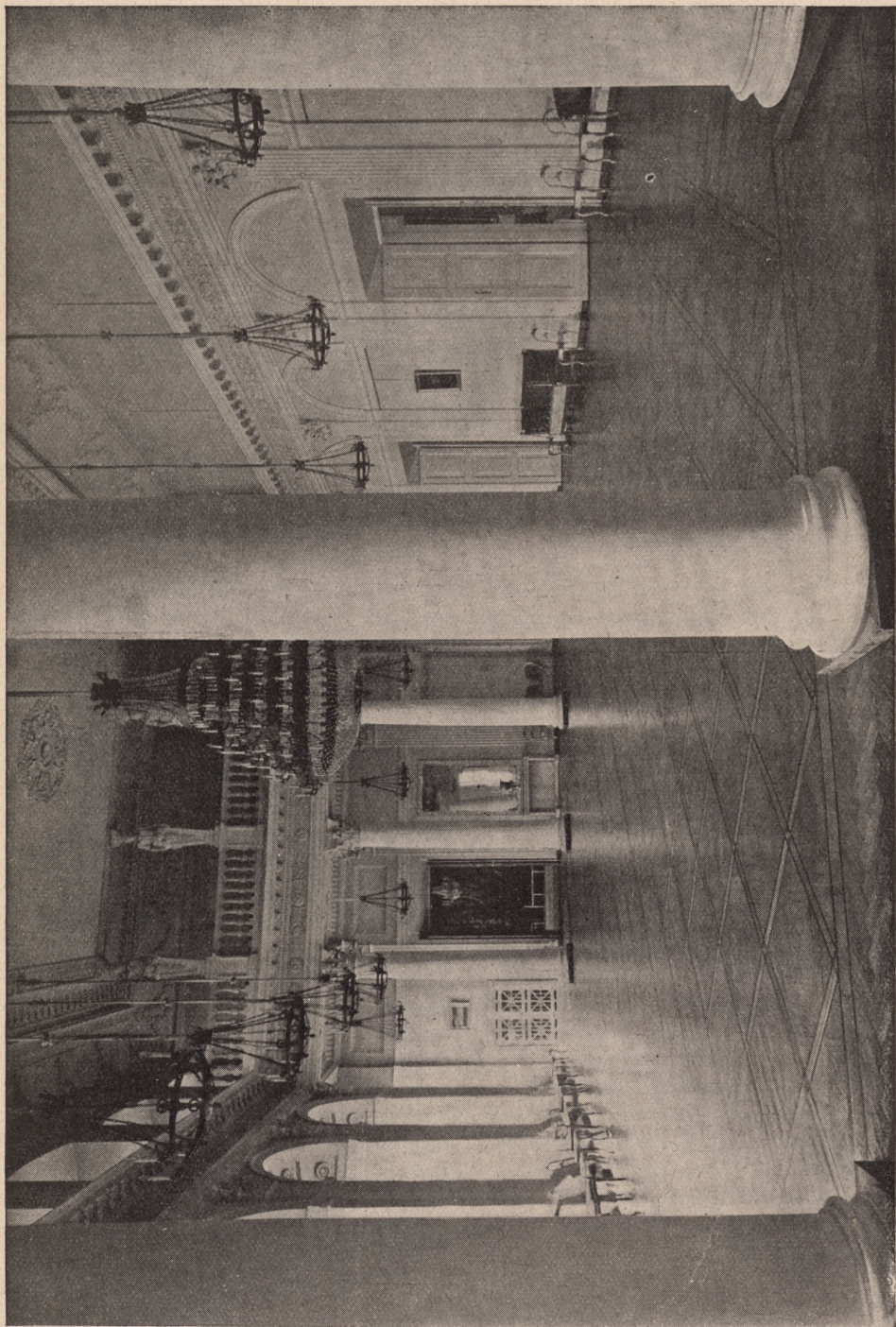
Instytucja prezydium rady ministrów jest to organ przyboczny premjera, jako kierownika rządu i siedziba posiedzeń rady ministrów. Zbiera się ona co środę w t. zw. sali czerwonej.

Przy stole, mającym kształt podkowy, zasiadają od prawej do lewej strony ministrowie: kolei, rolnictwa, sprawiedliwości, spraw wojskowych, spraw wewnętrznych, wicepremier, premier, spraw zagranicznych, wyznań i oświaty, przemysłu i handlu, pracy i opieki, robót publicznych i reform rolnych. Poza tem w posiedzeniach uczestniczy podsekretarz stanu w prezydium rady ministrów, p. Studziński i szef protokołu, p. Świnarski.

Zanim projekt jakiejś ustawy dostanie się pod obrady tego wysokiego grona, przechodzi on długie koleje. Powstaje on w wydziale prawnym danego ministerstwa, zostaje poddany konsultacji prawnej, przesłany ministrowi, potem jeśli jest pospolicznej natury, wpływa pod obrady pomocniczego ciała rady ministrów — komitetu ekonomicznego, jeśli politycznej — komitetu politycznego, jeśli zaś mówi o stosunkach narodowościowych — rozpatruje go uprzednio sekcja komitetu politycznego dla spraw mniejszości i województw wschodnich.

Po omówieniu więc spraw w tych instytucjach, omawia się je powtórnie na radzie ministrów. Posiedzenie rady ministrów trwa obecnie przeciętnie do dwóch godzin. Jest to znacznie mniej, aniżeli w latach ubiegłych, jeśli się porówna to z następującą statystyką:

W r. 1919 rada ministrów odbyła 128 posiedzeń, przeciętnie po 3 g. 30 min., w r. 1921—151 posiedzeń po 4 g. 10 m. (bywały posiedzenia po 7 godzin również), w r. 1923 — 88 posiedzeń, w r. 1924—58 posiedzeń, przeciętnie więc 1-no tygodniowo.



Sala balowa w gmachu Rady Ministrów.

P. wiceminister Studziński jest zdania, iż oznacza to skondensowanie prac rządu.

Ale jeśli rada obraduje nietylko nad codziennymi sprawami, lecz zajmuje się wielkimi wypadkami na arenie polityki światowej, lub wypadkami w wewnętrznej polityce, obrady jej trwają dłużej.

Radzie ministrów, oraz jej komitetom przewodniczy osobiście premier, sekcji zaś dla spraw mniejszości, zastępca jego, p. minister Thugutt.

Z sekretariatu prezydium rady ministrów drzwi na prawo prowadzą do jego gabinetu.

P. Thugutt mówił nam:

— Zadaniem sekcji jest przestudjowanie i zaspokojenie najaktualniejszych potrzeb Kresów i przygotowanie projektów zarządzeń w kierunku uregulowania na Kresach Wschodnich spraw narodowościowych. Pójdzie to drogą uregulowania spraw administracyjnych, odbudowy, rolnictwa itd.

* * *

Jak jest zorganizowane prezydium rady ministrów? Podzielone jest ono na pięć wydziałów: prezydalny, prasowy, prawny, personalny i organizacyjny, oraz budżetowo-gospodarczy.

Przejdźmy kurytarzem, a z biletów wizytowych na drzwiach dowiemy się kto niemi kieruje. Więc pp. Rodich-Laskowski, Romer Tenczyn, Lisicki i Szymczak.

Kierownikiem kancelarii jest p. Śliwiński. Ale czy to wszystko?

Na drzwiach małego pokoiku czytamy: Zygmunt Zabierzowski, urzędnik prezydium rady ministrów do specjalnych zleceń. Jest to starosta święciański, obecnie sekretarz sekcji pana Thugutta i jego najbliższy doradca. Jest doskonałym znawcą Kresów w dziedzinie praktycznych ich potrzeb.

Na piętrze urzęduje p. Roman, dawny wojewoda i prokurator, obecnie przewodniczący komisji kodyfikacyjnej dla Kresów. Zadaniem jego komisji jest uzgodnienie różnego ustawodawstwa na Kresach.

Pp. Roman i Zabierzowski są autorami codziennego materiału dla sekcji p. Thugutta.

Poza tem znajdujemy w prezydium rady ministrów: komisarza oszczędnościowego, p.

Moskalewskiego i kanclerza kapituły orderu „Polonia Restituta“.

Prezydium bezpośrednio podlegają: Najwyższy Trybunał Administracyjny, Najwyższa Komisja Dyscyplinarna, Polska Agencja Telegraficzna i „Monitor“.

* * *

Lecz wróćmy do audjencji.

W ciągu dwóch godzin, od 3 do 5, premier wysłuchuje postulatów stronnictw politycznych, klubów sejmowych, odnośnie jego polityki. Często się zdarza, że posłowie domagają się ulg podatkowych lub kredytów rządowych dla swych wyborców. Ale najczęściej premier odpowiada:

— Nie!

Konferencje w prezydium z posłami dają w rezultacie stosunek partij do rządu i odwrotnie. Partje domagają się uregulowania tych, czy innych spraw, wprowadzenia w życie tych lub innych ustaw, usunięcia ministrów, wojewodów, lub starostów im niewygodnych, zmiany polityki w tej lub innej dziedzinie i t. d.

Od uwzględnienia ich uzależniają dalszy swój stosunek do rządu.

Z kolei przyjmuje premier dyplomatów. Tu omawia się stosunki między państwami.

Potem ministrów resortowych, którzy swe żale i dezyderaty przedstawić pragną premierowi osobiście.

O 5-ej rozpoczyna się rada ministrów. Trwa do godziny 7-mej. Premier przyjmuje jeszcze naczelnika wydziału polityczno-prasowego, poczem prezydium opuszcza.

* * *

Często w godzinach popołudniowych czarno-zielona limuzyna mknie Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, ul. Wiejską do Sejmu. Nie jedno okno nie zasłonięte. W środku siedzi pan, w czarnym meloniku, nasuniętym na czoło. Jest zamysłony, i jakby zmęczony. To prezes ministrów. Nieznajomi przechodnie poznają go i uchylają kapeluszy. Premier odpowiada ukłonem.

Tak, jak we Francji.

* * *

Plenarne posiedzenie Sejmu. Atmosfera gorąca, podniecenie i ustawiczny zgłęb. Ktoś



„Sala plastrowa“ (prezydenta R. p. tej) w gmachu Rady Ministrów

przemawia; tu i owdzie padają okrzyki, przerywania, protesty, choć mówcy nikt nie słucha; na sali rozmawiają swobodnie, ten i ów poseł wymyka się do bufetu, marszałek wciąż dzwoni, stenografistki notują, jakby od niechcenia, łoża dziennikarska pusta.

W tem drzwiczki, znajdujące się w pobliżu fotelu marszałkowskiego, otwierają się. Wchodzi premjer. Wszystkie oczy skierowują się w jego stronę. Stoi chwilę, jakby zakłopotany, składa ukłon przewodniczącemu obradom marszałkowi i postępując kilka kroków, zasiada na ławie ministrów. Z pierwszych rzędów ław poselskich podnoszą się przywódcy klubów, podchodzą do premjera, zamieniają z nim uścisk dłoni. Często rzucają słowo,—szeptem. Ileż ono waży na losach niejednej, doniosłej sprawy. Za przywódcami śpieszy przywitać premjera szara rzesza poselska. Każdy chce pogawędzić, każdy ma osobistą sprawę, ten list od wyborcy pokaże, inny prosi o audjencję, chce się wyzalić, poskarżyć, poprosić o naprawienie zła.

— Bo pan prezydent tak zrećnie reguluje nasze bolączki.

Gdy wreszcie odeszli, premjer rozgląda się po sali, rzuca okiem na ławy poselskie od lewych do prawych, później podnosi oczy na

łożę dyplomatyczną, właśnie kłaniają mu się dystyngowani panowie, ciemno ubrani. Za chwilę to samo powitanie z przeciwległej łoży senatorów i ławy wiceministrów. Premjer oddaje ukłony.

Kiedy już go nikt nie posądzi o udawanie, iż kogoś nie widzi, wyjmuje z teki tajemnicze kartki. Przysłano mu je z ministerstwa spraw zagranicznych, to depesze szyfrowe: raporty naszych poselstw zagranicznych. Pochyla się nad niemi i zatopiony w czytaniu, nie widzi, że sala powoli się zapełnia posłami, i nie wie, że już za chwilę rozpocznie się doniosła debata. Debata budżetowa. Uprzedza go o tem urzędnik prezydjum, do którego obowiązków m. in. należy przysłuchiwanie się obradom Sejmu, p. radca Pawlikiewicz.

Premjer szybko chowa papiery do teki i po cztyna przysłuchiwać się obradom.

Przemawia właśnie poseł z opozycji, atakuje rząd, zjadliwie, ostro, nie cofa się przed osobistemi wycieczkami.

Premjer uśmiecha się, i szeptem coś ministrom, ci potakują mu. Gdy mówca skończył, poprosił premjer o głos.

Odezwały się wszystkie dzwonki w kurytarzach sejmowych, wzywające posłów na salę.

W bufecie i kuluarach gruchnęło, mówi premier.

Na sali plenarnej czarno, w łoży dziennikarskiej tłoczno. Galeria dla publiczności zapelniona, tam ludzie już nie oddychają.

Na trybunę wchodzi premier. Bez żadnych notatek, bez kawałka papieru. Opiera się wygodnie o pulpit i zaczyna mówić. Mówi cichym, łagodnym głosem; tłumaczy, jak profesor, strofuje, jak ojciec. Operuje faktami, jest daleki od frazeologii. Nie unosi się. Ale spróbujcie go podrażnić. Zgromi was tak ostro, że się odechce na długo przeszkadzać. Lecz dobre „Zwischenruffy“ p. premier lubi; zabawia się niemi, jak piłką, zgrabnie je odrzucając przeciwnikowi.

Wówczas jest zadowolony. Na ustach jego kołysz się, ledwie dostrzegalny, uśmiech.

Z przycinkami polemizuje lekko i złośliwie. Przypomina ludzi Dickensa, gdy jowialnie uśmiechnięty, bezapelacyjnie „rozkłada“ przeciwnika.

W Sejmie słuchają go wszyscy,—przyjaciele i przeciwnicy. Dość rzucić okiem po pierwszych ławach poselskich, od lewej do prawej strony widać zasłuchanych prezesów klubów.

Premier umie powiedzieć mowę w ciągu pięciu minut i w ciągu pięciu... godzin.

Zawsze będzie dobra.

*
* *
*

Ławy ministrów puste.

— Gdzie są ministrowie? — padają złośliwe okrzyki z ław poselskich.

A ministrowie są w pokoju, mieszczącym się tuż przy prezydium sejmowym. Premier zwołał właśnie nagłe posiedzenie rady ministrów. Któryś z mówców ciężko obraził rząd: premier postawi kwestję zaufania.

Ministrowie wracają na salę. A premier mocnym i poirytowanym głosem mówi:

— Niechaj Izba oświadczy się, czy solidaryzuje się z tą zniewagą rządu.

Marszałek zarządza głosowanie nad kwestją zaufania.

W głosowaniu rząd wygrywa. Rozlegają się oklaski. Premier dziękuje ukłonem i wnet znika.

*
* *
*

Telefon Nr. 2, należący do centrali sejmowej, dzwoni w gabinecie premjera.

— Pan Prezydent Rzeczypospolitej prosi p. premjera — mówi dyrektor Lentz dyżurnemu sekretarzowi.

— Jadę natychmiast, proszę o samochód,— odpowiada premier, gdy mu o tem donoszą.

Ale jeszcze u wyjścia czekają nań dziennikarze.

— Czem mogę panom służyć — pyta uprzejmie: — Proszę mi zadawać pytania.

I padają zapytania z najróżniejszych dziedzin.

Godzina 8-ma. P. Prezydent Rzeczypospolitej oczekuje premjera z herbatką.

Obydwaj dostojnicy są w osobistych serdecznych stosunkach. Przyjaźń pp. Wojciechowskiego i Grabskiego datuje się jeszcze z czasów pracy w Centralnym Komitecie Obywatelskim.

Wśród pogawędki, premier składa p. Prezydentowi raport z sytuacji politycznej.

W raporcie tym zawiera się praca wszystkich obywateli Rzeczypospolitej.

Z ich codziennego znoszenia cegiełek buduje się gmach państwowy.

*
* *

Premier wraca do domu. Wierzycie chyba, że jest zmęczony, i umysł jego domaga się wypoczynku.

Czy wiecie o czem teraz szef rządu myśli, o czem marzy, zamknięty w swym pięknym Cadillacu?

O niedzieli. I aby była słoneczna. Pojedzie wówczas do majątku swego w łowickie, lub do Spały. Będzie mógł chodzić pieszo, nie rozmawiać z politykami, cieszyć się światem, obcować z przyrodą. Odetchnie, odpocznie przez cały dzień.

A wieczorem?...

Wieczorem przyjedzie do Warszawy. I będzie w Operze siedział w swej łoży, zasłonięty parawanem.

— Raz na tydzień muszę być w teatrze, lubię Operę. Z taką przyjemnością słucham muzyki — zwierzał się nam premier.

Premjer sam jest bardzo muzykalny. Dużo (i dobrze) gra na fortepianie.

Dziwicie się, że ten tegi ekonomista i skru-



Sala posiedzeń Rady Ministrów

pulatny skarbowiec jest tak czuły na piękno?...

Właśnie teraz po kolacji, od 9-ej do 10-ej wieczorem siedzi przy fortepianie. Z pod klawiszów wydobywa się Chopin. To jego najulubieńszy kompozytor.

Ta chwila zadumy, marzenia i wytchnienia zarazem nie przeciąga się zbyt długo.

Premjera budzi telefon. To dzwoni dyrektor Kauzik, komunikując ostatnie wiadomości z Sejmu, z kraju, z zagranicy.

Gdy ta rozmowa się skończy, telefon dzwoni po raz wtóry.

To znów naczelnik wydziału prasowego, p. Romer raportuje, jak wykonał jego zlecenia.

Premjer akceptuje, poczem mówi jeszcze:

— Byłem też u p. Prezydenta.

P. Romer wie, co z tem zrobić.

Telefonuje do Polskiej Agencji Telegraficznej, potem do klubu sprawozdawców parlamentarnych. Tu praca wre jeszcze. „Giełda dziennikarska” funkcjonuje w całej pełni. P. Romer opowiada telefonicznie, co przez ca-

ły dzień robił p. Premjer. Wiadomości te, spreparowane dla każdego pisma inaszej, czytacie nazajutrz.

*
* *
*

Sprawozdawca polityczny dziennika ma obowiązek ułożenia kroniki politycznej, której integralną częścią jest życie premjera i pracę rządu.

W dzienniku zajmuje to 30 wierszy dziennie, i czytelnik nie ma do sprawozdawcy politycznego pretensji.

Panie i panowie, którzy trudziliście się przy czytaniu tego feljetonu, wybaczenie, iż pozwolono sobie zająć Wam czas 900 wierszami. Jeśli jednak zważyście, że dziennik przez 30 dni miesiąca poświęca życiu premjera po 30 wierszy dziennie, to miesięcznik winien spłacić swój dług jednorazowo. Tembardziej, że dzień pracy p. W. Grabskiego jest naprawdę ciekawy, wszystkich nas dotyka, więc wszystkich też musi obchodzić.

K. Wrzos.



Z krainy Ibsena i Hamsuna

Napisała Ludwika Broel Plater

Ogół publiczności polskiej, wyjeżdżającej za granicę, rzadko kiedy ku północy kierował jak dotąd swe kroki. A szkoda, — bo właśnie Norwegja, najpiękniejsza z trzech królestw północy pod względem krajobrazu czy to w lecie, czy w zimie mogłaby skłonemu do marzycielstwa elementowi polskiemu dostarczyć wrażeń zgoła wyjątkowych.

Niejednakowe jednak oblicze ukazuje Norwegja w pierwszej chwili przybywającemu podróżnemu; jednego wita ponurem spojrzeniem ciemnych skał, których posępność podkreśla dzień pochmurny, — innego ulewным deszczem zasnuwającym szarzyznę niebo i ziemię, — niektórych wcale nie wita, zasłaniając się nieprzeniknionem okryciem gęstej mgły, — innym zaś ukazuje odrazu w szerokim i radosnym uśmiechu białe zęby swych gór pokrytych śniegiem. Ale jakiegokolwiek było pierwsze powitanie, wcześniej czy później, niezwyklej urody kraj zjednywa sobie ostatecznie każdego gościa, będąc w stanie

zadowolnić wszelkie upodobania różnorodnem bogactwem swojej przepysznej natury.

Nad błękitnym fjordem o łagodnych i prawie miękkich konturach leży stolica Oslo (dawniej Krystjanja). Miasto samo nie budzi specjalnego interesu i z wyjątkiem kilku ciekawych starych budynków, grupujących się dookoła dawnej twierdzy Akershus — amator pamiątek i arcydzieł nie znajdzie tu nic bardzo godnego uwagi. Natomiast po wsiach odrazu rzucają się w oczy niektóre budynki stawiane w stylu specjalnym norweskim, a przedewszystkiem charakterystyczne śpiżnice, t. zw. „stabur”, wzniesione na kłocach kamiennych i stojące jakby na 2 — 3 nogach, z pozostawioną wolną przestrzenią między podłogą a ziemią.

Choć samo Oslo nie odznacza się niczem wybitnem, posiada ono jednak zupełnie wyjątkowe położenie. Z jednej strony ma fjord o bajecznym kolorycie, z drugiej strony cały łańcuch gór, zwanych Nordmarken, wśród

których uprawiają się sporty, głównie narci. Dostęp do gór tych jest nadzwyczaj ułatwiony z powodu ich bliskości od miasta (kilkanaście km.) i doskonale funkcjonujących tramwajów elektrycznych, których ostatnia stacja na wysokości około 500 m. oddalona jest od miasta o 45 minut jazdy. Cały ruch sportowy zimą skupia się w tych stronach, tramwaje mkną przepelnione wesołym tłumem i jakby oblepione nartami i saneczkami potwierdzonemi nazewnątrż wagonów, latem zaś przenosi się nad fjord drgający życiem niezliczonych białych motyli - żaglowców, mknących po falach dalej i dalej w malowniczym otoczeniu półwyspów i wysp, wśród których szczęśliwi mieszkańcy Oslo i innych nadbrzeżnych miast mają swoje letnie rezydencje. Słowo to wydaje się za wyniosłe dla określenia tych wesołych białych lub czerwonych will, ukrytych w zieloności owocowych drzew i otoczonych najczęściej zwykłym białym parkanem. Kto więc chce marzyć słodko i spokojnie, niech się nad tym fjordem zatrzyma i odpoczywa na zielonych łąkach, odbijających soczystą barwą od jałowych, otaczających je skał.

Ale ten cichy fjord i góry Nordmarken, to

dopiero pierwszy i dość łagodny akord tej symfonii, jaką rozbrzmiewa przyroda Norwegii.

Jedziemy więc dalej — wsiadamy do pociągu, który ma nas zawieźć do serca Norwegii i największych może przepychów jej natury, pod góry Jotunheim i potem nad wielkie fjordy! Słyszało się o tem wiele, tak się czekało tej chwili, a oto i pociąg rusza. Mija się Nordmarken, wjeżdża w Hadeland, miłą pagórkowatą okolicę i mknie się dalej ku dolinie Valdres. Z okien wagonu widać w dole sanatorium Tonsaasen, niedługo dojedziemy do Fagernes, a stamtąd już automobilem do Bygdin, które jest bramą Jotunheimów. Pociągi chodzą szybko i dobrze, wyjechawszy z Oslo o 8-ej rano, jest się o 3½ w Fagernes. Trzecia klasa, którą jeździ każdy szanujący się turysta, zadawalnia najzupełniej, a że całą marszrutę mamy ułożoną przez T-wo Podróży Bennett, które miejsca zarezerwowało, nie łamiemy sobie niczem głowy i oddajemy się radości życia.

A oto i Fagernes — przed hotelem szereg automobili czeka, szoferzy ze spisem osób, które mają zabrać, śledzą pasażerów, któ-



Wśród gór i śniegów.



Wodospady

rych imiona zostały im przesłane przez odnośne biura podróży, więc co chwila słysząc nawoływania: „Bennet, Cook, Berg-Hansen!” I każdy trafia do swego bez zamieszania.

Zjedliśmy obiad w hotelu i wsiadamy do samochodu. Wszyscy otuleni siedzą i nie ruszają się z pod futer i pledów, — my zaś ufając latu, boć to przecie lipiec, nie okrywamy się zbyt, rezerwując sobie wolność ruchów. Jedziemy, — przed nami 4 godziny jazdy, góry, lasy, potem flora coraz uboższa — robi się chłodniej, — któryś z Norwęgów wyciąga flaszkę koniaku i częstuje nas po kolei, zaraz cieplej i dziwnie wesoło na duszy! Raptem na horyzoncie, w oddali ukazują się

białe szczyty, coś ściska za gardło, chce się śmiać czy płakać — a za nami padają słowa: „den evige sneel!”

Człowiek dziwi się pustyni, jaka go naraz otacza — z początku jakieś karłowate drzewa, potem krzaki, wreszcie tylko mchy wśród najdziwniej porzrzucanych głazów. Gdzieś tam widnieją małe chatki „hytte” o jednych drzwiach bez okien, z kominem lub czasem bez, są to jak się zdaje schroniska pasterzy, pilnujących renów.

Witając po drodze oryginalnego kształtu szczyt Bittihorn, dojeżdżamy do Bygðin.

Duży drewniany hotel stoi nad jeziorem tej samej nazwy, widać śnieżne szczyty; dziwnie cicho — panuje surowe skupienie dookoła, przerwane jedynie jednostajnym szumem kaskady i płynącej rzeki. Straszny kataklizm powywracał to wszystko przed wiekami, od tej pory natura oniemiała i kamiennym wzrokiem przygląda się sobie — a my jej w milczeniu.

Nazajutrz koło południa podpłynął pod przystań mały statek i, wyładowawszy z siebie turystów rozmaitego gatunku, których twarze były koloru ugotowanych homarów, zabrał nas ze sobą w dalszą drogę do Eidsbugaren. Płyniemy wśród gór ku wiecznym śniegom, jest zimno, ale słońce świeci i wlewa ciepłą radość. Szczęście wali się lawiną na duszę człowieka, gdy płynie po roztopionych turkusach tego międzylodowcowego jeziora. Dojeżdża się do Eidsbugaren, leżące u stóp gór pokrytych wiecznym śniegiem. Przed hotelem weseli i ciekawi goście przyglądają się nowemu wyładowywaniu.

W najpyszniejszym powietrzu idziemy piechotą z jakich 20 minut doskonałej drogi do Tyinholmen, gdzie czeka na nas obiad, bagaż zabiera automobil i idziemy z lekką duszą w lekkim ciele, bez najmniejszej obawy o rzeczy — bo znamy Norwęgów.

Nad jeziorem Tyin leży Tyinholmen. Hotel stoi w pustym polu i jak zawsze w wyso-

kich górach, daremnie szukać chociażby jakiegoś krzewu — nie rośnie tu nic, zato naprzeciw okien oślepia nas blaskiem ogromny lodowiec. Siadamy na wietrze w pełnym słońcu i czujemy jak nas przypieka — a z gór dochodzą śmiechy i nawoływania; powraca gromada z dalekiej wycieczki, — wszyscy w spodniach bez różnicy płci, na nogach kammasze nieprzemakalne i grube buty, w rękach połyskują kije ostro podkute, — zwała się to wszystko na obiad do hotelu i od radości życia aż dudni!

Po obiedzie wsiadamy do samochodu i z prawdziwym żalem opuszczamy góry Jotunheim, — mamy przed sobą ca. 200 km. drogi z Tyin do Laerdal nad Sognefjord'em. Nie domyślamy się jednak, jakie cuda nas czekają.

Jedziemy przez Nystuen i wjeżdżamy w góry Filefjeld, wśród których leży urocza miejscowość Maristuen, z hotelem nad doliną.

Drogę z Maristuen do Borgund zaliczyć można do prawdziwych cudów przyrody, do



Jeden z wielkich fjordów w Norwegji.

Pod wieczór motorówka zabiera nas i wiezie do Tyin na drugą stronę jeziora otoczonego wysokimi szczytami. Ukazuje się Tyin ze swym dużym kamiennym hotelem. Jest cudownie, a gdy wchodzimy do pokoju, okrzyk zamiera nam na ustach — przed nami cały łańcuch Jotunheim, gorejący w słońcu!

Wyprawiamy się raniutko w góry i mamy przed sobą całą panoramę. Wysoko znajdujemy z niemałym zdziwieniem kwiaty ślicznej woni, t. zw. „hoifjeldsblomster“, przypominające nieco storczyki, a mające zapach cytryny i wiatru. Niżej słysząc dzwonki pasących się krów.

których trzeba dodać wysoką wiedzę inżynierów, którzy wykonali ogromną robotę wśród niesłychanych trudności naturalnych, szanując piękno na każdym kroku.

Jedziemy więc nieprawdopodobnie krętymi i stromymi drogami wśród huku i szumu spadających wodospadów, schylając co chwila głowy, którym zdawałoby się grozić skały wiszące nad drogą.

Oto i Borgund ze starym drewnianym kościołkiem z XI wieku. Wchodzimy, zapach starości przenosi nas w zamierzchłą przeszłość i nastroja medytacyjnie. Wyszedszy za próg, wkraczamy do innej świątyni, wiel-

kiej, cichej doliny, otoczonej potężnymi górami, — pachną skoszone trawy, śpiewnie szumi rzeka.

Jedziemy dalej — coraz większe wspaniałości wprowadzają w osłupienie, aż w pełnym złocie zachodzącego słońca wjeżdżamy w dolinę Laerdal z malowniczym w głębi miasteczkiem. Niebieskawe opary w oddali świadczą o bliskości wody — tam leży fjord.

Jesteśmy — przebiegamy miasteczko, dochodzimy do portu. Jest zmierzch — cicho śpi Sognefjord wśród swoich skał i gór.

I znowu dalej ze wschodem słońca. Dziś cały dzień będziemy płynąć fjordem. Widać góry pokryte śniegiem, skały stromo wpadają w wodę i odbijają się w nieskończoność. Fjord się rozdziela na dwa ramiona: Aurdalsfjord, dochodzący do Flaamsdalen i Naerofjord do Naerodalen. Tu zdaje się być punkt kulminacyjny piękna. Statek staje, podpływa motorowa łódź, zabierająca część pasażerów do Aurdalsfjord, my jedziemy dalej przez Naerofjord do Gudvangen, stamtąd zwracamy do Balholm.

Miejscowość o charakterze kosmopolitycznym (choć przyroda jest cudownie norwes-

ka), duży piękny hotel nad wodą, ładny ogród, kąpiele, tenis, dobra kuchnia, wieczorem toalety i tańce do późna — tu się bawia.

Po dwóch dniach nieco zmęczeni ruszamy znów przez Naerofjord do Gudvangen i wkraczamy w dolinę Naero. Cudo — nie-

botyczne skały, — wiozą nas automobile lub jednokonne karjolki. Jesteśmy u stóp wysokiej samotnej góry Stalheim i wierzyć nam się nie chce, że na niej wznosi się hotel. Widać go jednak, wiedzie doń droga kręta i stroma już nie dla automobile, rzeczy bierze karjolka, sami idziemy piechotą coraz wyżej, coraz piękniej w dół. Po obu stronach góry Stalheim wałęsają wodospady i z jakim szumem!

Wchodzimy do hotelu — miło i cicho. Sala jadalna obita kilimami o ludowych motywach, dookoła boazerje, sufit belkowany

z ciemno-brązowego drzewa, do stołu służą dziewczęta w narodowych strojach, panuje jakiś niesłychany nastrój. Tu najchętniej przebywają artyści, po kolacji więc mamy improwizowany koncert — skrzypce i fortepian, — snują się malarze o rozczochranych grzywach.



Droga z Maristuen do Borgund



Nad przepaścią

Nazajutrz jedziemy automobilem do Voss, miejscowości na linii Oslo — Bergen, stamtąd przez uroczy Hardanger nad fjord tejże nazwy do Ulvik. Znowu nieprawdopodobnie malownicza droga z ogromnym wodospadem Skjervefossen. Prostopadle zjeżdżamy do Ulvik, nad którego fjordem otoczenie i kontury są nieco łagodniejsze od poprzedniego. Przez ten fjord nazajutrz jedziemy do Nordheimsund, jest ciepło, słońce świeci i wrażenia są spokojniejsze niż na Sognefjordzie.

Z Nordheimsund przez Tokajel jedziemy do Trengereid, koło Bergen, skąd pociągami mamy powrócić do Oslo. Ta droga Tokajel, prowadząca przez tunele z olbrzymimi arkadami ukazującymi dolinę, należy do najpiękniejszych i najbardziej znanych przepychów tutejszej przyrody.

W Trengereid wsiadamy do pociągu i przez Hallingsfjelde, Finse i Gjejlø — dwie najbardziej uczęszczane miejscowości dla sportów zimowych — powracamy do domu.

W Finse uderza nas hotel, stojący tuż przy torze kolejowym, razi nas to i dziwi, tłumaczą nam jednak, że jestto obliczone na szalone zasy py śnieżne, zdarzające się często, i które uniemożliwiłyby turystom dotarcie do hotelu, gdyby stał dalej, bo i tak się zdarza, że trudno jest przebrnąć tych kilkadziesiąt kroków. Finse w początkach sierpnia

smutne robi wrażenie — śniegi leżą wielkimi płachtami, a ziemia żałobnie przezierną gdzie indziej ciemnymi plamami.

Prócz niecodziennych wrażeń, wyniesionych z przyrody norweskiej, wywieźliśmy wspomnienie wielkiej kultury, cywilizacji i ludzkiej uczciwości, z którą stykaliśmy się nieustannie w drodze. Wiedzieliśmy, że będziemy oglądać naturę sławnej piękności, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że spotkamy tyle porządku, wzorowej organizacji i usługowości.

Wybornie urządzone marszruta, zamówione wszędzie miejsca, nie tylko w pociągach i hotelach, lecz i w samochodach i statkach, uprzejmość obsługi i sprawność, z jaką się wszystko ze sobą wiązało z racji punktualności i poczucia obowiązku u ludzi tutejszych, — to nas wpawiło w podziw i dało możność prawdziwego używania podróży. Nie potrzebowaliśmy się kłopotać o rzeczy, wszelkie wyjaśnienia otrzymaliśmy w drodze bądź od szoferów, bądź od personelu hotelowego i to zawsze z chętną uprzejmością i w sposób inteligentny, tak, że powróciwszy z podróży, mogliśmy sobie powiedzieć, żeśmy zwiedzili piękny kraj i poznali cywilizowanych ludzi.

A przytem jakaż radość w zetknięciu z pięknem, ruchem, słońcem i zdrowem powietrzem!

Oslo, dn. 22-go stycznia 1925 r.



Napisał Jan Wiktor

Ilustrował K. Sopoćko.

W sąsiedztwie Woba, gospodarzył Bobek, kundys mały, zaciekły, wiecznie rozszciekany. W dzień i w noc na nogach. Węszył, nadśluchował. Wszystkie myśli, spojrzenia, węszenia skierowane miał ku strzeżeniu. Nikomu obcemu kroku nie pozwolił zrobić. Zawzięty, zły, nieprzejednany, pilnował mienia ludzkiego bardziej, niż swej miski. Często bowiem od postnego jedzenia odbiegał i szczekał, jakby każdemu oznajmiał, że nie doje, nie dośpi, tylko czuwa.

Nie można się dziwić, że wprost oszalał z gniewu, kiedy obaczył obce kury najspokojniej w świecie bobrujące po zagonach świeżo zasianych, jakby nigdy nie widziały jego — Bobka, pierwszego stróża we wsi. Niebywała rzecz, aby ktoś odważył się przekroczyć płot, strzeżony jego zębami, pełnymi rzetelności i obowiązkowości. Obejrzał się trwożnie.

— Niema kaj gospodarza — oj rety — sprawiłby mi lanie... Odzienieby ze mnie od kija pospadało. — Ej, niema go — szczęśliwo godzina.

Czemprędzej rzucił się na stado. Gazdował sprawiedliwie. Rozsądzał uczciwie, aż pierze i krzyk pod niebo leciały.

Na gwałt wszczęty wypadł z ganku Wobo.

Zobaczywszy, co się dzieje, wrzasnął na całe gardło.

— Nasze kury. On będzie szarpał nasze biedaczyny. Pockoj. — Przybiegł z pomocą. Cóż mu mógł uczynić? Bobek był na swoich śmieciach, w swoim prawie. Więc tylko przy płocie pieniał się, czekał, groził, pomstował, co mu tylko gniew w paszczkę rzucił, czyli, co mu ślina na język przyniosła.

Przedtem co dzień były sprawiedliwe kłótnie. Teraz o byle co piekło, aż do ochrypnięcia, jak przystało, dobrym, ustępliwym sąsiadom na wsi. Mimo wszystkie szczekania Wobo z jawną pogardą patrzył na zuchwałego, nędznego, chuderlawego psiaka, w którym była sama złość. Często nie chciał nawet odpowiadać. Mijał wroga z tą obojętnością i lekceważeniem, na jakie pies tylko może się zdobyć. To najbardziej złościło Bobka. Rzucał się do płotu, ujadął, wyzywał, lżył, aż wstyd było słuchać. Gdy mu dojadł do żywego, wtedy Woba szewska pasja porwała. Co przekleństw, co zgrzytań, co wyzwisk padło. Najbardziej pyskata suka tej wymowy pozazdrościłaby. W najwyższej złości stały naprzeciw siebie, niekiedy dwie swarliwe kumosie i rozdzierały



... Wprost oszalał z gniewu, kiedy zobaczył obce kury
najspokojniej w świecie bobrujące po zagonach

paszczęki od ucha do ucha, wypominając wszystko, co im na wątpiach od dziesięciu pokoleń leżało. Nie dziwota — sąsiedzi.

Była rzecz zadziwiająca, że nawet w największym gniewie, ani jeden, ani drugi granicy nie przestąpił, mimo, że była dziura w płocie, lekko tylko krzewami porzeczek osłonięta. Obowiązywało ich święte, nienaruszalne, psie prawo. Wobo poprzysięgał zemstę, zgrzytał zębami, błyskał ślepiami, że rozszarpałby dokuczliwego sąsiada, a przecież w czasie kłótni nie rzucił się na niego. Odchodząc, spotykał moje oczy i zdawało mi się, że spojrzeniem usprawiedliwiał się.

— Ma słuszność, bo na swojem. — Ale go kiedy na ulicy dopadnę, — a wtedy — na zakończenie tylko zgrzytnął zębami.

Wobek, niezbyt psuty jedzeniem, cierpiał biedę ze swoim gospodarzem: Zaspakajał głód jak mógł, czem go łaska psa nad psami w swej skąpo wymierzonej dobroci opatrzyła. Między innemi lubił cichaczem przekraść się przez dziurę na sąsiednie podwórze, a tam wyżerał kuromi, które tylekrotnie wypędzał ze swojego obejścia. To w śmietniku grzebał, szukając tego, czego nie zgubił.

Przytem inna jeszcze rzecz go cieszyła. Oto zauważyłem go, jak powolnym krokiem dumnie przechodził, zadzierając nosa, niby stumorgowy gospodarz.

— Nie boję się Woba. — Owa pokozolbym jo mu. Chodzę se nikiej po swoim — zdawał się mówić paszczką zadowoloną.

Wycieczki te często się powtarzały. Niejednokrotnie Wobo nie zauważył Bobka. Potem jednak czuł zniechęcony zapach krow.

Zachodził do głowy, medytował, co to znaczy. Wnet dowiedział się. We wściekłość wpadł. Ażeby wróg pod sam nos mu wlażył, nie do pojęcia. Był zupełnie bezsilny. Czasem intruza obaczył z ganku. Zanim skończył, Bobek już był na swoim i już wymyślał, paskudził honor. Stysząc to, Wobo miał gorące pragnienie łapy złożyć i stokrotnie dziękować praojcu psów, że w swej wszechwiedzy stworzył tak nierozumne stworzenie, jakim jest człowiek, który w ząb nie rozumie najmądrzejszej mowy na świecie, jaką jest szczekanie.

Po każdym nieudanym wypadzie wracał zgębiony do swego legowiska. Układał się, kręcił, miejsca nie mógł znaleźć. Zły mruczał.

— Ścierwo sobacze — niedość, że kradnie i rozpiera się bieda na cudzem, ale jeszcze pyskuje. Że też i pies uczy się różności od człowieka, ku wstydowni dobrego imienia psiego.

Jednego dnia Wobo zniknął bez śladu. Nie wolano go, bo i po co. Pies przecież jest stworzeniem żyjącem, więc też może mieć swoje tajemnice, których nie zdradziłby, nie chcąc narazić się na gniew skompromitowanej płci nadobnej. Błądząc po ogrodzie, najnie spodziewanie obaczyłem go przyczajonego w gęstych krzakach porzeczek. Nie szczekał, choć wrony też na płocie stawały, wróble niemal nad nosem ćwierkały. Na mój widok machnął serdecznie ogonem, wymownie błysnął ślepiami, porozumiewawczo na mnie mrugnął.

— Obaczycie, stukę pokażę. Nie wyjdę stąd, choćbyście mi tłustością drogę smarowali. Oho, sprawiedliwie mówię.

Wierzyłem psu na słowo, choć tam w pewnej mierze uważałem przechwałki za przesadę, bo gdzieżby Wobo do omasty nie szedł. Nie wiedziałem co znaczy czatowanie i ta tajemnicza mina. Stałem na ganku, mając na oczach cały ogród. Chciałem rozwiązać zagadkę.

Niedługo potem służąca wyniosła garnek z żarciem dla drobiu.

Bobek na to czekał. Zdała ze swojej obory



Niedługo potem służąca wyniosła garnek z żarciem dla drobiu.

widział błogostawione źródło łaskawości życia. Zapatrzony w nie, jak oczarowany, po zniknięciu służącej, podążył, zapomniawszy w pośpiechu zwykłych ostrożności.

Ledwo przekroczył granicę płotu, wypadł z ukrycia — zatujał Wobo, jednym skokiem znalazł się przy dziurze, zagroździwszy przejście ciałem, wrzasnął piorunującym głosem.

— Tuś mi, braciszku!...

Stali dwaj zażarci wrogowie oko w oko.

Bobek zwinął się, dygotał, bezmyślnie kręcił się. W największym przerażeniu pisał ten wygłodzony nędzarz, patrząc na mocnego, tęgiego, dobrze odżywianego Woba.

— Oj do mi, oj do — sprawi lanie, że mi rodzona matka nie wylize. — Oj — oj. — Żeby choć gospodarz nadeśli — poratowaliby mnie w bidzie. — O rety — retecki, takie zębce, taki pysk. Poco mię skusiło w złą godzinę iść. Kości stutela nie wyniesę. Lepiej trza było kamień gryźć. O już nigda — już nigda. — Ino mię psie nad psami ojczę mój najlepszy wyrwij z tego nieszczęścia, wyrwij mię, już jo ta o tobie też nie zapomnę. — Wejrzyj, ulituj się, wysłuchaj moje szczekania...

Błagalnie szczekał zębami ze strachu, rzucając wokół struchlałe spojrzenia.

Myślałem, że Wobo wyrze zemstę na znienawidzonym psiaku, wrzaskliwym, a dokuczliwym, jak ulicznik. Pies był prędko, ławo się unosił. Teraz też w mgnieniu złość go ominęła. W paszczęce i w oczach znac było zmianę usposobienia. Widział przed sobą nikłą, nędzną, zażartą z biedy postać Bobka. Zgruchotałby mu zębami wszystkie kości. Jeszcze bawił się jego przestraszonym Triumfalnie ogonem machał, z udaną złością warcząc.

Aha — aha — przyszedłeś na moje podwórko. Dam ja ci teraz. Dostaniesz omastę szczeki, za swoje pomsty. Nie puszcę cię na chude ciało za swoje szczeki, za swoje żywego z moich zębów.

— Darujcie — oj — oj, święcie wrzeszczę, już nigda — oj — oj — oj panie Wobo — słiczny, najśliczniejszy, — dygotał, skomiał.

Wobo wzrokiem, pełnym drwiny, lekceważenia i litosnej pobłażliwości mierzył komornika psiego. Po chwili mocno ubawiony odstąpił od otworu. Stał obok.

— Wynos się — widzisz głuptasie. Gdybym chciał, tobym ci kichy wypuścił. A jak będziesz jeszcze ozór rodzierał, to ci go przyskrzynię, że zapomnisz szczekania. Grzecznie, po sprawiedliwości mówię. Ej mi-zeroku! — mizeroku...

Bobek teraz do reszty zgłupiał. Nie wiedział co sądzić o zajściu. Był pewny, że sąsiad knuje zdradę. Nieufność chłopska, aż z uciechy w jego duszy zatarła ręce, że zwietrzyła prawdę.

— Oho, już ja wiem, co chce. Bo się mnie. Jesceby nie, przecie i ja mam niezgorse zęby. Już jo pod przykrywkę jego rozumu zajrzałem. Zdradą chce mię mieć. Jo w dziurę, a on wtedy kielcykami, aż pod bebechy, Tyś mądry, ale jo też nie głupi — no dy — jestem psem gospodarskim.

Chciał przybrać odważną minę. Cóż, kiedy się trząsał każdym włoskiem. Nie ruszał się z miejsca. Delikatnie, ostrożnie lękając się zasadzki, począł się powoli cofać. Zrobił kilka kroków, zawsze czujny i buchnął w otwór, aż kilka gałązek złamał.

— Z paszczęki smoka — chwała ci opie-

kunie psów, orędowniku nasz, — za płotem jeszcze dygotając, westchnął w serdecznej podzięcie. Obejrzał się, gotowy do walki, Zdumienie nie miało granic.

— Nic mi nie robi, ani mnie nie ścigo. Nie do pojęcia. — Coś jest,

Patrzył na spotkanie stojącego Woba. Bo bez jednego szczeknięcia zgiął w sieni swego domu.

Od tego czasu ucichło. Bobek na widok Woba przyjaźnie merdał ogonem, wystawiał łeb, wachał. Upatrywał sposobności, aby wejść w bliższe stosunki z roslým psem. Był jednak onieśmielony. Zawsze z prawdziwym szuncunkiem spozierał na Woba, myśląc w pokorze uwielbienia.

— To mi dopiero rzetelny chłop. Nie dziwoła, prze-

cie m j brat z dziada pradziada. — Jedna krew, elu dżu, jedu sęćtan ie.

Nieraz ich widywałem w niewytłumaczonej postawie. Bobek leżał z jednej stronu płotu, Woba z drugiej. Opierając łby na żerdzi podłużnej, oczami, węchem, ogonem prawily sobie sąsiedzkie czulości, jęzorem zaś przy-sługi przyjacielskie oddawały.



Stali dwaj zażarci wrogowie oko w oko.

Na tamtym brzegu

Napisał

Czesław Jankowski

„Rysem, wyróżniającym rosyjską ideologię rewolucyjności wśród wszystkich innych ideologii rewolucyjnych, jest jej bezwzględność w negacji całego istniejącego porządku rzeczy, bezwzględność, którą Hercen malowniczo określił, wyrażając się, że Rosjanin stoi wobec Europy *na tamtym brzegu*”.

M. Zdziechowski: „Europa, Rosja i Azja”. 76.

Oto w ciągu kilku ostatnich miesięcy miałem je niemal wszystkie przed oczami, najautentyczniejsze, bolszewickiej Rosji czasopisma — wyrażnie czasopisma — literackie, artystyczne, naukowe, humorystyczne; nie dzienniki polityczne: *Prawdy* i *Izwestja*. Sterta tego piętrzy się przedemną.

Oto *Krasnaja Niwa*, *Begiemot*, *Komunistyczeskaja Rewolucja*, *Kino-Niedziela*, *Ziżn Iskustwa*, *Drug*, *Radio*, *Nowaja Rampa*, *Krasnyj Ogoniok*, *Leningrad*, *Płamia*, *Krokodil*, *Pjionier*, *Krestjan-ka*, *Krasnyj Pieriec*, *Bezbożnik*, *Prożektor*, *Smiechacz*, *Buzotior*. *Mopr...*

Oto tuż pod ręką książka Huntley'a Cartera, zawierająca może najgłębszą i najlotniejszą analizę bolszewickiego teatru; oto gruby, specjalny zeszyt *Prager Presse*, szeroko otwarty dla literatów i publicystów Rosji bolszewickiej, pragnących wyjaśnić dokumentnie światu: czym w swej najrdzenniejszej istocie jest ta rewolucyjna siła niesłychana, co Rosję do głębi przekształciła, tudzież czym naprawdę jest owa przekształcona, czy doprowadzona do zenitu — dusza Rosji współczesnej.

Co się tam naprawdę stało i dzieje — na tamtym brzegu?

I skostniały, zastygły w tradycyjnych pojęciach, zasadach oraz metodach myślenia intelekt, wyrażmy się, ogólnoeuropejski musi — może tylko na razie — uznać swoją bezsilność wobec tego nowego świata, otwierającego się przed nim w jakiejś okrutnej dali? Nie. Tuż za Narwą, polskimi niegdyś Inflantami, za Pińskimi błotami, za Horyniem, za Dniestrem. A może i bliżej jeszcze...

Pisał swojego czasu Hercen, że chrześcijaństwo dało światu wzamian za Olimp — Golgotę, za ślepe Fa-



Zmniejszony faksymil karty tytułowej moskiewskiego tygodnika „Krasnaja Niwa”

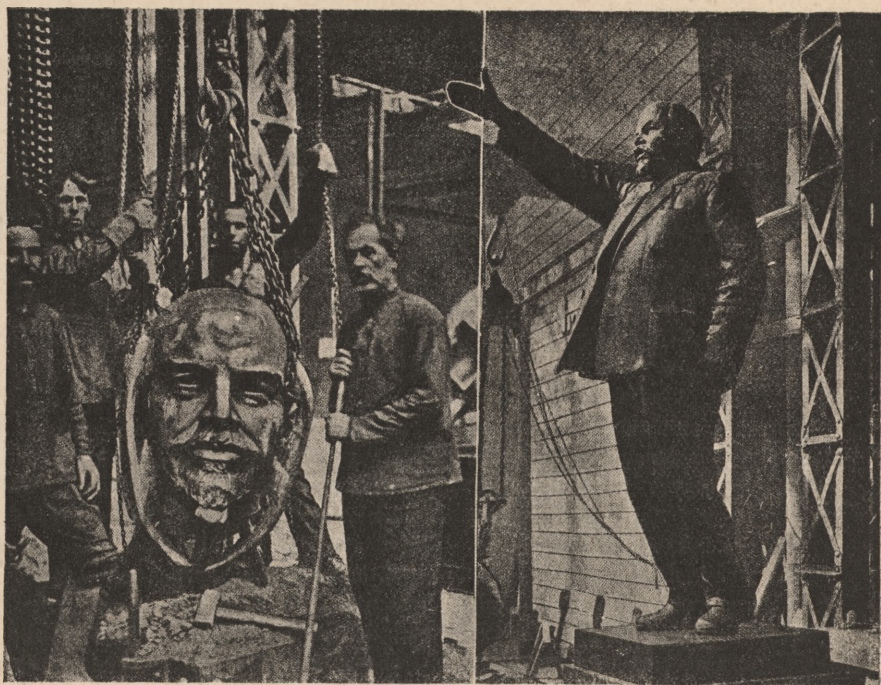


Figura Lenina, z brązu odlana, mająca stanąć na pomniku w Leningradzie.

tum — Opatrzność Boską, za ziemię — niebo, wzamian za wyzbycie się dóbr doczesnych — radość wiekuiatą. Świat nowy (Hercen nie znał oczywiście nawet wyrazu: bolszewizm), pukający nam do drzwi, nie zna ani nieba, ani raj; wygrać w nim cośkolwiek może tylko ten, co nic nie ma do stracenia.

* * *

Rozejrzyjmy się po tym nowym świecie.

Cała prasa bolszewicka, literacka, ma energię i zapobiegliwość wyteżoną przedewszystkiem w tym kierunku, aby wbijać w głowę czytelnikom, że wszędzie obecnie na świecie Bożym panują wrzenia, bunty i zamieszki rewolucyjne. Rewolucyjne ma oczywiście znać: bolszewickie. Wszędzie grunt burżuazyjny i kapitalistyczny podminowany: wszędzie stary *regime* wali się w gruzy; zewsząd — słuchajcie! — wyciągają się już ramiona ku „bolszewickiemu odrodzeniu”; wszędzie już ręce roboczego ludu lub proletariatu uprzą-

tają plac na przyjęcie triumfującego bolszewizmu, co musi zapanować pierwszej, czy później na świecie całym! Więc pokazuje się poglądowo, t. j. ilustracyjnie i opisuje się z wielkim rozmachem jak np. wre i kipi rewolucja w Chinach, jak Egipt zrzuca z siebie jarzmo angielskie, jak w ogniu całe Marokko, precz goniące z kraju Hiszpanów, jak biorą górę radykalne prądy lewicowe w Stanach Zjednoczonych, jak bolszewiczej Niemcy, a Włochy burzą się przeciwko faszystom, jak drży w posadach Afganistan, jak buntuje się Mongolja... Gdy się ma przed oczami tylko czasopisma Rosji bolszewickiej, ma się wrażenie, że nic innego nie dzieje się na świecie.

W *Prożektorze* duża ilustracja jak przed spacerującym po Pekinie ambasadorem angielskim rozpędza pejcem chińską „Biednotę” jakiś ciura poselstwa. W *Moprze* (organ pomocy, okazywanej wszędzie organizacjom bolszewickim; po francusku *Secours Rouge*) czytać można, że w Chelmszczyźnie



*A. I. Ryków „przed Sownarkoma” czyli
prezes rady komisarzy sowieckich, szef wła-
dzy wykonawczej a zarazem i prawodaw-
czej w Rosji bolszewickiej „w gościnie”
u włościan carcyńskich, przemawiający do
wiejskiego ludu*

władze polskie, przy salwach karabinowych, odebrały ludowi prawosławnemu 500 cerkwi, obracając je na kościoły, a inspektor więzienia w Łęczycy, Janczurewicz, urządził pogrom więźniów politycznych, czyli komunistów; że tacy więźniowie polityczni są w Bułgarii wystawieni na „szalone prześladowania”, że w Rumunii rząd reakcyjny znęca się nad nimi, etc. etc. W manifeste ispolkoma też „Pomocy” dla robotników i włościan całego świata zwani są jednym tchem „narodowymi zbójcami”: Lloyd George, Poincaré, Piłsudski i Cankow; woła się tam w niebogłose, że



*Bolszewicka emancypantka. Pani O. E. Kogan, jedyna na ziemskim globie kobie-
ta, zajmująca stanowisko dyrektora banku,
Leningradzkiego Banku Komunalnego*

Polska gnębi bez miłosierdzia robotników i włościan: w czem zwłaszcza celuje Polska Partja Socjalistyczna.

Takie, mówiąc nawiasem, jak *Mopr*, publikacje (podobnie jak niemiecka gazeta *Trotz alledem*, „Pomimo wszystko!”), mają na celu ustanowienie ścisłego porozumienia i związku wszystkich bolszewików, siedzących pod kluczem na ziemskim globie.

A oto i duży wizerunek, z odpowiednim komentarzem, tow. Sammerlinga, jednego z hersztów „bohaterskiego buntu estońskich robociarzy”. W *Pjionierze* (tygodnik dla bolszewickich skautów, zwanych pjonierami... oczywiście bolszewizmu), wykładana jest szeroko teoria, że szkoła powinna grać poważną rolę w życiu socjalno-politycznym! To też uczniaki pisują „kollektywnie” sztuki, gloryfikujące rewolucję bolszewicką. *Pjionier*, rzecz prosta, krzewi zapamiętale śród diatwy i młodzieży zupełny ateizm. Tygodnik *Bezbożnik*, specjalnie tej robocie poświęcony, spełnia misję swoją nad wyraz chamsko i niezgrabnie. Pod tym względem jest propaganda bolszewicka oplakanie nieudolna. Trzebaż przecie pamiętać, że najniebezpieczniejszymi nieprawdami są prawdy zniekształcone — w umiarkowany sposób!

Gdzieś w moskiewskim *Krasnym Ogonku* (*Ogoniok*, nie „Czerwony”, lecz ten, przedwojenny, wychodzi w dalszym ciągu w Ry-

dze) wielka demonstracja: jak „kapitał angielski ograbia Egipt”, tudzież *ex re* objęcia przez towarzysza Wojkowa poselstwa w Warszawie, gorzkie narzekania, że Polska (!) urządziła bandyckie napady policjantów i ochronników w S. S. S. R. Lub sceny przybycia do Moskwy z Węgier 129 komunistów, trzymanyh dotąd tam w więzieniu. Lub pokazywany jest „wierny druh S.S.S.R.” Bernard Shaw, jak za-

bawia się na raucie w bolszewickim poselstwie w Londynie. Lub portret oto niejakej towarzyszkii A. Małamedowej, która, otrzymawszy w spadku wspałała kamienicę w Odesie, darowała ją moprowi „z
ny nie chcąc
zgoła nic na własność posiadać, z drugiej pragnąc
przyjść z pomocą tym, co
jęczą za kratami kapitału“.

Czemu się można nie napatrzyć w ilustracjach Rosji bolszewickiej, czego się tam można nie naczytać!

Oto prezes sowrnarkomu, inaczej prezydent Rzeczypospolitej Sowieckiej, A. I. Rykow, objeżdża nieobjęte przestrzenie Rosji. Gdzieś w Carycynie biesiaduje patriarchalnie z tłumem włościan. Przemawia. Wciąż prawi i prawi... Aż i dogadał się któregoś dnia: „Towarzysze! Rewolucja, to jest sprawa nie tylko naszego narodu. Wszędzie na świecie idzie ona na bój pod sztandarem naszych sowietów. Dąży do zjednoczenia się z nami!“ I prezesowi carycyńskiego gorsowietu wręcza Rykow order — tak order — Czerwonego Sztandaru, *Krasnanawo Znamieni*.

A gdzieś indziej na ilustracji całe sterty... sztab złota. Głęboko one leżą tam w piwnicach leningradzkiej mennicy. Jakże nie wierzyć — fotografii? A już wierzyć można zgoła bez zastrzeżeń, że słynny Instytut Wschodni w Moskwie wypuszcza wciąż i wypuszcza skończonych „wastokowiedów“, którzy, wyćwiczeni we wszystkich azjatyckich językach, są „znakomicie przygotowani dla roboty sowieckiej“! Oto nawet fotografia całej grupy ostatniego „wypusku“. Zaczyna grupa. Widać po minach, że misję swoją pełnią będą *con amore*.

Mnóstwo grup na ilustracjach. A ciekawe niezmiernie. Oto bardzo liczny zjazd opiekunów i propagatorów żeglugi powietrznej, oraz „sowieckoj awjamotoro - promyslenosti“. Co za indywidua! Co za twarze! Jakież tępe, zwierzęce chamstwo, jakaś groźba bu-



Blaga bolszewicka. Napis nad tą ilustracją głosi: „Siedm milionów analfabetów nauczyło się pisać! W pięć lat po wydaniu dekretu Lenina o zniesieniu w Rosji analfabetyzmu“.

Tymczasem w dn. 9 października roku ub. komisarz oświaty Łucnarskiej w swoim exposé rozwodził się z wielką nawet otwartością o stanie w Rosji oświaty — opłakanem.

dzająca zwyrodniałość. A oto dobrze odфотографowane posiedzenie białoruskiego Cika pod przewodnictwem „predcika“, towarzysza Czerlakowa. Doskonały obraz rodzajowy: „Z chłopca pan“. I z niejednym z tych panów nie chciałoby się spotkać sam na sam gdzieś w głuchym lesie.

W najwytworniejszym, wysokoarystokratycznym niegdyś w Moskwie klubie — w Angielskim, na Twerskiej — mieści się teraz Muzeum Rewolucji. Klub Angielski był niegdyś siedliskiem... antyrządowej opozycji Gagarynow i Wiaziemskich, Dołgorukowych i Apraksinów, Bibikowów, Musin-Puszkiniów, Rymskich-Korsakowów, Połotorackich, Łańskich... Pugaczowszczyzny, tam teraz zabytki, pamiątki z epoki „Ziemli i Woli“. Ściany tylko zostały nietknięte wspałałych sal, po których, w dzień otwarcia Muzeum, przewalał się ordynarny, rozpanoszony plebs.

Umarł w Czycie eks-katorżnik „polityczny“ Szewkun. Stosownie do jego woli, *trudiaszczycze sia* zaniesli trumnę na pole, odśpiewali „*My żertwojuj pali*“ i *more antiquo* spalili zwłoki nieboszczyka Szewkuna. Oto ilustracja. Ciekawy epizod z bolszewickiego życia!

Albo ten inny. „Chrześ” bolszewicki dziecka, niejakiego roboczarza elektrotechnika Timofiejewa. „Oktiabry” zwie się taka ceremonia. Dziecku dano imię: „Październik”.

Gdzieś w satyrycznym *Be-giemocie* beczy na ulicy jakiś bęben i skarży się matce:

— Co tobie? — pyta matka. Skrzywdzili ciebie te niegodziwe chłopcy?

— Taaak! — ryczy bęben. Wańka powiedział, że mnie chrzcili w cerkwi!

Wańka jest *oktiabrist*, to znaczy syn takich rodziców, którzy, jako wzorowi bolszewicy, dzieci swoich już w cerkwi nie chrzczą.

Więc jest sposób na uprawianie satyry politycznej nawet pod terorem bolszewickim?

Błyska ona tu i owdzie po pismach humorystycznych Moskwy i Leningradu. Czuć wyraźne frondowanie rządu oficjalnego. Jakżeby miał zamrzeć doszczętnie w narodzie rosyjskim duch Szchedryna i Gogola?

Oto — w *Smiechacu* — taki np. obrazek:

Zbiera się „w pewnem mieście” narada. Chodzi o wydawanie czasopisma, któreby nie ustępowało—przedwojennym.

— Oczywiście! Weźmy za model jaki twyrowny, ilustrowany tygodnik przedwojenny. Zaprosić do współpracownictwa dawnych żurnalistów!

Tak też zrobiono.

Redagować będzie były redaktor, wziętego za wzór, byłego tygodnika.

— Jaka nazwa?

— Trudna sprawa. Trzeba z jednej strony podkreślić tradycję, z drugiej nie zatracić ducha rewolucyjnego.

— Dodać „Krasnyj”!

Próbują: Krasnaja Niwa, Krasnyj Ogoniok, Krasnaja Rodina, Krasnoje Łukomorje, Krasnoje Sołnce, nawet Krasnyj Sinij Żurnał...

Żle! Wciąż zamało jeszcze rewolucyjnie brzmi odświeżony tytuł.

Ktoś proponuje: Krasnyj Żurnał.

— To już lepiej Krasnyj Żurnał Krasnych Żurnałów!

— Nie. Zgódźmy się na Krasnyj Żurnał Krasnych Żurnałów!

Zgodzono się.

Program podawnemu: belletrystyka, wiersze, kronika, ilustracje.

Zgromadzono materiał. Wszystkie rewolucyjne, aż miło! Konferencja redakcyjna.

Czytają wiersz, nadesłany niejakiego W. Adrjanowa.

— Ależ to wiersz Balmonta—woła ktoś.

— No, to i co? Zły może wiersz? Doskonały. Napisze się tak: „Tęsknota”, były wiersz Balmonta — i podpisze się W. Adrjanow.

Zawiadomienia ogłoszeniowe zredegowano jak następuje:

„Niebawem zaczniesz wychodzić *Krasnyj Żurnał Krasnych Żurnałów* — w typie przedwojennym. Drukować się będzie w byłej drukarni byłego miesięcznika *Woschod i Zakat*, pod redakcją byłego redaktora byłego tygodnika *Dzwonar*. Współpracownictwo swoje przyrzekli najwybitniejsi byli współpracownicy byłych czasopism. Adres: by-

ła ulica Dworjanskaja, dom były Pietrowa, Nr. 3, vis-à-vis byłej restauracji „Jakor”.

Wcale odważnie — jak na pismo, wychodzące pod opatrnością czujnych władz bolszewickich...

I przychodzi na myśl wiersz czyjś z tygodnika *Plamia*.

Депутатская неприкосновенность в Польше. 18-го декабря польский сейм вынес постановление о выдаче суду депутата польского сейма коммуниста тов. Ланцукского. Во время прений по вопросу о выдаче коммунистических депутатов тов. Ланцукский заявил: «Я не сомневаюсь, что абсолютное большинство сейма будет голосовать против меня. Все приготовления к аресту уже сделаны. Когда я в первый раз выступил в качестве коммуниста в сейме в 1921 году, требуя амнистии политическим заключенным,



я сказал: «коммунизм вас победит». Теперь я снова утверждаю: коммунизм растет, углубляется и недалек день, когда коммунизм окончательно сметет вас с лица земли». По распоряжению председателя сейма Ратая Ланцукский действительно 19-го декабря был арестован в Варшаве и заключен в Перемышльскую тюрьму.

Prasa bolszewicka
o Łanuckim



Moskiewski afisz teatralny

A wy wciąż swoje: „Wykpany ojciec!
I w oczach matki zaduma z przed lat”.

Sporo aluzji, oraz satyrycznych wycieczek, wprost niezrozumiałych. Nie sposób przecie znać *à fond* stosunków i stosunezków, panujących w Rosji teraźniejszej. A w dodatku wśród tych wszystkich: konsomolców, ispołkomów, uprawdzielów, prodkomów, mosgubrabisów, dumproświatów, cekabrisów, agitpropów, politframot etc. etc. — przy całym obyciu się z temi rebusami, jeszcze chwytą istny zawrót głowy.

Sporo — osobiwie ze wsi głuchej — ilustracji, wystawiających wprost idylliczne sceny cichego, pracowitego, patriarchalnego życia. Ma to dawać wyobrażenie, że w Rosji bolszewickiej, jak u Pana Boga za piecem... Lecz ktożby tym aranżowanym pokazom dawał wiarę?

A już nowy teatr bolszewicki, to cały labirynt, cały nowy świat. Teatr w dzisiejszej Rosji, to dziecko rewolucji 1917-go roku. Jest on dziś integralną częścią administracji państwowej, organem wychowawczym i zarazem propagandy. Gruntownie przeobrażony przez Mejerholda, pasowany na świątynię społeczną, dotarł po szczeblach niezliczonych eksperymentów aż do tak zwanego konstrukttywizmu, do zmechanizowania całej sztuki teatralnej. Ma to właśnie „ucieśniać rytm nowych czasów oraz ducha współczesności”.

Mowa tam o charakterze ojca, co go syn przełamać w sobie nie może, ani też zmyć z twarzy podobieństwa do matki.

Wicher wokoło wszystko zmiażdżył paździenikowy: Niema przeszłości zmyła krew jej ślad.

Bo, proszę państwa, konstrukcja, czyli budowa, to przecie: użyteczność, a maszyna, czy koncepcja maszyny, to — wszechpotężny czynnik moralny i twórczy. Nieprawdą? Kto nie rozumie, — tem gorzej dla niego!

*
* *
*

Późną jesienią zeszłoroczną był w *Proiekturze* ilustrowany artykuł, zatytułowany: „Budujący się Leningrad”.

Z Petersburgiem — koniec. Chcę przez to powiedzieć — pisał autor — że skończyła się era petersburska. Kres jej położyła rewolucja. I taż sama rewolucja zapoczątkowała eę leningradzką. Petersburg był. Przeszedł do historii. Jak Pompeja... Istnieje w Leningradzie szacowne towarzystwo Stary Petersburg. Czcigodni uczeni czynią rozkopy, rekonstrukcje. Niech pracują w spokoju. Tymczasem zaś powstaje Leningrad. Nie na miejscu, gdzie był Petersburg, nie na prawym brzegu Newy, nie tam, gdzie sobory Isakiewski i Kazański, gdzie skwery, gdzie nad ogromnemi taflami okien sklepowych wiszą jeszcze gdzieś niegdzie monumentalne szyldy. Leningrad będzie tam, gdzie był „Piter”, gdzie fabryki, warsztaty, siedziby robociarzy, gdzie



Mejerhold, reformator teatru w Rosji,
twórca teatru bolszewickiego

Krasnyj Putiłowiec gromadzi już zastępy nowych robotników, gdzie zawarczały już, beczynne od dziesięciu lat, maszyny.

Czyliż może iść komu w smak, czyliż dla czyjego zadowolenia potrzebne takie zawalenie uprawnej gleby dziką ziemią? Taka regułówka? I czy ma wogóle sprawić komu rozkosz nad rozkoszami takie „W drebiuzgi!”, aż takie poślęgowanie szerokiej naturze?

...Raz z pewnej wytwornej restauracji paryskiej wychodziło dwóch Rosjan, nie już pod dobrą, lecz pod najlepszą datą.

Popatrzył jeden z nich na przepiękne zwierciadło w holu, cmoknął i, zamachnąwszy się laską, rzekł do towarzysza:

— A gdyby tak!.. Co?

A drugi sentencjonalnie:

— Daj pokój!... Nie rozumieją. Nie pojmu!

I dali pokój. Zwierciadło nie potłukli w porywie szerokiej natury.

Bo...bo, któżby z tych idiotów, np. Francuzów, potrafił zrozumieć całą rozkosz „spuszczania” paru luster po akuracie zakrapianym obiedzie, albo kolacji!

Tak i z bolszewizmem. Ot, zrobili bolszewizm... i żaden Europejczyk, ani weź, zrozumieć nie zdoła: jak, u licha, można było coś podobnego zrobić i to jeszcze we własnym domu!

A teraz cały ten stan niebywały a przewlekły, na tamtym brzegu, przeszedł w psychozę. Setki, tysiące osób pozapadało w nią. Są jak nieprzytomni. Jakby pod straszliwą hipnozą. Chodzą jak lunatycy. Gdy który

przyjedzie do Polski, jest mu narazie okrutnie nie swojsko, obco. Zda się: inteligent nie pierwszy lepszy, a — jak ryba bez wody. Wynędziały, osowiały. A spytać go:

— Jakże tam w Bolszewji?

Odpowie:

— A nie!... Dobrze. Funt już cukru dają na miesiąc. Funt!

Wydaje mu się to czemś wprost rozkoszem — jemu, przywyklemu do któż wie jakich wygod!

Co się stało? Co ogarnęło tych ludzi?

A oto. Któż nie zna przypowieści o chłopie, co chciał zaznać szczęścia i o tem jak mu

pewien pop dał to upragnione szczęście. Kazał mu do izby, gdzie mieszka z rodziną, wtłoczyć kolejno... cały inwentarz domowy, a potem wyprowadzać z niej powoli po jednym zwierzęciu. Każda taka ulga dawała chłopu szczere, nieklamane — szczęście.

Takiowa banda, co skuliła Rosję w bolsze-

wizm. Najpierw steroryzowaną ludność przycisnęła, że aż kości zatrzęszczały, a umysł omal, że się nie pomieszał. I zaczęła powoli — łągować. I każdemu zdawało się, że coraz mu się świetniej powodzi, że coraz jest szczęśliwszy.

— Funt już cukru dają. Funt!

I ludzie na tamtym brzegu trwać będą pod straszliwą hipnozą nie wiedzieć jeszcze jak długo. Wyrwać ich z tego stanu może jedynie wstrząs niemniej potężny, niż rewolucja 1917 roku.



— Matko! Zapal-no lampkę przed Michałem Iwanowiczem...
Może lżej będzie z podatkami.

Rysunek humorystyczny z „Bęglemola”.

Przewrót w sztuce kinematograficznej

Artyści filmowi czarują widza z ekranu nie tylko swym gestem, lecz i mową

Wizyta u słynnego wynalazcy fotofilmu Dr. Lee de Forest'a

Dr. Lee de Forest, słynny wynalazca audio-nu, który umożliwił broadcasting, odniósł obecnie nowy triumf. Wynalazł on mianowicie sposób jednoczesnego fotografowania dźwięków i akcji, w ten sposób, że odtworzone następnie na pozytywie zdjęcia dają najzupełniejszy synchronizm^{*)}.

Nader uprzejmie przyjęty przez p. Lee de Forest'a w jego wspaniale urządzonej pracowni, spodziewałem się zastać człowieka, pochylonego wiekiem, uczczonego z brodą i naturalnie w okularach, jeżeli się zważy na ilość dokonanych przez niego odkryć.

Spotkał mnie jednak człowiek, prawdziwie siwy, ale o rześkiej, wyprostowanej postaci, energicznym wyrazie twarzy i małych, lecz żywych oczach.

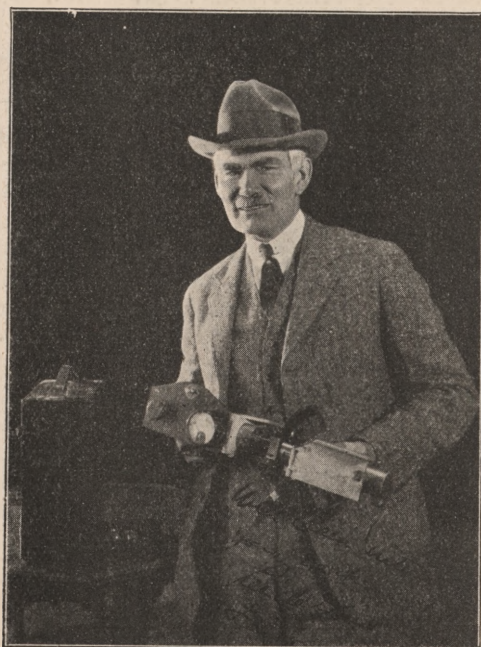
^{*)} Synchronizm — jednoczesność (tu jednoczesne odtworzenie obrazu z dźwiękiem).

Poczęstowany doskonałym cygarem, z przejęciem słucham wstępnych wyjaśnień.

Okazuje się, że problematem tym interesował się już Edison, próbując przy jednoczesnym fotografowaniu akcji, utrwaląc słowa na płycie gramofonowej. Jednakże metoda powyższa miała zbyt wielkie wady. Po pierwsze: artysta odtwarzający akcję był skrepo-

wany w ruchach, zmuszony do mówienia w tubę fonografu; po drugie: przy odtwarzaniu dźwięków powstawał nie miły, metaliczny dźwięk, właściwy gramofonom, a wreszcie, co najważniejsze, nie udało się osiągnąć synchronizmu ruchów i słów.

Na zupełnie odmiennych zasadach polega wynalazek d-ra Lee de Foresta. W dowolnem miejscu przebiegu akcji wstawia się skonstruowany specjalnie mikrofon (rys 2), tak czuły, że chwytą najlżejsze dźwięki nawet zamknięcia drzwi lub szelest papieru. Fale



Dr. Lee de Forest wynalazca fonofilmu

dźwięków, chwymane przez ten mikrofon, przechodzą przez szereg amplifikatorów, do fotoelektrycznych komórek, umieszczonych w specjalnem pudełku lub nawet w samym aparacie kinematograficznym. Prosta konstrukcja umożliwia z łatwością to zestawienie. Światło komórek foto-elektrycznych, wypełnionych gazem, drga oczywiście w zupełnej zgodności z amplitudą fal głosowych, wychodzących z ust artysty. W tym momencie światło przechodzi przez wąską szczelinę, odbijając, na specjalnie uczulonej fotograficznej emulsji filmowej,

linje grubsze i cieńsze, z równoczesnem fotografowaniem akcji artysty. Niektóre wzory samogłosek są bardzo ładne (rys. 3).

Z powstałego w ten sposób negatywu, otrzymujemy pozytyw w zwykły sposób.

Obecnie zachodzi pytanie, w jaki sposób jednak aparat odtwarza te zarejestrowane dźwięki i obrazy?

Otóż dr. Lee de Forest wynalazł aparat mogący być zastosowanym do każdej projekcyjnej latarni.

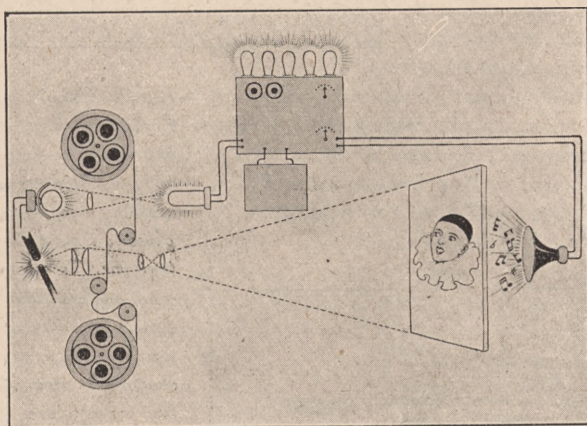
W aparacie tym znajduje się niewielka lampka, dająca wiązkę światła, przenikającą przez uprzednio sfotografowane linje, będące odbiciem fal głosowych (ryc. 4). Otóż ta wiązka światła zastępuje miejsce igły metalicznej, używanej w fonografie. Przechodząc przez światła i cienie kliszy fotograficznej, wiązka światła zostaje zamieniona za pomocą t. zw. komór talofidowych na fale dźwiękowe, które podobnie do obrazów, zostają rzucone z tyłu na ekran. Unikamy w ten sposób przykrych metalicznych dźwięków fonografu,

otrzymując najzupełniejszy synchronizm akcji i dźwięków.

Siedziałem oszołomiony temi objaśnieniami, rozważając doniosłe możliwości tego wynalazku, gdy lokaj zameldował gościa. Chciałem już z zalem usunąć się dyskretnie, lecz gospodarz zatrzymał mnie dobrodusznem skinnieniem ręki. Za chwilę wchodzi słynna rosyjska tancerka, Pawłowa. Okazało się, że znakomita artystka, przed tygodniem, zgodziła się tańczyć przed nowowynalezionym aparatem, aby umożliwić Dr. Lee de Forest wy-

próbowanie swego wynalazku.

Należy przyznać, że, jak to wynikło z naszej rozmowy, p. Pawłowa odnosi się dość sceptycznie do tego wynalazku. I trudno się dziwić. Przyłknijcie oczy i przypomnijcie sobie taniec na ekranie przy akompaniamencie orkiestry. I oto ujrzycie, że tancerka na dobre już tańczy, gdy orkiestra pośpiesznie kończy jakiegoś marsza. Czy kiedykol-



Rys. 2. Aparat de Foresta odtwarzający dźwięki i obrazy. Obrazy są wyświetlane na ekranie w sposób zwykły. Wiązka światła przechodzi przez kliszę, na której sfotografowane były dźwięki, a fale świetlne zamieniane są przez komory fotoelektryczne w fale głosowe. Te ostatnie wzmacnione przez audion rzućane są na ekran. Metaliczne dźwięki fonografu zostają w ten sposób usunięte

wiek tempo jest utrzymane? Krótko mówiąc: „pop swoje, a czort swoje”.

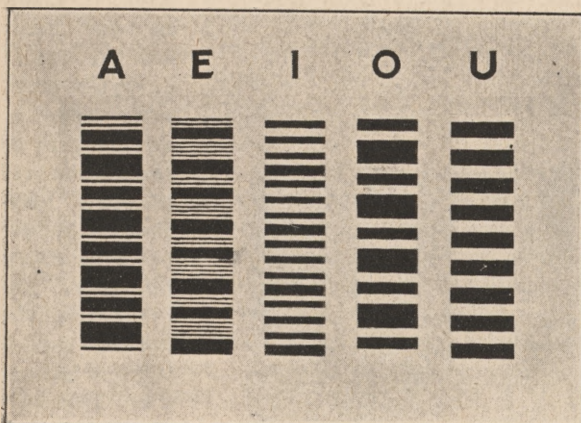
Z temi i podobnemi żartami na ustach, przechodzimy do atelier. Krótkie przygotowania, zaczyna się film.

Patrzyłem, nie, nie tylko patrzyłem, ale słuchałem zdumiony. Tu już nie tylko niema mowy o rozbieżności w rodzaju muzyki i tańca, ale takt, każdy takt tancerki ma swój odpowiednik w muzyce. Najdoskonalsza zgoda! — „Tu wreszcie jest środek na utrwalenie sztuki tanecznej i przekazanie jej potomnym” rozległ się dźwięczny głos Pawłowej.

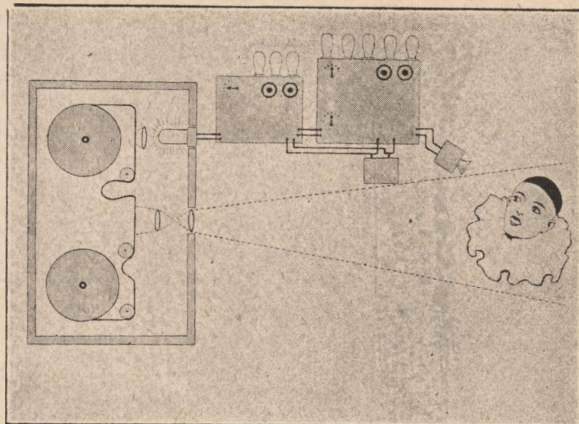
Uprzejmy gospodarz objaśnił mnie następnie, że niedawno partja demokratyczna mia-

ła wielki wiec w Madison Square Garden w New-Yorku. Celem utrwalenia scen i przemówień zwróciła się do Dr. Lee de Foresta, z prośbą o zastosowanie swego wynalazku. Fotografowano więc zwykłym aparatem, połączonym za pomocą urządzenia radiowego z fonofilmem, umieszczonym w pracowni naszego uczonego. Pomimo wielkiego dystansu, najzupełniejsza zgodność ruchów i mowy została utrzymana.

A co za dalsze perspektywy! „Przypuśćmy“, mówi mój gospodarz, że na Oceanie Spokojnym odbywa się wielka bitwa morska. Wystarczy rozpoznać zwykłym aparatem kinematograficznym. Równocześnie za pomocą radioaparatu łączę się, siedząc w mojej pracowni, w New-Yorku, z fonofilmem wszystkie odgłosy walki są zarejestrowane w zupełnej zgodzie z akcją.



Rys. 3. Znacznie powiększona fotografia samogłosek, zarejestrowanych przez fonofilm.



Rys. 4. Sposób tworzenia fonofilmu de Foresta. Z lewej strony kamera fotograficzna. Sceny fotografowane są w sposób zwykły. Pod areną umieszczony jest mikrofon, chwytający najdrobniejsze fale głosowe i zamieniający je na prądy telefonizacyjne. Te ostatnie zwiększone 100.000 razy po przejściu przez serię audionów dostają się do kamery. Światło komórek fotoelektrycznych drga jednocześnie z przechodzącym przez nie prądem. Teraz światło, przechodząc przez wąską szczelinę, działa na czułą emulsję filmu i zostaje w ten sposób utrwalone w postaci kresek, przetwarzanych na ekranie w dźwięki

Z żalem opuszczałem gościnną pracownię wielkiego wynalazcy.

Jak wielkie znaczenie może mieć w przyszłości to odkrycie i jak potężnym może być bodźcem do dalszego rozwoju firmy.

Jan R. Strzelecki

New-York.

W i e c z n y K a l e n d a r z

Niejednokrotnie zachodzi potrzeba wyznaczenia dnia tygodnia, znając miesiąc i rok jakiegos zdarzenia, lub też odwrotnie, znając dzień tygodnia i miesiąca, odnaleźć rok, wreszcie do określenia całego szeregu zbliżonych zagadnień.

Sposób postępowania bardzo prosty zilustruje najlepiej podany poniżej przykład Nr. 1, w którym dniu tygodnia wypadło 17-go stycznia 1624:

1) Łączę liniijką lub nitką punkt podziałki 1 (dzień miesiąca), odpowiadający dacie 17 z punktem podziałki 3 odpowiadający styczniowi.

Uważać trzeba czy dany rok jest rokiem przestępnym (podzielnym przez 4), gdyż na miesiąc styczeń i luty są dwa oznaczenia „styczeń” i „styczeń przestępny” (w obwódce).

Na podziałce 2 otrzymam cyfrę 6.

2) Podobnie łączymy liniijką na podziałce 5 liczbę setek lat (w naszym wypadku 16, gdyż idzie o rok 1624, z liczbą na podziałce 7, odpowiadającą ostatnim miejscem ilości lat (w naszym wypadku z liczbą 24) i otrzymamy na podziałce 6 cyfrę 5.

3) Połączymy liniijką obie cyfry podziałki „2” (cyfrę 6) i podziałki „6” (cyfrę 5) otrzymamy na podziałce „4” żądany dzień „sroda”.

Przykład 2.

W których dniach wypadają poniedziałki w maju 1925.

Łączymy po stronie prawej 19 na podziałce „5” z 25 na podziałce „7” i otrzymamy na podziałce „6” cyfrę 10.

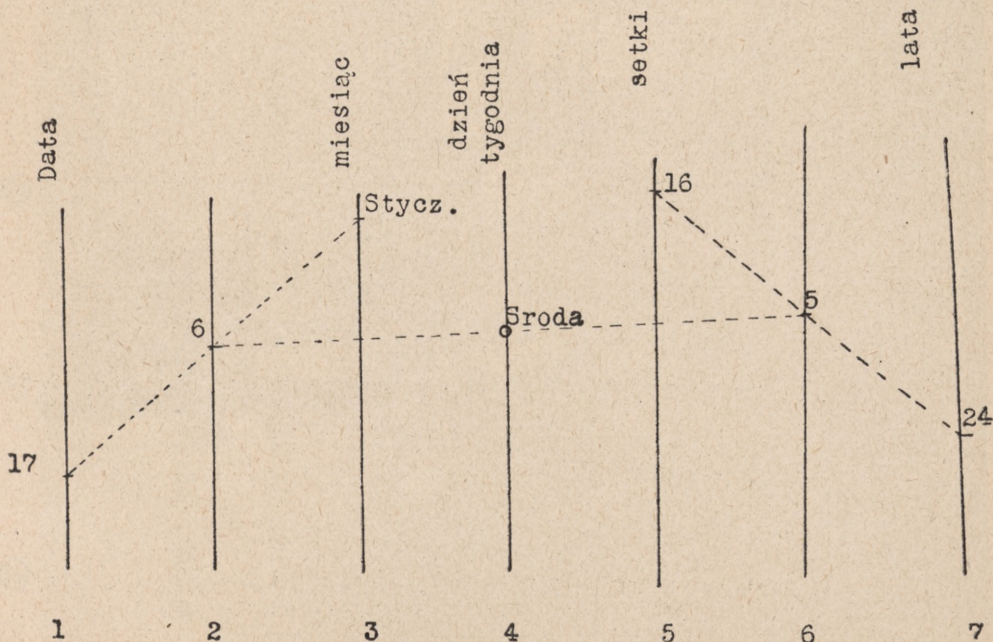
Cyfrę tę łączę z poniedziałkiem na podziałce „4” i otrzymuję (ponieważ poniedziałek powtarza się cztery razy) na podziałce „2” cyfry 3 i 10:

Łączę miesiąc maj na podziałce „3” z cyfrą 10 (gdyż cyfra 3 wychodzi poza rysunek) i otrzymam na podziałce „1” daty poniedziałków.

4, 11, 18 i 25 maja.

Dla lat od 1500 do 1600 są dwie piętnastki. Jedna oznaczona punktem z nawiasem, służy dla dat przed 15-ym października 1582, druga bez znaku, dla wyznaczenia dat po tym okresie, gdyż w dniu 15 października nastąpiła postanowiona edyktem papieża Grzegorza XIII zmiana kalendarza.

Inż. T. N edziel ki



Przykład 1

Tabela nomograficzna

dla

wyznaczenia dnia tygodnia według daty miesiąca i roku

<u>Dzień miesiąca</u>	<u>Miesiąc</u>	<u>Dzień tygodnia</u>	<u>Setki lat</u>	<u>Rok</u>
7, 14, 21, 28	Styczeń	Śobota	5, 16	□ Lata przestepne.
6, 13, 20, 27	Styczeń przest.	Środa	12, 20	
5, 12, 19, 26	Styczeń	Środa	6, 13	05, 11, 16, 22, 61, 67, 72, 78, 89, 95.
4, 11, 18, 25	Styczeń	Środa	17, 14	04, 10, 21, 27, 55, 60, 66, 77, 83, 88, 94.
3, 10, 17, 24, 31	Styczeń	Środa	1, 8	09, 15, 20, 26, 54, 65, 71, 76, 82, 93, 99.
2, 9, 16, 23, 30	Styczeń	Środa	2, 9	03, 08, 14, 25, 53, 59, 64, 70, 81, 87, 92, 98.
1, 8, 15, 22, 29	Styczeń	Środa	3, 10	02, 13, 19, 24, 52, 58, 69, 75, 80, 86, 97.
	Styczeń	Środa	4, 15	01, 07, 12, 18, 57, 63, 68, 74, 85, 91, 96.
	Styczeń	Środa	5, 16	00, 06, 17, 23, 51, 56, 62, 73, 79, 84, 90.

①

②

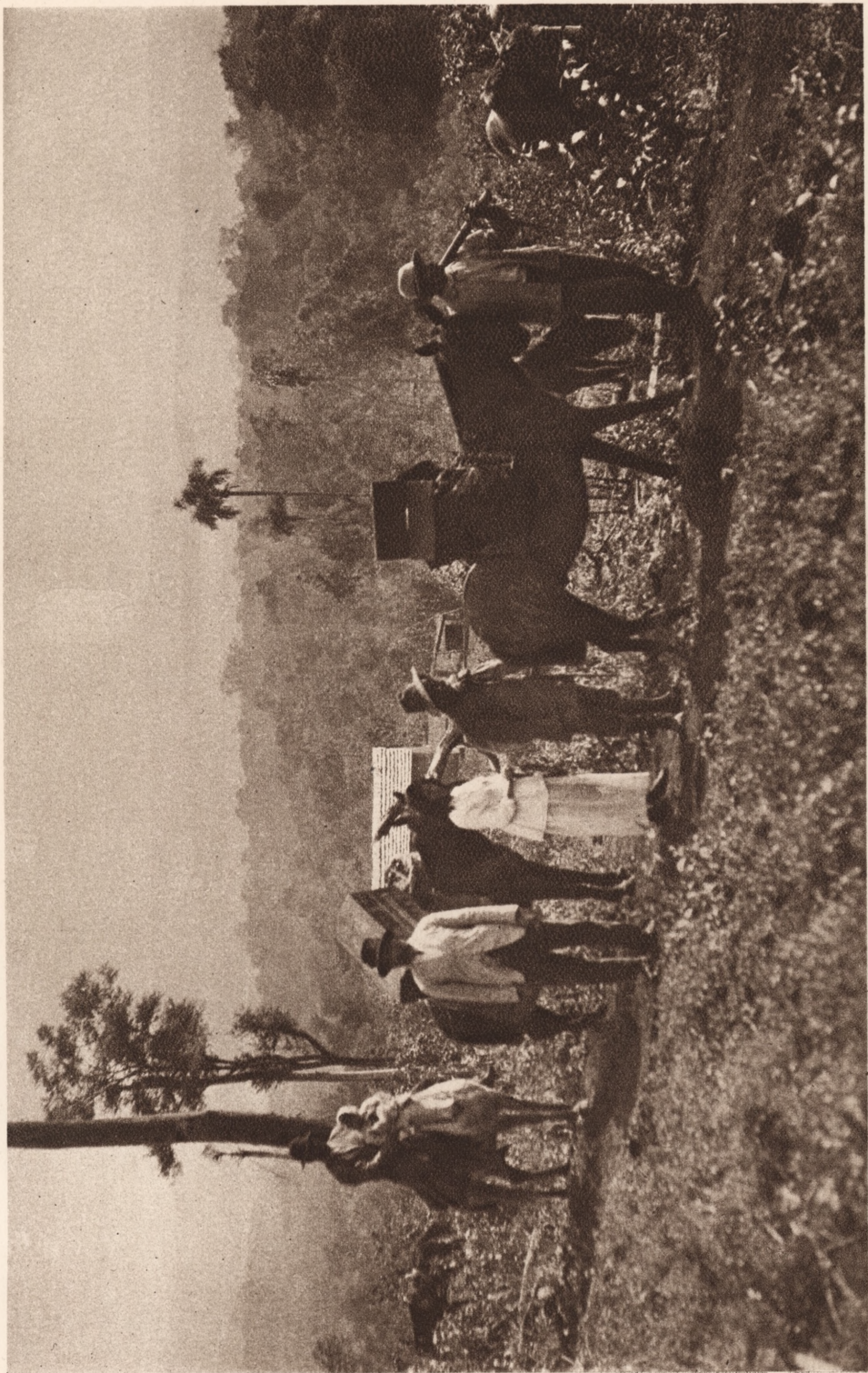
③

④

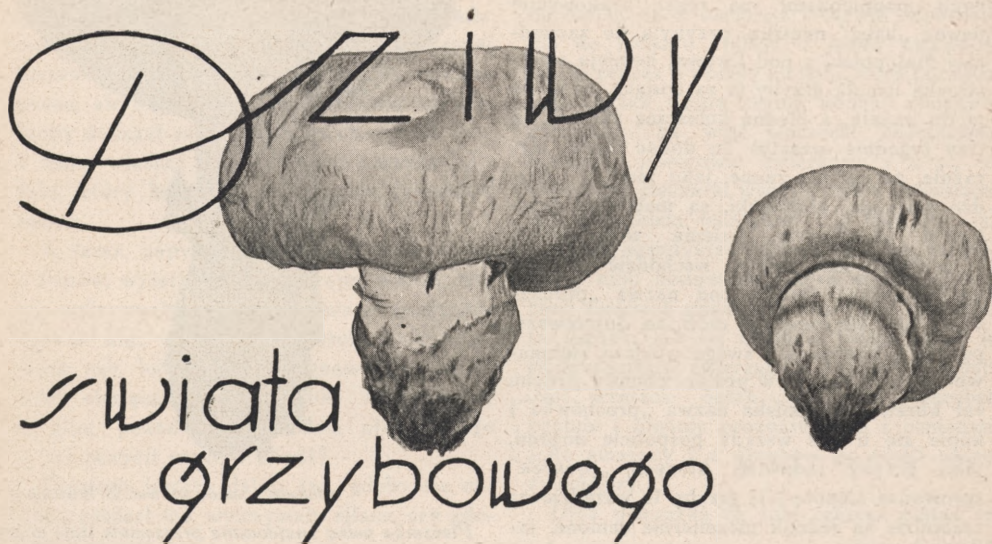
⑤

⑥

⑦



DZIWY świata grzybowego



Ilustrował: A. Ciompa i Z. Wierciak (jr.)

Napisał

Feliks Teodorowicz

Znikomo mało jest ludzi w Polsce, którzyby w grzybach coś więcej widzieli, ponadto, że są wśród nich trujące i jadalne. Z pierwszych wymienia się prawie zawsze tylko muchomora, z drugich zaś: prawdziwka, czyli borowika *), kozaka, maślaka, rydza, gołąbka, podpieńki czy opieńki *) lisicę czy kurkę, — daleko rzadziej wreszcie: smardza, sowę, sarnę, kozie różki (goździanki i goździenice), siniaka, cygana, krówkę, biela vei chrząszcza i t. p., — najrzadziej zaś ogólnie znaną z nazwy, ale rzadko u nas znajdowaną, trufle, jaką lud w okolicach Dukli przezywa śmiesznie „truchłą”.

Sądząc z powyższego wstępu, czytelnik pomyśli, iż pomyliłem się w tytule, skoro nie

piszę o „dziwach świata...” więc o dziwach przyrody grzybów, lecz o dziwach ich nazw u nas; zgóry jednak zapewnić muszę wszystkim, którzy za moim przewodem pragną wejść w niezmiernie interesujący, a ogromnej wielkości moich rodaków zupełnie dotąd nieznanym świat grzybów, że znajdują w nim dziwaczność w każdym kierunku, nie tylko pod względem kształtowania się, czego dowody spróbuję dać w niniejszej mojej skromnej pracy, i nie tylko pod względem nazw, co do których każdy niemal grzyb ma u nas coraz to inną nazwę w każdym okręgu, w każdej wsi, ba! każdej chałupie wsi jednej i tej samej, — ale — co najważniejsze, pod względem znawstwa grzybów w Polsce, sposobów ich użytkowania, odtruwania i rozpoznawania grzybów trujących, wreszcie... zabobonów w zakresie ich biologii i — niewiarygodnych paradoksów, nad którymi niewiedomo czy ubolewać, czy

*) Różnice w nazwach grzybów w poszczególnych częściach Polski są bardzo liczne i dotyczą niemal wszystkich grzybów znanych.

śmiać się z nich do łez gorzkich! I oto dwa bodaj przykłady paradoksalnego stanu grzyboznawstwa w Polsce.

Przed dwoma laty „przylapano na gorącym uczynku” sprzedawania grzybów, zwanych „podpieńkami” na rynku krakowskim pewną „babę” miejską, przybyłą do zachodniej Małopolski z pod Lwowa; komisja magistracka uznała grzyby te za trujące, wrzuciła je do kanału, a biedną kobiecień skazała na trzy tygodnie aresztu! Tu dodać muszę wyraźnie, że ogólnie znane, jako jadalne i bardzo smaczne, podpieńki, są masowym artykułem handlowym jesienią we Lwowie i wogóle na całym wschodzie Polski; ogólnie znane grzyby pod nazwą „purchawek” lub „kurzawek” z racji, że, dojrzawszy, pękają i wysypują z swego wnętrza zielonawo-brunatny pyłek w postaci chmury prochu vel kurzu (staropolska nazwa „prochówka”) kopie się u nas wszędy pospolicie nogami, jako grzyby jadowite, których „proszek” sprowadza ślepotę (!); grzyby te wszędzie na zachodzie są jednak niezmiernie cenione, jako jadalne i bardzo w smaku wykwentne! Do jedzenia bierze się tylko purchawki wewnątrz białe, młode; lecz i ze starych dziś już Francja ciągnie poważne zyski; jesienną porą bowiem, gdy purchawki dojrzeją, snują się po łąkach i pastwiskach liczni specjaliści, którzy każdą, pełną już proszku, purchawkę podejmują i zawartość jej lotną wstrzykują do fiolki uwiązanej na pasie u swych bioder; pełna fiolka proszku przynosi im stosunkowo znaczny zysk ze sprzedaży owej delicii w paryskich restauracjach, gdzie robią z niej smakowite sosy i zupy.

A u nas?... Jak rzekłem—cenne purchawki niszczy się wszędy bezmyślnie.. z wyjątkiem jednej, jedynej!.. Jest nią dla zdrowia ludzkiego szkodliwa, niejednokrotnie zabójcza, „purchawka ziemniaczana” (*Scleroderma vulgare*), jedyna z pośród wszystkich purchawek niejadalna; zbiera się ją zaś, w wielu okolicach Polski, jako trufelę, z tej racji tylko, że jest ona brunatnawa z wierzchu, a przez to podobna nieco do trufli białej (*Choiromyces meandriformis*), lub też z tej racji, że jest czarna w środku, a przez to przypomina trufelę zimową, południowo europejską (*Tuber brumale*). Tę to bezwzględnie niebezpieczną purchawkę ziemniaczaną zbiera-



Malował z natury art. mal. Z. Wierciak (jr.)

Pieczarka polna znajdowana przezemnie stale w pobliżu starych kasztanów. Różni się od innych zupełnym brakiem kołnierza, tworząc jedynie z pękającej w okresie dojrzewania błonki ochronnej rodzaj pochwy wokół przyziemnej nasady trzonu

ją niesumienni grzybiarze we Francji świadomie, zabarwiając ją z wierzchu na czarno i mieszając z truflami (trufla zimowa bowiem jest czarna niemal i z wierzchu); u nas zaś zbiera się ją nieświadomie i w stanie suszonym (plasterki nizane na sznurkach) lub w stanie świeżym sprzedaje za wysokie ceny po pierwszorzędnym restauracjach i handlach delikatesów!

Oto dwa niezwykle ciekawe obrazy skutków lekceważenia nawoływań... choćby członka Akademii Umiejętności w Krakowie, Karola Langiego, który jeszcze w r. 1889, w pracy swej p. t. „Grzyby”, domagał się usilnie wprowadzenia grzyboznawstwa w skład nauk wykładanych obowiązkowo w szkołach ludowych i zawodowych w całej Polsce!

Rozpoczynając swą pracę, zwracam się z prośbą o baczną uwagę do... sportowców! Miałbym chętkę nawet na rozpisanie osobliwego konkursu!—lecz niestety, środki ginącego z głodu polskiego przyrodnika-literata na to nie pozwalają! Zapytuję tylko Was,

panowie sportowcy, którzy trenujecie wciąż mięśnie waszych ciał, to w rzucaniu dyskiem, to w podnoszeniu niewiarygodnych ciężarów, to w najrozmaitszych innych sztukach, ewolucjach, zabiegach, grach i t. p.,—zapytuje, kto z was, dzielnych mocarzy, zdoła utrzymać ciężar waszej jednej, nagiej, niezaopatrzonej niczem ręki przez 5 minut? Rzecz to zresztą znana, ale dotąd nie było na świecie nikogo, ktoby dokazał sztuki wytrzymania przez czas 5 minut własnej ręki w pozycji poziomej! To fakt, który każdej chwili zresztą sprawdzić można.

A teraz zapytam was znów: czy który z Panów, wyjątkowo silny, krępy, wartki, zbity, wytrzymały sportsman, wagi—przypuśćmy—80 klg., o doskonale wyrobionych mięśniach rąk, bark i nóg, śmignawszy z łatwością oburęcznie ciężar 100 kilogramowy w górę ponad głowę, zdoła utrzymać go w tej pozycji przez 5 minut?

Zapytam jeszcze dalej: czy, gdyby się nawet i znalazł tak wytrzymały siłacz, czy zdołałby ruszyć z miejsca choćby odrobinę ciężar odpowiadający 92 krotności wagi jego ciała, to jest w tym wypadku ciężar wagi 7360 klg.?

A gdyby się znalazł taki nieprawdopodobny gigant, to — jak długo utrzymać zdoła ten ciężar ponad swoją głową?..

...Lecz — to wcale nie humbug, nie humorystyka, moi panowie siłacze! Tacy atleci istnieją naprawdę, rzeczywiście, ale — nie pośród ludzi!

Takim siłaczem — jest... pieczarka!

Nauka ochrzciła ją nazwą „Psalliota campestris L.". Jest ona grzybem pospolitym, żyjącym w symbiozie z różnemi drzewami i krzakami (najnowsza zdobycz nauki!), różniczkując się w kształcie i barwie odpowiednio do rodzaju rośliny, z którą utrzymuje ciągly proces wymiany materji, skąd pochodzi właśnie tak liczny zastęp odmian rodzajów pieczarki. Są więc pieczarki kasztanowe, klonowe, jaworowe, świerkowe i t. p., są wreszcie i pieczarki współżyjące z chwastami, jak mniszkiem lekarskim i z trawami, jak z owsem naprzykład (pieczarka t. zw. inspektowa, albo hodowlana, którą w tak olbrzymich ilościach uprawiają Francuzi; pieczarka ta jednak, jak się okazało, rośnie tylko na ekskrementach zwierząt karmionych owsem!). Jest wreszcie nasza „psaliotka" grzybem ogólnie i chętnie poszukiwanym i cenionym, jako smaczny i z grzybów po trufli najpożywniejszy.

Otóż pieczarka ta lubi czasem płać ludziom figle. I to

jakim nawet nieraz ludziom! Samo krakowskie Książę, Ks. Biskup Sapieha, miał przez kilka lat z rzędu ciężkie z nią zmartwienie, jakiemu wreszcie zapobiegł w ubiegłym roku wielkim nakładem pracy i kosztów Zarząd pałacu biskupiego w Krakowie przy ulicy Franciszkańskiej.

A było to tak: wzdłuż frontowego muru pałacu rosły od dawna każdego roku od początków maja



Malował z natury art. mal. A. Ciompa

Pieczarka polna klonowa wzrosła na wolnej przestrzeni (nie pod płytami chodnika). Owoce jej są bardzo białe i drobne



Malował z natury art. mal. Z. Wierciak (jr.).

Symbioza pieczarki z trawą; w tym wypadku nie tylko główne korzenie trawy, ale nawet i młode jej pędy wrastają niejako w zbitą masę grzybni pieczarki.

do późnej jesieni pieczarki, wysadzając wciąż to płyty chodnika, to tynk pałacowy. Wiedzieli o tem liczni smakosze i każdego wczesnego ranka pieczarynki młode, jakby z gniazdek ptasich jaja, wybierali. To porównanie nie wyda się przesadzonym, jeśli powiem, iż raz wybrałem z takiego „gniazdka” 36 ślicznych, bielutkich, jędrnych pieczareczek, wielkości jaja gołębia. Niesumienni „grzybiarze” zostawiali po sobie wszystko w nieładzie, coprędzej uciekając ze smakowitą zdobyczą przed okiem dozorczy pałacu, lub policjanta; ale sumienni poprawiali za sobą chodnik i rumowisko, tak, że gdyby nie pierwsi, to wzrost pieczarek i ich podbieranie w tem miejscu nie przynosiłoby było ani pałacowi ani miastu nie tylko najmniejszej szkody, lecz owszem pożytek, bo pieczarki, wczas wybierane, nie miałyby możliwości rozwinięcia się w duży owoc i postępowego niszczenia chodnika i muru. Zarząd pałacu, pragnąc raz wreszcie zapobiec i fatalne-

mu wyglądowi frontu swego domu i zastraszającemu wprost wykruszaniu się wapna i cegieł muru, zastosował w zeszłym roku — jak rzekłem — wykopanie na 1 metr głębokiego a na $\frac{3}{4}$ metra szerokiego rowu wzdłuż całego frontu pałacowego, w celu wyniszczenia grzybni pieczarek; dla większej pewności założono cały ten rów cementem, w mniemaniu, że oprze się on już chyba skutecznie pieczarce.

Wtedy to właśnie... udało mi się szczęśliwie podpatrzeć najdziwniejszą ze znanych dotąd właściwości przyrody pieczarki, wyłapawszy ją na terenie krakowskich plantów, na gorącym uczynku — symbiozy! Gatunek pieczarki, psującej chodnik i mury pałacu biskupiego, był pieczarką klonową. No, boć inny przecie być nie mógł, więc ani „chodnikowy”, ani „wapnowy”, ani „ceglany”, ani wreszcie „pałacowy”, kiedy po drugiej stronie chodnika rosną sobie tam najspokojniej sznurem stare klony!

Zbadanie istoty rzeczy w czasie kopania rzeczonego rowu upewniło mnie o tem przekonywająco. Oto w czasie pracy tej robotnicy wykopywali z rowu niezliczone ilości pomotanych gęsto sieci włoskowatych korzonków sąsiednich klonów, które wysylały je aż pod sam mur pałacu, wciskając je wszędzie, w każde zagłębienie, w każdą szparę. A sieci te tak były w niektórych miejscach skłębione, że wyjęte z ziemi, po obeschnięciu i opadnięciu jej, przypominały z wyglądu zbite masy końskiego włosa, używanego do materaców. Nie dziwota więc, że wszędzie tam tak obficie wzrastały pieczarki. Widząc, co się dzieje, a czując w duszy zabobonny już wprost respekt dla gigantycznej siły pieczarki, starałem się wytłumaczyć zarządowi biskupiego pałacu całą bezowocność podjętych trudów i kosztów; ale — nie usłuchano mnie, pogardliwem zbywszy milczeniem! Z jakim smutkiem — pojmiecie — cieszyłem się jesienią z widoku... ..pierwszych, nielicznych jeszcze pieczarek, tu i owdzie wychylających swe białe główki z pośród szpar chodnika na miejscach, gdzie kilka miesięcy temu z takim mozołem pracowano. Ale — stało się! korzonki drzew i nitki grzybni, nie dając za wygraną, rozpoczęły swą niszczycielską pracę na nowo! Bo, co tam cement, to fraszka... wprawdzie twarda i zbita, ale pod naciskiem skruszeje, a gdy ani źle nie pachnie, ani nie truje, to już radę dać sobie z nią można! Gdyby tak w miejsce cementu był, o wiele większy wprawdzie, ale cuchnący i trujący ter — to inna byłaby sprawa! wygraliby ludzie! — ale cement?... nie z takimi już grzybek się mocował, a zwyciężył!...

— A z kimże to, panie grzybku, jeśli można spytać?...

Na ilustracji naszej nr. 6, widzimy rzecz niezwykłą!

— Cóż w tem niezwykłego? — krzycicie impetycznie, — ot, zwykły grzyb, pieczarka...

— Najzupełniejsza racja, kochani! Ale przypatrzcie się jej budowie! Sądzę, że ten szczegół nieznanym dotąd nauce, zainteresuje nie tylko Was, panowie sportowcy, którym pracę tę poświęcam, ale — prócz biologów, — zadziwić i zastanowić musi on: anatomów,

lekarzów, a zwłaszcza inżynierów-mechaników i fizyków, którym poranie się z dokładnem obliczeniem siły dynamicznej wzrastającego owocu pieczarki w zupełności zastawiam, prosząc ich nawet najusilniej o przeprowadzenie badań w tym kierunku dla dobra nauki i — ciekawości ludzkiej.

Grzyb nasz, jak każdy inny, różniczkowany na dwie odrębne części: na t. zw. kapelusz, ukrywający troskliwie na spodniej swej części zarodnię, owe ciemno-czekoladowe blaszki, gęsto, koncentrycznie obok siebie ułożone; z pośród nich to sypie się ustawicznie drobnuich, dla nieuzbrojonego oka niewidzialny w poszczególnych egzemplarzach proszek, przedstawiający się w zbitej masie miliardów egzemplarzy, jako nadzwyczaj subtelny pył barwy ciemno-czekoladowej; są to niejako nasiona grzyba, jego zarodniki, tak zwane w nauce spory; każda spora ma zdolność w sprzyjających warunkach (odpowiednia wilgotność, ciepłota i pożywka) do samoistnego „wykielkowania“ i do dania początku nowej grzybni, matki niezliczonej ilości owoców, z których każdy znów niezliczoną ilość sporów wysiać z siebie może! Cóż za olbrzymia twórczość, co za imponująca i niedająca się wprost pojąć siła w stosowaniu prawa o zachowaniu gatunku! — Aby w danym wypadku siłę tej godnie odpowiedzieć, grzyb nasz w niezwykły



Malował z natury art. Z. Wierciak (jr.)

Piękny okaz pieczarki polnej jaworowej; posiada podwójny kołnierzyk, który wyrasta z górnej nasady

sposób uformował drugą, dolną część swego owocu. Jestto trzon, czyli nóżka grzyba, która w zwykłych warunkach jest u pieczarki prosta, pionowa, stosunkowo cienka, u samego tylko dołu nieco zgrubiała; tu zaś nóżka uformowała się przedewszystkiem w niezaprzeczoną dwuramienną dźwignię, o ramionach nadmiernie zgrubiałych i zbudowanych z wyraźnych mięśni; zaś dół nóżki, w tym wypadku może lepiej: potwornej łapy, przechodzi w kształt ogromnej, szerokiej, rozplaszczonej stopy, uwidocznionej doskonale na wizerunku nr. 5. Stopa ta, przypominająca zresztą swą formą stopę ludzką, posiada, widoczne na ilustracji, popielate plamy, jestto naturalny cement, sporządzony w potrzebie przez sam grzyb z jego soku i otaczającego piasku, w celu tem lepszego umocowania się w rozmięklej ziemi dla dokonania niezwyklej pracy. I jeszcze szczegół jeden: oto dziwnie przedstawia się wierzchnia platforma kapelusza! — w zwykłych warunkach jest ona zbudowana wypukle, półokrągło, tu — przeciwnie, głęboko wklęsła, jakby zapadnięta, pokryta mnóstwem widocznych, mniejszych i większych jamek, pochodzących od wypukłości i ziarna kamienia; całe wgłębienie zaś kapelusza, to — jakby silna dłoń grzyba, który, mocując się z głazem, ujął go za wystający w jego środku cypel, aby w ten sposób lepiej skoncentrować swe siły i opór zwyciężyć; i — jeszcze krawędź kapelusza, — to jeden kołisty, mocny, wałkowaty mięsień, jakby wargi, wstrzymujące w czasie dokonywania pracy rozprzeczające się ku obwodowi kapelusza siły!

A jakaż to praca była, co za dzieło, o którym tyle mowy? Oto, zwykła ta sobie pieczarka, o wadze 310 gramów, widząc daremne usiłowania swych siostrzyc, próbujących wydostać się na Boży świat dla wyspania nań swych sporów przez wąskie szczeliny pomiędzy płytami chodnika, — a działa się to dnia 21 lipca 1921 r. w ulicy Franciszkańskiej, tuż pod murem frontowym pałacu książęco-biskupiego w Krakowie, — poznawszy, że, przedostając się przez szczeliny płyt, stożkowo obok siebie poukładanych, zdeformuje tylko swój owoc i celu nie osiągnie, postanowiła wyprzeć całą, hamującą jej dążności, kamienną płytę i w tym celu wyowocowała pod samym jej środkiem, zbierając wszel-

kie możliwe siły dla zniweczenia oporu. I to się jej po części udało! W chwili, gdy zauważyłem ów eksperyment pieczarki, sytuacja przedstawiała się jak następuje: płyta kamienna sterczała nad poziomem chodnika na wysokości 12 cm., robiąc wrażenie, jakby zawieszona była w powietrzu. Fakt ten skonstatowałem o godzinie 5 i pół rano, dzięki tak wczesnej porze, w której ruch na tej ulicy bardzo jest jeszcze słaby, i dzięki położeniu zjawiska na uboczu (w kącie dwóch ścian muru), los chciał, że nikt przedemną na niezwykle unoszenie się płyty chodnika nie zwrócił uwagi i ze zbytku niewskazanej tu ciekawości sytuacji przed właściwym czasem nie zdeformował. Jednem słowem, udało mi się, i temu tylko zawdzięczam możność napisania niniejszej pracy!

Pierwszą rzeczą z mej strony, po zbada- niu niezwyklego zjawiska, było dokładne zważenie jego podmiotu i przedmiotu. W tym celu, uprosiwszy pomocy jednego z przechodniów, przesunąłem wraz z nim do pobliskiej letniej kawiarni kamienną płytę, której ciężar, jak się okazało, wynosił 28,5 kg.



Malował art. mal. A. Ciompa.

Pieczarka wydobyta z pod płyty chodnika przy ul. Franciszkańskiej w Krakowie oglądana od spodu dla uwidocznienia „stopy” podmurwanej cementem.

I teraz kalkulacja wstępna się wyjaśnia! Pieczarka, o 310 gr. wagi, podnosi — powiedzmy — na swej głowie ciężar 28 i pół kilogramów, a więc 92 razy większą od wagi jej ciała! W porównaniu z nią człowiek, o wadze 80 kg., powinienby unieść ciężar— 7360 kg.!

Gdyby można porównać tę pracę naszej pieczarki z pracą, dokonywaną przez t. zw. konia parowego, to niewątpliwie do nader niezwykłych doszlibyśmy rezultatów. Tu jednak sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, a bardziej na korzyść grzyba; bo gdy pracę jakiejś siły obliczamy ze względu na jej wielkość w czasie jednej sekundy, to w naszym wypadku pamiętać musimy o fakcie, iż bohaterka niniejszej opowieści pracę swą rozpoczęła wieczorem poprzedzającego dnia, albo nawet i wcześniej: grzyby bowiem niektóre, a zwłaszcza pieczarka, rozpoczynają wydawanie swego owocu ponad powierzchnię ziemi pod noc, tak, że rankiem dnia następnego sterczy już rozwinięty owoc grzyba w miejscu, gdzie wczoraj go jeszcze nie było; wzięwszy jednak pod uwagę opór kamienia, przypuścić możemy, że mocowanie się z nim pieczarki trwało o wiele dłużej. W rezultacie efekt jest ten, że nasza pieczarka, wagi 310 gramów, unosiła bez przerwy ciężar 28,500 gramów przez przeciąg najmniej 9 godzin, t. j. przez 32,400 sekund!

I któż z Was, panowie sportowcy, takiego cudu siły i wytrzymałości dokona? Gdzie jest mocarz, któryby się śmiał parać z siłami przyrody, ukrytemi w tak śmiesznie nędznej istocie, jak grzyb, rozdeptywany powszechnie i kopany jednym małym wysiłkiem nogi człowieka-liliputa, tego bezmyślnego niszczyciela cudów Bożej przyrody! Czem jesteśmy wobec tego my, z naszą wolą, inteligencją, uczuciami, z miłością naszą nawet niebosięzną, wobec takiego olbrzymiego aktu miłości prostego grzyba?

Bo miłość to tylko, niczem nie dająca się zastraszyć miłość macierzyńska była dla naszej pieczarki bodźcem do tak gigantycznego wysiłku! — aby tylko wydostać się na powierzchnię ziemi, aby jeno rozsypać na łaskę pomocnego wiatru swe maleńkie, a niezliczone dzieci, i... i może, aby ludzkim pyszałkom objawić, że i tam, w owym marnym grzybie, mociącym się z najzwyklejszym kamieniem, jest Miłość, jest Czucie, jest Bóg!...

*
* *

Tu wspomnieć jeszcze muszę o drugim podobnym wypadku, jaki się zdarzył przed

dwoma laty w Krakowie, a jaki dosadniej jeszcze odmalowuje nieprawdopodobną siłę wzrastającego owocu grzyba.

Oto pewnego dnia na środku asfaltowego chodnika w głównym rynku, tuż przed bramą pałacu „pod Baranami”, zauważyć się dał jakiś dziwny wgłórek, wyglądający, jakby nabrzmiewająca bolączka. Dnie wówczas były upalne, ale i wilgotne. Pagórek

z dnia na dzień coraz był widoczniejszy; nikt nie odważył się rozbić, rozkroić asfaltu, w celu zaspokojenia ciekawości. Trwało to blisko tydzień; wreszcie opadło i—wyprężona powłoka asfaltu pękła, ukazując zdumionym przechodniom ukrytą w głębi pęknięcia—monstrualną pieczarkę!... I policzyć, iluż to ludzi przeszło po niej w czasie tylu dni, jakim ciężarom i jakim siłom opierała się zwycięsko, w dążeniu do ostatecznego celu swego bytu i powołania?!...

...I nazywać lubi świat wiekiem pochyłych ludzi — staremi grzybami! Nie bezmyślnaż to ironja, jak zwykle zresztą u ludzi, ironja z niepoznanych prawd i pyszałkowane przywłaszczanie sobie tronu „króla stworzenia”?...



Malował z natury art. mal. A. Ciompa.

*Pieczarka wyjęta z pod płyty chodnika
w ulicy Franciszkańskiej w Krakowie. Wagi
310 gramów.*

Mah-Jongg

Napisał

Jerzy Bohdan
Rychliński

Ilustrował H. Łagowski

— Co widzę, Vosgan! wróciłeś ze Wschodu — zawołał Dr. Anders na widok krągłolicego dżentelmena, który, trwając w przymionem świetle niszcy, przyglądał się rozjarzonemu chaosowi na sali restauracyjnej, chaosowi fraków i bieli lśniącej tualet, iskier brylantowych.

Kapitan Vosgan, powstając, skłonił się ruchem tak esowatym, tak obco, kostycznie wykwintnym, że Dr. Anders dał wyraz swej wesołości: — Ha, ha, ha, ależ z ciebie Chińczyk!

Okrzyk ten był aż nadto usprawiedliwiony. W pomarańczowym świetle abażuru kapitan Vosgan wydawał się kompletnie żółtoskóry. Miał krągłą, lśniąca czapkę z wypolerowanej kości słoniowej i twarz równie krągłą, niemal porcelanową. W jej fałdach czały się tony przezroczyste, parafinowe, zimne. Dzięki wykretnym cienkim, niby chińskim tuszem nakreślonym brwiom, orzechowe jego oczy by'ły odrobinę za skośne, jak na Europejczyka. Nos mały i miękki, usta cokolwiek wiotkie, zamglone wschodnią lubieżą, harmonijnie dopełniały całości. Niemniej ostre, przenikliwe spojrzenie, którem ku Andersowi wyblysnął, znamiowało zgoła niepospolitą energję, przenikli-



wość i szybkość orientacji człowieka czynu. W następnej chwili na ustach Vosgana zakwitł bardzo uprzejmy uśmiech, a w oczach równym blaskiem zapłonęło światelko sympatji.

— Nieżle — opowiedział na powitalne zapytanie Andersa. — Tak, miewam się nieżle, ale o mały włos byłoby mnie djabli wzięli.

— Djabli? To moja specjalność — ozwał się dr. Anders, zamiłowany w demonologii. Na pierwszy rzut oka nikt nie posadziłby go o tak niesamowite gusta. Był to bowiem wysoki, rosły, barczysty mężczyzna w doskonale skrojonym fraku i z monoklem w oku. Miał twarz wygoloną, powierzchowność i ruchy światowca. Jasno-blond włosy układały mu się faliście. Od całej kańciastej prostokątnej twarzy biła iście germańska pewno'ć siebie. — Musisz mi o tych

djabłach opowiedzieć — dodał.

— Chętnie — odparł Vosgan. — Jedziesz ze mną?

Wyszli. Zatrzasnęły się za nimi dżetowe drzwiczki samochodu i natychmiast płaty jasnego światła zaczęły błędzić po ciemnym wnętrzu karoserji i przemijać, niby sny kolorowe. W zawierusze światła różowawych, pomarańczowych, cytrynowych, przeraźliwie białych i łukowo-niebieskich ani jednej myśli nie udało się Andersowi w głowie utrzy-

mać. Przepływały. Pytania padały z ust Vosgana, który wziął teraz inicjatywę. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami z jakimś metalicznym przydźwiękiem, jak gdyby głos nawet mu schińszczał. Dowiadywał się ilu chorych Anders ma w lecznicy i czy zakład pomyślnie się rozwija. Interesy dr. Andersa stały nieźle. Zdołał wyleczyć skomplikowane wypadki zaburzeń nerwowych i zbożeń umysłowych, stosując metody „świątyniowe”¹⁾. Powoli oficjalny świat naukowy zaczynał się z nim liczyć. Był lekarzem dusz. Wpadłszy na ten temat, ani się opatrzył, gdy samochód stanął na C'iffords Gate przed zamieską willą Vosgana. I dopiero wówczas uprzytomnił sobie, że właściwie on przez cały czas mówił, a jego przyjaciel nie powiedział zbytecznego słowa.

Z parteru wewnątrz schodami dostali się do obszernego podziemia, służącego Vosganowi za muzeum i gabinet zarazem. Tu trzymał on swych bogów. Byli to bogowie autentyczni. Znajdowali się tu na wygnaniu w mocy zamorskiego diabła i pirata świątyniowego. Vosgan, bowiem, miał pasję do wykupywania i wyłudzenia przedmiotów kultu. Z drugiej strony, nie będąc barbarzyńcą, zdezonizowanych hierarchów orientalnych traktował z cziłą niemal religijną. Nie obrażał ich brakiem gustu, stylu, czy też muzealną banalnością.

Weszli po śliskiej gładzi mat najcieńszych, przez które przebijał chłód kamiennej posadzki. Owionął ich przejmujący lekkim dreszczem wyziew, jakby świeżo przewróconej ziemi, i lekki ekstatyczny eter kadzideł. W głębi podziemia żarzył się kominek. Niebieskawe błędne ogniki igrały po żużlowej masie żaru. Na rozpląsanem tle z półbłękitu, a półkarmazynu piętrzyły się posągi potwornych, wielogłowych, wieloramiennych, bajecznych bóstw Dalekiego Wschodu, jak hufiec zaklętych w bronz cieni. Polotny blask obdarzał je życiem niesamowitem. Trójgłowy sześcioramienny mocarz zdawał się popływać w złocistej aureoli. Inne znów bóstwa jechały na tygrysach, lampartach i lwach, czających się, gotowych do skoku. Fudo lśniła w kielichu czarnych płomieni z bronzu, a Ma-

ya-Fajin na swym niebiańskim pawiu. Stali wśród bogów cisi Buddhowie i chińscy mędrcy zadumani. Jedna z postaci w zawoju na głowie oderwała się od grupy drewnianych sług świątyniowych i ze skrzyżowaniem rąk na purpurowym saroniu złożyła dżentelmem głęboki ukłon. Był to Asola, Malaj, służący Vosgana. Przyniósł zieloną herbatę w przeświecających filiżankach, dorzucił polano do ognia i, nie zapalając światła, zniknął na skninienie swego pana.

Długo dwaj przyjaciele w głębokich klubowych fotelach siedzieli naprzeciw siebie bez słowa. Polano rozpalało się. W jego blaszkach na potrójnym lotosie stała przepiękna, miłościwa Kwannon, bogini „łaski pełna”. Stała — o bluźnierstwo! — przy demonie Tengu. Słodkie jej oblicze, schylone „ku ustom modlącym się” obok konwulsyjnej maski skrzydlatego demona z płonącymi oczami, stanowiło kontrast rażący, niczem między niebem a piekłem. Ilekroć dr. Anders oglądał ów posąg bogini w podziemiu swego przyjaciela, serce ścisnęło mu doznanie nadludzkiej słodyczy i nieckreślonych ukojeń. Wśród przerażających bóstw Wschodu, władców ognia, ziemi, wody i powietrza, stała najcichsza, a najmocniejsza. Wiecznie kobieca. Andersowi przychodziły na myśl ostatnie słowa z Fausta: „Pierwiastek Wiecznie — kobiecy pociąga nas ku sobie”. Lecz na tę właśnie chwilę wewnętrznego przejrzenia w sercu demonologa czyhał smok odwieczny; dźwiękał się potwornie kłęby i z paszczy ogniem zionął. W kątach ust świątyniowca zakwitał wówczas lśniący, śmiertelny uśmiech.

Tymczasem myśl jakaś gorzka zbrudziła pergaminowe czoło Vosgana. Wyraz głębokiej, nieuleczalnej melancholji osiadł na krągłej jego twarzy.

— Nie utonąłem tym razem. Szkoda! — westchnął, rzekłbyś, z pod nagrobka. — I łaska bogów bywa przekleństwem.

— Ba! — podchwycił Anders. — Ależ nie-
sporo ci z tą opowieścią.

— Na pozór nic szczególnego — otrząsnął się Vosgan. — Przeszedłem przez tajfun. Ale powiem ci szczerze — dodał, zniżając głos i oglądając się zabobonnie — wziąłem z Hong-Kongu skrzynię opjum.

Pozorny, czy rzeczywisty brak logiki w tych słowach jeszcze bardziej zastanowił Ander-

¹⁾ Metody, które stosowali kapłani wszelkich epok i kultów,



Długo dwaj przyjaciele w głębokich klubowych 'otelach siedzieli naprzeciw siebie bez słowa

sa, który, poszedłszy za kierunkiem wzroku kapitana, odkrył w półcieniu, u stóp demona-ptaka, skrzynię, obitą brezentem.

Vosgan uśmiechnął się zagadkowo. — Od czasu, gdy wziąłem na pokład tę skrzynię, zawisło nademną fatum — akcentował z przejęciem. — Opjum pochodzi z plantacji pewnego mandaryna, zamordowanego wraz z rodziną podczas napadu bandytów z północy. W obawie przed konfiskatą trzymał on swój skarb w pałacu. Nie masz pojęcia ile ofiar pochłania wojna domowa w Chinach. Wieczne pożary i dudnienie wielkich bębnow u pagód, w cieniu gajów morwowych. Asola, mój Malaj, którego posłałem po opjum, znalazł skrzynię w kałuży krwi. Opjum musiało nią nasiąknąć... I dlatego właśnie przedstawia dla mnie taką wartość.

Demonclog skinął głową ze zrozumieniem. Znał przecie magiczne właściwości krwi. Oczy rozgorzały mu świetliście, uśmiechnął się okrutnym łyskim bieli.

— A jednak przekonany jestem... — urwał. — Spędziwszy pół życia na Wschodzie, stałem się zabobonny. Dość, że między Hong-

Kongiem, a Sajgonem balansier mi pękł. Balansier jest to dźwignia, łącząca tłok z rozpędowym kołem maszyny. Ledwie dotknąłem się do Sajgonu. Rzecz szczególna, że lewy pałak — dźwignia ta składa się z dwóch pałaków — wyglądał jak przepiłowany. Nikt z załogi nie mógł tego zrobić, bo wszystkim jednakowe groziło niebezpieczeństwo. Przecież nocami wybuchały alarmy. Marynarze upewniali mnie, że w kadłubie, wśród pak z bawełną słychać podejrzone hałasy, szmery... Może to były szczury, kto wie.

Vosgan ożywał się w miarę, jak mówił. Oczy mu biegały niespokojnie. Dr. Anders z oka go nie spuszczał; na groty swych spojrzeń zdawał się nizać niepewne gesty przyjaciela.

— W Sajgonie niema wielkich mechanicznych warsztatów — ciągnął Vosgan. — Niepodobna było dostać nowy balansier, więc kazałem stary sklecić nitami. Ledwie jednak znaleźliśmy się na pełnym morzu, barometr zaczął spadać, spadać!... 29 i osiem kresiek, potem siedem i pół, siedem. O, myślę — źle! Najpierw wiatr zaczął skakać po kwadran-

tach*), potem, jak zadmie! 10, 11 stopni, pół sztormu, sztorm. Zaczęło się w południe. Pierzaste, skołtunione chmury z miedziąnym, potem purpurowym odcieniem. Zmierzch. Fałę spiętrzone, strome, piramidalne. Statek walił się z nich z takim trzaskiem, jakgdyby się obłamywał, rozpękał. Co chwila śruba z febrycznym furkotem wylatywała z wody i trzęsła, jak wszyscy djabli. Parno. Huragan ten nie miała w zanadru ani odrobiny trzeźwości. Co tu gadać—tajfun! Zadeło z S. W., właśnie od strony Sajgonu. O powrocie z kulającą maszyną przeciwko wiatrowi, ani mowy. Wiatr wykręcał ku południowi i gnało nas z nieobliczalną szybkością ku Nagasaki. Pędziliśmy pod wiatrem, zawsze pod wiatrem, by nie forsować balansiera; maszyna była jedynym naszym ratunkiem. Przeszedłeś kiedy przez tajfun?

Dr. Anders potrząsnął głową.

— Nie, mniejsza. Nie będę ci opisywał tajfunu. To zmore! — Zapadł w czarną zadumę, utkwivszy wzrok w rozżarzonej głowni. Dokoła bogowie zdawali się wraz z nim dumać o huraganach, które rozpętały za czasów swej wspaniałości.

— To zmore! powtórzył, zezując ku skryżni. — Ulewa na nas gnała, wyła, lecąc poziomo po fali, zatykając nos, uszy, usta. Niepodobna było spojrzeć w oczy wichrowi. Ciemno, choć w pysk daj.

Vosgan się przeistaczał. Już nie złotem dzwiczał głos jego, ale stałą. Z oczu tryskały mu czarne błyskawice. Grała w nim krew białego zdobywcy. Oto kapitan, depczący tajfun.

— Było to o szóstej — ciągnął. — Wypatrywaliśmy latarni Ioo - Sima u portu Nagasaki. Nagle marynarz, stojący na oku, na dziobie, w łomoczącym odmiecie, wygwizdnął coś przeraźliwym, przeszywającym trylem. Po lewej stronie skroś ciemność, chybot, wicher i ulewę, dostrzegłem czarny, jak noc, prostopadły cień w kształcie głowy cukru. Serce mi uwieźło w żebrach. Zmartwiałem. Była to fatalna Hiki - Sima, a pod nią czterdzieści sążni głębokości. Niosło nas wprost na nią.

Kapitan Vosgan zdawał się przeżywać niebezpieczeństwo poraz drugi. Krzyczał dźwię-

kliwym głosem. Hektyczne plamy wystąpiły mu na kremowe policzki.

— Na lewą burtę ster! — krzyknąłem. — Pełny bieg! — ryknąłem do maszyny. — Pełny bieg! — *Valparaiso* zadygotał febrycznie od przyspieszonego tchu maszyny. Dygoty, drgawki, warkoty i stuki. — Czy balansier wytrzyma? — stanęło mi w oczach ognistemi hjeroglifami. Wykręcał się z pod wiatru, kładąc się na lewą burtę coraz bardziej i bardziej... Gdy stanęliśmy w pół-burty do huraganu, runęły na nas bałwany, jeden, drugi... Prysk, kipiel, war, chaos i zupełne ciemności, bo zalało otwarty luk od dynamo.

Sunęliśmy wciąż jeszcze na skałę, a raczej piekielna Hiki-Sima sunęła ku nam. Piętrzyła się po lewej burcie śródokręcia, wreszcie jak fatum nad nami nawisła. Lecz nawet w owej chwili, gdy taran śmierci mierzył mi wprost — między oczy, w oko Sziwy, gdy twarz miałem stęzą, jak żelazna maska, głos jakiś tajemny żywił we mnie, podsycał płomyk nadziei. Był to moment śmiertelnej ciszy wśród tajfunu. Serce przestało mi bić młotem i stanęło, niczem zatrzymane wahać o. Jak długo to trwało, nie wiem, dość, że *Valparaiso* dał znak życia, ruszył naprzód, wyrwał się z paszczy cyklonu. — Ster w pianach! — doleciał mnie okrzyk oficera, postanego na rufę. Skała w ostatniej chwili mogła nam ster oderwać. Więc zawołałem: Równo! *) — Ledwie Hibi-Sima została za nami, kirowa opona na niebie rozdarła się, rzekłbyś, jedwabna zasłona i z oka cyklonu wyjrzało niebo. W pół godziny później balansier pękl rzeczywistość, ale byliśmy już w Nagasaki...

— Czy tylko opowiedziałeś mi wszystko?

Vosgan milczał dłuższą chwilę. Potem wybuchnął przydecho: — Nie! Miałem w Hong Kongu żółtą kochankę, Thao, tak ją nazywałem, chińcząc europejskie imię Tea. Cudna była dziewczyna. Z czarnych jej oczu tryskał ogień, usteczka paliły się, jak purpurowy hibisens. Cudna. Od drobnej, filigranowej postaci Thao bił urok księżniczki z cesarskiej krwi Manczu. Była córką mandaryna, od którego kupiłem opjum. Z nią to spotykałem się nocami w obrębie „zakazanej” rezydencji mandaryna. Dokoła krew się lała, obarczone

*) 90°.

*) Ster w płaszczyźnie osi okrętu.

łupem cienie pomykały, pochodnie błdziły, jak widma, i ponuro huczały bębny... Chciała uciec ze mną, lecz, gdybym ją zabrał, sprawa w najlepszym razie oparłaby się o poselstwo, unikać zatargów z krajowcami jest tam hasłem dnia. Awantury i skandalu z żółtoskórą dziewczyną nasz biały świat nigdyby mi nie darował. Dość, że właśnie na tej pace opjum — rzutem głowy wskazał pakę u stóp demona — zaszytętowała się w przeddzień mego odpłynięcia z Hong-Kongu. Jej to krwią opjum nasiąkło. Pałac mandaryna spalono tejże nocy, ale Asola zdążył jeszcze zabrać przekłętą pakę...

— Oh — jęknął Vosgan, jak gdyby dusiła go zmora. — Od tej chwili prześladowe mnie fatalność. Ktoś jest przy mnie; ktoś mnie ściga. Czyjaś obecność czuję ciągle... Kto tu! — Drgnął, złamał się niemal we dwoje i schwycił Andersa za rękę. Czy miał utkwione w pakę z opjum.

Anders wstał i odkręcił kontakt. Białe światło zalało podziemną salę. Nie było nikogo. Postacie z brązu i z drzewa wystąpiły konkretnie. Vosgan powstał, chwytając się ramion fotela. W wczas dopiero Anders zauważył dziwny pierścień na jego ręku. Był to prostokąt z kości słoniowej, oprawny w złoto, z widniejącą na nim czarną chińską literą.

— Co za dziwny pierścień? — zapytał.

Rozgorączkowany Vosgan biegł już między bogów i nie słyszał, czy też udał, że nie słyszy pytania.

— Zdawało mi się, że tu ktoś stał... u paki.

Przebiegli istnym labiryntem wśród tłumu postaci z brązu, aż po ostatni posąg w samym rogu sali. Był to czarny, wysoki Jizo, dawca długiego życia. Dłuższą chwilę milczeli. Vosgan wciąż jeszcze strzygł uszami.

— Czy paliłeś to opjum? — spytał jeszcze Dr. Anders zimnym, fachowym głosem.

— Paliłem — brzmiała odpowiedź — nim balansier pękł.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł Anders, odwracając się raptownie i kładąc Vosgano-

wi rękę na ramieniu. — Wyrzuć tę skrzynię z opjum, wyrzuć do wszystkich djabłów, a przedewszystkiem nie pal, nie pal, mówię, jeżeli ci zdrowe zmysły mile.

Głos Andersa zahuczał grobowo. Vosgan milczał chwilę.

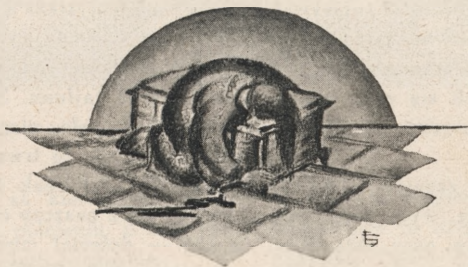
— Skrzynia zawiera pięć szuflad po dwadzieścia kul i kosztuje dwa tysiące chilijskich dolarów — odparł z wahaniem.

— To sprzedaj, zaraz jutro sprzedaj...

I z temi słowy rozstali się. Wychodząc, Dr. Anders przewrócił lakowy stolik z rozłożoną na nim kompletną grą Mah-Jonggu. Domina posypały się. Vosgan skoczył. Dr. Anders powiał doń ręką na pożegnanie. Uśmiechnęli się do siebie zdala.

Nazajutrz Anders spytał przyjaciela przez telefon, czy sprzedał pakę, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zajął się swemi sprawami. Tak winna była, jego zdaniem, skończyć się niebezpieczna przygoda ze złamanym balansierem. Lecz logika faktów mocniejsza jest od logiki umysłu ludzkiego. Fakt to tylko jedno ogniwo w łańcuchu przyczyn. Po paru tygodniach,

w ciągu których Anders widywał Vosgana coraz rzadziej, i, notabene, coraz bardziej zdenerwowanym, ciało nieszczęsnego kapitana dobyto z Tamizy. Wiadomość o zagadkowej śmierci przyjaciela spadła na Dr. Andersa, jak grom z jasnego nieba. Wszelkie poszukiwania, prowadzone energicznie, choć chaotycznie, ustały wkrótce i do niczego nie doprowadziły. W oczach Andersa jednak tajemnicza paka nie przestała być niezdefiniowaną, cprawda, ale poszlaką. Nie wyjawiał tej okoliczności, jako uwłaczającej pamięci zmarłego, ale wybadał wiernego Asolę i uzyskał od niego adres, pod którym pan kazał mu odstawić skrzynię. 173. Drary Lane. W. C. nad Tamizą — miejsce zakazane! — Za pośrednictwem prywatnej, wypróbowanej agencji Dr. Anders ustanowił dozór nad podejrzaną rudera. Wkrótce donieśli mu ajenci, że w sąsiednim domu od Wharf City Lane, bywa o późnych godzinach nocy sporo dzeń-



telmenów i różnoplemiennej hałastry. Domy te stykają się murami. Goście zajeżdżają automobilami na Wharf Square, a stamtąd przez ciemny pasaż docierają wgłąb odległego podwórca, wracają zaś bardzo późno nad ranem. Dr. Anders wiedział, że podobne spelunki mają pewne hasła, znaki. Nie będąc ani zawodowcem ze Scotland-Yardu, ani też delektywem - dyletantem i powodując się nie tylko zdrowym rozsądkiem, co instynktem, zaczął dawać pilne baczenie na wszelkie przejawy chińszczyzny w towarzystwie, w którym się obracał. Ku niemałemu swemu zdziwieniu u dwóch dzentelmenów zobaczył na ręku pierścienie, podobne do tego, który widział u Vosgana. Tabliczki te różniły się tylko gzygzakiem i literą. Stwierdziwszy dalej, że są to domina skomplikowanej gry chińskiej, Mah-Jongg, był już w domu. Domina te służyły najwidoczniej dla jakichś tajemniczych celów organizacyjnych, co pasowało wyśmienicie do spelunki eleganckiego świata na Dreary Lane. Czyżby klub Mah-Jonggistów? Dobry pomysł. Niewinna gra. Dr. Anders zaczął więc namiętnie studjować chińską łami-główkę. Jak dotąd, los dawał Dr. Andersowi same atuty, z których największym była powierzchowność jednego z Mah-Jonggistów. Z postawy, wzrostu, rysów twarzy Mr. Pearson znakomicie przypominał Andersa, który niezwłocznie obstałował sobie pierścień z takim samym dominem. Była to trójka bambusów — również sprzyjająca okoliczność, gdyż gzygzak ten nie rzucał się tak w oczy, jak na przykład znak któregoś z wiatrów, lub smoków. A przytem Dr. Anders miał wiarę w powodzenie swej imprezy, doświadczenie zaś nauczyło go liczyć się z nastrojami. Mr. Pearson, będąc właścicielem ziemskim, wyjeżdżał często do swego majątku. Któregoś słotnego dnia grudniowego zaufana agencja doniosła Andersowi o wyjeździe Mr. Pearsona. Postanowił tedy z tego skorzystać. Z trójką bambusów na ręku i z pistoletem w kieszeni dał nurka w labirynt nadbrzeża Tamizy.

Lampy łukowe na Wharf City Square popływały w zawieszanej mgłę, nakształt tyłuż przesłoniętych chmurami księżyców, domy były czarnymi górami i z reguły wynurzały się w odległości siedmiu kroków, a ludzie zjawiali się i nikli, jak cienie. Niby w czapce—

niewidymce Anders dotarł do ciemnego, choć oko wykol, pasażu i, wychynawszy na dno wysokiej studni podwórca, stanął przed niskimi, potwornymi drzwiami, opatrzonemi zakratowanym okienkiem i kołatką z brązu. Oto stał przed warownią wroga. Jak się do niej wśliznąć niepostrzeżenie? Może kto nadejdzie, może mu da przykład? Ukrył się jak mógł najlepiej we wnęce muru i czekał. Wkrótce wysoki, chudy cień w cylindrze, jak ruchomy komin, wynurzył się z tunelu i, rzekłbyś na szczudłach — mgła nadawała mu pozory istnego bociana—kroczył ku drzwiom. Stanął przed nimi, jak czapla nad mętną wodą, zerknął w prawo, zerknął w lewo, zupełnie po ptasiemu, potem podniósł kołatkę i opuszczył ją raz. Drewniany stuk. Okienko się otworzyło i skroś kratkę padł mętny, zielonkawy blask wprost na pierś człowieka — tyki. Ów zakolysał jedną z długich przednich kończyn, niby ramieniem żórawia i rękę podniósł przed kratę. Wyraźnie zalśniło złoto pierścienia. Bez słowa drzwi się otworzyły i, schylając wyniosły cylinder, dryblas w nich zniknął. Już Anders miał pójść w jego ślady, lecz na szczęście zastanowił się, że jedno stuknięcie nie wszystkich może obowiązywać. Pół godziny minęło, godzina, nikt nie nadchodził. Anders zaczął tracić cierpliwość. Wreszcie z tunelu wytoczyła się istna fasa, zmierzając wprost do drzwi zakazanych, rzekłbyś bukłak z winem do drzwi czarownicy w Mondanzy. Tym razem rozległo się siedem stuknięć. Tłusta łapa mignęła w zielonawym świetle i drzwi się uchyliły. A więc ten był siódmką. Ze względu na swą tuszę, pewnie siódmką *kólek*, jak tamten jedynką *bambusów*. Jakież inne pasowałyby do nich domina? Teraz Anders wiedział już czego się trzymać. Sam był trójką bambusów, a więc ma stuknąć trzy razy. Cała trudność polegała najwidoczniej na wejściu do tego sezamu.

Po chwili, tedy, Anders wyszedł z ukrycia i skierował się ku tajemniczym drzwiom. Czy się przed nim otworzą? A jeżeli nawet się otworzą, to czy zdradzą mu tajemnicę losów przyjaciela? Czy biedny Vosgan przeszedł przez nie, jak przez furtę Erebu, by więcej na ten londyński mglisty padół nie powrócić? Czy tedy prowadzi droga do Tamizy? Lecz cóż takiego mógł przeskracać Vosgan,



prawowierny i autentyczny Mah-Jonggista? Wszystkie te myśli rwącym nurtem przepływały mu przez głowę, gdy ujmował za kołatkę z brązu. Zastukał trzy razy. Okienko otworzyło się i w seledynowej plamie jasności mignęła za kratką twarz Chińczyka. Ów spojrział na okazany mu pierścień. Drzwi się uchyliły. Na matach przedsiönka stała rogowalarnia z kwarcowymi szybami; lało się z niej niebieskawe, mdłe, upiorne światło. Dokoła ciemność. Jeżeli twarz Chińczyka ukazała się w seledynie, to wskutek refleksu od żółtych jedwabi, w które był przyodziany. Na krągłej, a spiczastej jego czapce jarzył się brylantowy guzik mandaryna. Zgiął się w przesadnie uniżonym kostycznym ukłonie. Podniósł latarnię i bez słowa zagłębił w ciemny zupełnie korytarz, u wejścia do którego czyjaś niewidzialna ręka z wprawą apasza zdjęła z gościa cylinder, płaszcz, rękawiczki, całą zwierzchnią powłokę. Dr. Anders sześć korytarzem za kancią, spiczastogłową sylwetką z upiornym światłem w ręku i w seledynowej aureoli. Dym ciężki, mdły i niebieskawo płynął gościowi na spotkanie, opęłzając go zawrotnym i ołowianym nastrojem, który w pierwszych chwilach pada brzemieniem na duszę, dopiero później wizja się rozwidnia. Mimo to, Dr. Anders rozciął trupie dymy, jak skalpelem, i podjął przerwany wątek myśli: — To ja winienem śmierci Vosgana. Sprzedawszy cały zapas opium, a będąc nałogowym palaczem, musiał szukać go tu, czy gdzieindziej. — Odetchnąwszy raz, drugi, trzeci palarnianą atmosferą, myślał w szybszym tempie: — Tu sprzedawał swoje opium, znał adres spelunki. Gdzież miał się udać, jeżeli nie tutaj? Nadto miał pierścień. Skąd u djaska wytrzasnął ten pierścień? Nigdy go przedtem nie nosił, bo nie miał go wcale... Myśl Andersa zawróciła, gdy stanęli w ciemnej i, bodaj, krągłej sali. Wywnioskował to z migania światełek, tworzących niemal regularny okrąg. Mandaryn zawiesił lampę pośrodku sali nad czworokątnym stołem z podniesionymi brzegami i zamajaczył poza plamą światła. Dokoła sali ciągnęły się, jak gdyby łoże. Było ich kilkanaście, z których za ledwie kilku nie ożywiały ogniki. Ku jednej z nich Chińczyk skierował kroki i w następnej chwili mignął i tam ogieniek. Do tej łoży, snąc dla niego przeznaczoną, podszedł An-

Wkrótce wysoki, chudy cień w cylindrze, jak ruchomy komin wynurzył się z tunelu... kroczył ku drzwiom...

ders. Musiał przyznać, że palarnia Mah-Jonggistów doskonale była urządzona, bez niesmacznej chińszczyzny, czysto, z niebylejakim gustem. Nic, co mogłoby krępować lub tamować połot ducha. Łoże było miękkie — w sam raz dla Europejczyka — i zasłane śliską, ciężką, haftowaną materją. Rozciągnął się na niem, nie żywiąc zbytecznych obaw. Nie został dotąd poznany i nie mógł zostać poznany nawet w świetle rogowej lampy. Niemniej tajemniczość w świątyni Królowej Maku przejmowała niesamowitym dreszczem. Dr. Anders był oddawna obznajmiony z manipulacjami palacza opjum. U węzłowania, na małym stoliku lakowym, w świetle spirytusowej lampki, widniała zwykła bambusowa fajka, igła i świeżo ugniecione ziarnko opjum, wielkości sporych grochowin. Jedwabie Chińczyka szeleściły dyskretnie gdzieś w pobliżu. Anders musiał wypalić choć jedną fajkę. Wbił ziarnko na igłę i trzymał je chwilę nad płomykiem. Brunatna lepka kulka zawrzała, stając się przezroczystą, bursztynową perłą. Wówczas przeniósł ją szybko i zręcznie do wnętrza metalowej narośli, skąd pasmo dymu przenika do wnętrza bambusa, otwartego z jednego tylko końca. Manipulował od niechcenia. Bojąc się, że jest obserwowany, pociągnął parę razy z rzędu. Nie będąc palaczem, doznał przykrego zamdlenia. Leżał pod opjumowym całunem i kurczowo, jak deski ratunku, trzymał się przewodniej swej myśli: — Skąd Vosgan wytrzasnął pierścień? — I oto wątpliwości jego rozproszyły się, niczem nocny opar o wschodzie słońca. Od kogo mógł go dostać? Od kogóżby, jeśli nie od klubowego mandaryna. Sprzedał mu przecież opjum. Czemuż to gospodarz palarni nie miałby zaufać swemu dostawcy, wijącemu się, przytem, w szponach nałogu? Niewarto nawet się zastanawiać. Dziwne, zaiste, jaką przenikliwością i pewnością umysłu darzy czasami Królowa Mahu. Od zewnętrznego świata dzielił Andersa mglisty nalot, nie tak gęsty jednak, by przezeń nie dostrzegł żółtej maski mandaryna, służebnego ducha tego przybytku. Stał przed nim i na lakowej tacy podawał mu kubek z kostkami. Anders machinalnie ujął kubek i wyrzucił aż jedenaście punktów. Chińczyk odszedł i dalej wzdłuż kręgu łóż słychać było grzechotanie kostek.

Potem wszystko ucichło. Milczący Chińczyk jednakże zjawił się znów przed Andersem i głębokim, wymownym ukłonem zapraszał go do stołu gry. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Czterech osobników, dość chwiejnie, wyszło z różnych łóż. Wśród nich był poprzednik Andersa u zakazanych drzwi, człowiek — tyka. Zajął on naczelne miejsce *wschodniego wiatru* (musiał wyrzucić dwanaście). Po prawicy jego na skinięcie mandaryna, zasiadł Anders. Dalej *zachodnim wiatrem* był człowiek—fasa, drugi poprzednik Andersa, *północnym wiatrem* zaś i ostatnim partnerem—jakiś Japończyk. Ukłonili się sobie nawzajem i Anders nie wątpił, że wzięli go za Pearsona. Szybkim spojrzeniem obrzucił otaczające go indywidua. Wiatr wschodni był najciekawszy. Miał długi, prosty nos i szerokie usta, nadto cerę przylegającą do kości policzkowych, jak biały papier, i małe oczy, zaognione. Wytrwały wielbiciel Królowej Mahu! Człowiek—fasa był okazały pod każdym względem. Frak na nim aż trzeszczał. Na krągłą, księżycową jego twarz niebieskawy blask latarni kładł przejrzyste, limfatyczne, trupie cienie. Ale północny wiatr, płaskolicy i o paciorkowatych oczach, podobniejszy w tem martwem świetle do Eskimosa, niżli do Japończyka, był dla Andersa księgą zamkniętą na siedem pieczęci. Nie dziw, przedstawiciel kremowej rasy. Mógł tu przychodzić równie dobrze dla samej tylko gry, czy dla samego opjum. Kto wie, co za tajemnica kryła się poza Mah-Jonggiem?

Mandaryn przystąpił do stołu i szponami w lśniących pokrowcach ze złota poprzewracał kamienie. Każdy z graczy — krągłemu jegomościowi ręce widocznie drżały — ustawił przed sobą dwurzędny szereg kamieni. Zsunęli je, tworząc chiński mur. Rzucili kości, przełamali mur. Anders wyłożył trzy *kwiaty* i trzy *pory roku*, dostał za nie sześć kamieni. Miał odrazu dwie trójki: 2, 3 i 4 bambusów i 6, 7, 8 znaków, przytem parę *smoków czerwonych*. Gra szła nerwowo i szybko. Z kwarcowej latarni nad stołem mżyło upiorne światło na kość słoniową, wlewając niesamowite życie w rozbiegane oczy, zaciśnięte usta i drżące ręce, opatrzone klubowymi pierścieniami. Najspokojniej zachowywał się Japończyk. Grał biegle i wprawnie,

przeprowadzając kombinacje, których Anders nie potrafił dociec. Dawał naprzykład pierwszeństwo *sekwansom* przed *trójkami*. Anders grał miernie, lecz po Japończyku był najprzymienniejszy. Jako *południowemu wiatrowi* udało mu się wziąć *chore* po wschodnim, a potem wziął odrzucony przezeń kamień i użył *Łaskę Raju*. — Mah-Jongg... — padły z jego ust sakramentalne słowa, które znaczą i ja biorę. Ale co? Wygrał. Co wygrał? — zaświdrowało mu w głowie. Nastąpiło poruszenie. Zawistne spojrzenia człowieka—fasy coś przecie mówiły. Jak się teraz zachować? Wstał, skłonił się i odszedł do swej łoży. Mandaryn przystąpił do stołu i zaczął rozliczać punkty. Iga, paga, liga, czyga... — dźwięczał od stołu jego złoty głos. Potem cienie pod latarnią zapląsały w ukłonie i gracie się rozeszli.

A jeżeli?... jeżeli to klub samobójców! Mimo ciężaru w głowie i w kończynach, Anders, jak podrzucony sprężyna, porwał się na łożu. Może wygrał śmierć własną. Czyżby

upiorny klub samobójców Poego? Czuł, że cierpienie na nim skóra. Jako neurolog, wiedział, do jakich chory umysł zdolny jest potworności. Czemużby jednak ów człowiek—fasa patrzył nań z tak wyraźną zazdrością? A może to chory? Nieuleczalnie chory, który pragnie skrócić swoje cierpienia? Bo im mniej komu życia pozostaje, tem bardziej się go czepia. Przedewszystkiem, spokój! Musi stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem.

Minęła dłuższa chwila. Mandaryn porządkował kamienie na stole. Coraz to diamentowy guz z jego czapki wypryskał ziemni ogniami przez pół sali. Sylwetkę Chińczyka wyraźnie widać było w martwym rozbrasku. Oczy miał bardzo skośne, wydatne kości policzkowe i rysy, naogół, drapieżne. Anders obserwował go przez parę minut ze swej łoży, lecz nic nie potrafił wyczytać z twarzy zastygłej i obcoplemiennej, jak tybetańska maska. Ktoś na sali się poruszył, ktoś jęknął, niebieskawe płomyki drgały, gasły i rozpalały się. Potem mandaryn odczepił rogową latarnię i ruszył posuwać wprost ku ży Andersa. Stał przed nim, gnąc się w milkliwym ukłonie. W świątyni Królowej Mahu — cisza, jak makiem siał; prócz paru sakramentalnych słów przy grze, nie padło dotąd ani słowo. Śnać obowiązywało tu bezwzględne milczenie.

I tym razem Chińczyk ruszył przodem, Anders zaś w jego ślady. Przelecieli salę i weszli w korytarz, biegnący w przeciwnym niż wejściowy kierunku. Cienie Chińczyka krótkie i garbate, wysmukłe i miłowe padały na maty pod nogami, ślaniały się po jedwabiem obitych ścianach. Wnętrza tego klubu, ani słowa, były w każdym calu wytworne. Nic zbytecznego. Korytarz wydał się Andersowi dość długi, załamał się i skończył u drzwi zasuwanych z przeświecającego białego papieru, rzekłbys szyby wodnej, ściętej mrozem.



Każdy z graczy ustawił przed sobą dwurzędny szereg kamieni



Przed nim na jasno oświetlonej od wewnątrz szodźi w przeciwległej ścianie — tańczył czarny cień giejszy

Andersowi serce zabiło jak młotem, gdyż szodźi oświetlone były z wewnątrz, a cień ludzki zarysował się na nich i przepadł. Światło wewnątrz zgasało. Mandaryn z pośpiechem oddał Andersowi latarnię i znikł za zakrętem korytarza. Pośpiesznie, panicznie niemal pantofle jego zaszemrały po matach. Z pistoletem w prawej i latarnią w lewej ręce Dr. Anders odsunął szodźi i wszedł do małej pustej izdebki, w której prócz parawanu z czarnego jedwabiu i wezglowia na matach, nic literalnie nie było. Skoczył ku parawanowi, zajrzał zań. Nikogo! Gdzie światło? Skąd cień? I tu powietrze nasycone było opjumi. Postawił latarnię na macie. Przetarł oczy. Bił się pięścią po głowie. Nie dostrzegł nigdzie drzwi, ani innego szodźi, ani wreszcie ctworu, kłapy w podłodze. Nikogo! A przebież najwyraźniej widział cień i czuł, tak, czuł czyjąś obecność w tej kamerze. Dr. Anders był człowiekiem hartownym, jak stal; wyszedł zwycięsko z niejednej próby. Postanowił czekać. Leżał na dość twardym posłaniu z jedwabiu, oparł głowę na całkiem twardym wałku i z rewolwerem, gotowym do strzału, w rękę czekał... Nic, cisza. Latarnię miał u boku.

Posłanie było dość twarde — okoliczność korzystna, gdyż dzięki niej, lepiej zdawał sobie sprawę z rzeczywistości przeżycia. Czy wytrzyma i jak długo? Umysł miał niepomieranie zmęczony zawiłą grą w Mah-Jongg. Schwensy i trójki, *pung*, *chow* i *kong* tkwiły mu w mózgu, jak ciernie. Od paru godzin wciągał dym opiumowy w płuca. Całe wnętrze palarni było mdłym oparem zakazane. Notabene, dym gęstniał stale. I twardość łóża zaczęła nań działać obezwładniająco, gdyż mięskły od naprężenia bolały i zużyły się. Niemniej zużyły się i nerwy. Z początku na krótkie chwile, potem na coraz dłuższe okresy czasu zapadał w niemoc, sen, czy omdlenie. Raz ocknąwszy się, zauważył, że rogowa latarnia wygasa, chciał wstać, ale przyszło nań znowu omdlenie. Leżał rozciągnięty i jakby stężały. Zdawało mu się, że ma oczy otwarte. Doszło go, jakby dalekie brzęczenie pszczoł, potem jakby dzwonienie srebrnych dzwonków z wysokiej wieży. Lecz Anders wiedział, że to semisen *). Przed nim na jasno oświetlonej od wewnątrz szodźi w przeciwległej ścianie, a więc tam, gdzie nic być nie

*) japoński instrument strunny.

mogło, tańczył czarny cień giejszy. Widział nawet fałdy *obi*, zarysy kunsztownej fryzury. Zwrócona była do niego profilem i tylko na głowie chwiały się jej piękne szpile. Do niczego to nie było podobne, nawet do tańca kwiatu Wiśni. Paluszki miała podniesione na znak tajemnicy. Potem długie rękawy kobiecego *haori* *) zatrzepotały, jak motyle skrzydła, i, o dziwo, zobaczył je już nie po przeciwnej stronie szodzi, ale na białem ich tle. Zatrzepotały mu nietoperzowo dokoła twarzy, a wianie ich budziło lubieżny dreszcz w całej jego istocie. Pierś giejszy drgały, tuliły się błagalnie, trwożnie i rozkosznie. Nagle *haozi* osunęło się z wiotkiej drobnej postaci; błysnęła kolorową bielizną i kremowym ciałem. Przepłynęło przezeń błyskawicowe doznanie wyrafinowanej rozkoszy i minęło, nim kwiat zdążyłby opasć z jabłoni... Ocknął się w ziejącej pustce i w ciemnościach, gdyż latarnia zdążyła zgasać. Para widmowych błędnych ogników polatywała dokoła w powietrzu, osunęła się za parawan i przez czarny jedwab przeświecała. Andersow włosy zjeżyły się w ciemnościach elektrycznie, zimny pot wystąpił mu na czoło i od stóp do głów stężał, jak obalony bałwan z bronzu. W tejże chwili ujrzał się otoczony przez bóstwa, niby posąg w świątyni. Znał je wszystkie. Wieloramienny i trójgłowy władca dźwigał się w złotej aureoli na grzbiecie słoni ze wzniesionemi trąbami. Maya-Fujin jechała na niebiańskim pawiu z pysznie rozwiniętym ogonem. Jakiś czarny moczcz ciskał złoty piorun, niczem orientalny Jowisz. Wszystkie te postacie — a było ich mnóstwo — żyły, Anders jednak miał oczy tylko dla jednej bogini, stulonej w kwiecie lotosu. Bronzowe jej uda przylegały lubieżnie do czary



kwiatu. Oczy gazelli, przepastne, aksamitne oczy, o niebieskawych białkach, przepastne, jak noc, popływały we łzach z wyrazem zapamiętania. Uniosła się ponad kielich i zaczęła pisać całą cudowną linią brązowych bioder bajadery... Ocknął się, czując na ustach miękkiej, wilgotnej pocałunek. Fala jedwabistych włosów zalewała mu twarz. Umierał. rozkoszy. Czuł chłód drobnych piersi, które go przyciskała. Czuł się przejęty do szpiku kości, unicestwiony. Ha! demonolog Anders dowiedział się wreszcie o co grał, co,

a raczej kogo wygrał, z kim miał do czynienia. Dziwożona!). Ale i wówczas nawet w odurzeniu, los przyjaciela był nicią jego światowego ja i próbował pytać. Za każdym razem zimny łaskotliwy paluszek kładła mu na ustach na znak milczenia, Wreszcie wyszeptała: — Był tu Vosgan? — Snać temi słowy złamał jakiś bezwzględny zakaz, bo odsunęła się od niego. Przemógł stężenie rąk i uczył się rąka jej blade-fioletowej szaty. Uniosła się o pół stopy w górę i strzep zimnej, léniającej materji w rękę mu pozostał. Wówczas, chcąc w pół ją chwycić i przytrzymać, porwał się gwałtownie za kolana, aż ból

go przeszył od stóp do głowy.—Oe—e, hr...—zarechotało. Wielkie nieba. Uderzyła piąstką w swą twarz cudną, z której jak z zepsutego jajka, lunęła na niego smrodliwa zawartość, ciecz, ropa. Czuł, że umiera, że tonie w obrzydliwości, że jakieś szpony wbijają mu się w serce, jak ćwieki skroś wieko trumny. A wtedy — nie doszedł nigdy, jak się to

*) „Istnieje rodzaj śniących kobiet, które nazywamy dziwożonami, po łacinie strigae. Żywią się one kwiatem czarnego maku, z którego się opjum wyrabia”. Jean de Marconville.

*) rodzaj kimona.

stało, z najgłębszego dna duszy wypłynęło mu na usta imię Kwannon, która jest łaski pełna...

Przyszedszy do siebie, bez przeszkód wy dostał się z palarni. W przedsionku ktoś niewidzialny narzucił nań płaszcz, włożył mu cylinder.

Świtało. Teraz wiedział, jaką śmiercią zgiął Vosgan. O cóż on mógł pytać? — Ba — mruknął — balansier! Szedł złamany, patrząc

na lśniącą Tamizę, w której znalazłby się również, gdyby nie Kwannon.

Odtąd okrutny, lśniący uśmiech zniknął na zawsze z ust Andersa, demonologa, uprawiającego świątyniowe metody leczenia. Od sukcesorów Vosgana za wielką cenę odkupił posąg Kwannon, „która jest łaski pełna. Burze i nienawiść cofają się przed jej imieniem. Imię jej gasi pożary. Demony znikają na dźwięk jej imienia. Imieniem jej można stać na niebie mocno, jak słońce”.



Nad Rio de la Plata

Napisał Kazimierz Kleniewski

NA OCEANIE.

Był mroźny, zimowy, polski poranek. Na dworcu Głównym duży tłum żydów żegnał transport swych młodych współwyznawców, udających się po złote runo do Argentyny. Nareszcie, sapiąc, ruszył pociąg, żegnany dźwiękami majufesu i sunąc przez pokryte śnieżnym całunem pola, mijając wioski i miasta. Na drugi dzień wieczorem, stanął ze znacznem opóźnieniem (spowodowanem zaspami śnieżnem) na ostatniej polskiej stacji granicznej w Zbąszynie.

Tutaj zostały załatwione formalności celne i byliśmy w Niemczech. Noc spędziliśmy na stacji w Berlinie, a na czwarty dzień stanęliśmy u celu swej lądowej podróży, w Amsterdamie. Nastąpiły generalne oględziny lekarskie i kąpiel, a dnia następnego, żegnani przez uprzejmych urzędników Królewsko-Holenderskiego Lloyd'u, opuściliśmy wspañiałe podwoje hotelu emigracyjnego tejże li-

nji, udając się na pokład potężnego okrętu Flandrji.

Godzina 12 w południe, dyżurny marynarz, gwałtownie szarpiąc sercem okrętowego dzwonu, zwiastuje rychle odbicie od brzegu. Za chwilę nasza wspaniała, dwunasto-tysięcotonowa, dwu kominowa Flandrja, zlekka kołysząc się, prowadzona przez holownik, wydostawszy się z portu na pełne morze, pruje zwały kry, sunęła do celu swej podróży — Argentyny. Stada mew unosiły się za nami, łapczywie łowiąc resztki pożywienia zostawione przez okręt. Mijając brzegi przemysłowej Anglii, zawitaliśmy do portu Southampton, składającego się z lasu kominów, masztów i rej, gdzie zabrawszy wytwornych angielskich globtrotterów (udających się na wyspy Kanadyjskie, do do Afryki i Nowej Ziemi), ruszyliśmy dalej.

Jadąc przez lekko wzburzone morze, powodujące większe kołysanie się okrętu, wielu z podróżnych volens nolens miało sposobność bliższego zapoznania się z morską chorobą.

Zatrzymując się kolejno w portach Cherbourg'u, po dwóch dniach w La Coruna w Hiszpanji i Vigo, zabraliśmy znaczny poczet emigrantów, udających się do argentyńskiej ziemi San Martina.

Następnie zatrzymując się w portugalskim Leixoes i Lisbonie, transport pasażerów między-pokładu powiększył się o znaczną ilość Portugalczyków, udających się do słynnych plantacji kawy brazylijskiej, położonych w prowincji San Paulo.

Jadąc dwa dni wśród coraz cieplejszego klimatu, zapowiadającego zbliżający się równik, dobiłiśmy do ślicznego portu Las Palmas na wyspach Kanaryjskich (słynnych z miejscowości kuracyjnych), gdzie jednak żaden kanarek nie ukazał się naszym oczom. Tam pożegnaliśmy naszych angielskich gentlemenów.

Zaopatrzywszy się w zapas słodkiej wody i nafty, ruszyliśmy w siedmiodniową podróż przez ocean, do pierwszego portu Brazylii Pernambuco. Płynąc przez spokojne fale Atlantyku, miałem czas zapoznania się z względnie monotonnem życiem morskiem.

Jadąc klasą drugą, współczułem pasażerom klasy 3-ej, czyli tak zwanego między-pokładu, gdyż zajmowane przez nich lokale

i ubikacje pozostawiały wiele do życzenia, w stosunku do z przepychem urządzonej klasy pierwszej i drugiej.

Na zwróconą jednemu z oficerów w tej sprawie uwagę, otrzymałem zapewnienie, iż holenderski Lloyd, którego poważny procent pasażerów rekrutuje się z polskich emigrantów, w bieżącym roku na wszystkich okrętach

śwej światowej linii, przystosuje kajuty i sale między-pokładu do ostatniego wyrazu higieny i komfortu.

Kuchnia holenderska była wyborowa i obfita, zaś obsługę Flandrii cechowała wielka grzeczność.

Mimo żeśmy byli na morzu, nie brakło nam zabaw i sportów, do czego służyła nam wspaniale urządzona sala gimnastyczna, a nawet codzień mogliśmy oglądać obrazy świetlne okrętowego kinematografu, przedstawiające

codzienne życie Flandrii, ilustrowane muzycznie przez doborowe trio.

Płynąc pośród bezbrzeżnego, falistego oceanu, rzadka spotykaliśmy dążące do Europy okręty, wiozące pszenicę, wełnę i drogie skóry, oraz transporty mrożonego mięsa i konserw z Argentyny dla zawsze głodnych mieszkańców Anglii.

Inne, jako ładunek miały kawę, tytoń i różne podzwrotnikowe owoce, jak: banany,



Polski kolonista wznosi sobie nową jermę



Garbaty yak w stepie



*Ksiądz Józef Mariński z murzynem-Polakiem
Filipem II w Azara-Misiones*

ananasy, kokosy i t. p. stanowiące ozdobę fruktowych rynków Europy

Przed nami ukazywały się stada latających ryb, oraz większe gromady delfinów, raz wraz ukazując swe śliskie i elastyczne cielsko, starały się prześcignąć naszą Flandrję.

Dokuczliwy upał gasiliśmy kruszonem, roznoszonym przez stewardów.

Z powodu upału noce spędzałem na pokładzie, marząc o mroźnej polskiej zimie, ze swym miłym sportem, od której oddalałem się z szybkością 18-tu węzłów na godzinę.

Nareszcie dnia 22 stycznia z racji przepłynięcia równika, odbył się na Flandrji, tradycyjny chrzest nowicjuszy (t. j. tych, którzy pierwszy raz mijali równik), połączony z balem, wydanym przez kapitana okrętu.

Świętem morskim dyrygował przebrany za Neptuna boocman, który głowę każdego nowicjusza (przygotowanego do tej ceremonji), nasmarowaną pianą z mydła i kłajstru, ogolił

drewnianą brzytwą, poczem dwóch marynarzy (przebranych również za morskich bogów), zanurzało go do basenu z morską słoną wodą i taki pan był już ochrzczony.

Poczem każdy z nich otrzymywał oryginalną łacińską metrykę ze swem nowem morskim imieniem, podpisaną przez kapitana okrętu.

Po uroczystym obiedzie dla uprzywilejowanych pasażerów I-szej i II-giej klasy, odbyły się rozmaite międzynarodowe zabawy, a wieczorem kino, muzyka i dancing urozmaicony występem rosyjskiego emigranta, śpiewającego przy akompaniamencie gitary piosenki Wertyńskiego.

Już na okręcie przekonałem się, jak słabe pojęcie o Polsce mają cudzoziemcy. Zdaje im się, że Polska jest małą prowincją Rosji, Niemiec lub Austrii, albo, że leży na Syberji.

Podług sądu jednego z nich, Kopernik był Niemcem, Chopin żydem, a Paderewski Rosjaninem.

Powinno nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych bardziej dbać o naszą zagraniczną propagandę, gdyż na morskiej mapie okrętowej widziałem Wilno jako stolicę Litwy Kowieńskiej. Dziś oburzam się mniej, gdy zauważyłem w biurze wagonów sypialnych w Warszawie... tę samą mapę.

Z najbardziej uświadomionych o Polsce pasażerów, było paru Szwajcarów, którzy, odczuwając brak ziemi w swej ojczyźnie, udawali się do przestronnej Brazylii szukać pola dla swego zawodu hodowlano-rolniczego.

Na pokładzie poruszenie. — Zdała przez lunety można dostrzec skrawek ziemi wyspy Św. Ferdynanda.

Wkońcu mijamy skaliste brzegi kolonji brazylijskiej, zaludnionej przez przestępców — gdyż trzeba wiedzieć, że w Brazylii kara śmierci jest zastąpiona przez trzydziesto-czteroletnie zesłanie na tę wyspę.

Na drugi dzień przed wieczorem dojeżdżamy do pierwszego brazylijskiego portu Pernambuco.

Natychmiast Flandrja nasza została otoczona stadem małych, obrotnych łódeczek, a ich zwinni właściciele, czerwoni i czarni — obdarcy krajowcy, szybko wdrapali się na po-

kład, ofiarowując natrętnie swój towar, składający się: z papużek, małpek i różnych owców, oraz najróżnorodniejszych muszli i wyrobów krajowych.

Odnowiwszy zapasy słodkiej wody i paliwa, wyruszyliśmy dalej. Płynąc wśród górzysto-skalistych brzegów Brazylii, dnia następnego przybyliśmy do portu „Bahia”, głównego eksportowego ośrodka tytoniu i cygar Południowej Ameryki. Tu też wsiadło na pokład kilkunastu murzynów i mulatów, udających się do stolicy.

Płynąc wśród cudownych brzegów Brazylii, w ciągu dwóch dni i trzech nocy, zawitaliśmy do najcudowniejszego, naturalnego portu na świecie, Rio de Janeiro, do którego dostępu bronią potężne forty, wykute w przybrzeżnych skałach, otaczających zwartem półkolem, porośniętych podzwrotnikową czarującą zielonością gór. Wpływamy do nowocześnie urządzonego portu, nad którym wznosi się olbrzymia, w kształcie głowy cukrowej góra, nosząca nazwę Pao do Assucar, na którą dostęp jest możliwy jedynie powietrzną, linową kolejką, skąd rozciąga się cudowny widok na całą okolicę, jedyne w dniach, gdy niebo jest czyste i pozbawione chmurnych tu-

manów, które gęstym zwałem otaczają wierzchołki gór.

Korzystając z całodniowego postoju Flakcji, zwiedziłem to cudowne miasto.

Przedewszystkiem udałem się malutkim „bondy”, czyli tramwajem do naszego poselstwa, mieszczącego się w arystokratycznej dzielnicy na Marquez de Olinda Nr. 12, we wspinałem własnym pałacyku, gdzie mile mnie przyjął sekretarz poselstwa, p. Jerzy Warchałowski, kierujący podczas nieobecności naszego posła, całem poselstwem i konsulatem.

Miasto przepełnione jest bulwarami, alejami, i parkami, pełnemi palm, agaw, kaktusów i t. p. podzwrotnikowej ślicznej roślinności, po których leniwie uwijają się różnokolorowi mieszkańcy Brazylii, z policjantami murzynami w białych kostiumach.

W mieście nie było widać ani jednego konia, tylko dziesiątki tysięcy samochodów i oryginalne dwu-kołowe sulki, zaprzężone w malutkie muły, dźwięcznie brzęczące tyśnięciami dzwoneczków.

Stroje ludności tego państwa, nieznanego zimy w dosłownem tego słowa znaczeniu, są zupełnie europejskie, a czarne, zgrabne nóżki Brazyljanek, obcisnięte w białe paryskie poń-



Odpoczynek wśród stepu



Zaprząg tubulczy

czoszki i białe pantofelki, całkiem efektownie odbijały na tle drewnianych i asfaltowych trotuarów.

Z żalem opuszczałem Rio de Janeiro, pocieszając się tem, że jeszcze do niego powrócę.

Następnego poranka wpłynęliśmy do największego na świecie kawowego portu Santos, czerpiącego swe eksportowe zapasy z pobliskich olbrzymich plantacji w San Paulo.

To też „Flandrja” wysadziła na brzeg portugalskich emigrantów, zdążających do powyższych plantacji. Mijając skaliste brzegi środkowej Brazylii, oraz faliste orientalnej republiki Urugwaju, stanęliśmy na chwilę w tej stolicy Montevideo i, zostawiwszy pocztę, oraz paru pasażerów, dobiliśmy w nocy z dnia 1-szego na 2-gi lutego, do rzęsiście oświetlonego Buenos - Aires, przepływając morską ulicę, obsadzoną świetlnymi sygnalami, gdyż jedynie ta droga jest wolna od zamułania rzeki Rio de la Plata, wyrzucającej wraz z milionami wód, tysiące ton piasku w ocean.

Spędziwszy noc na kotwicy w olbrzymim porcie, mieniącym się od setek zapalających go okrętowych świateł, wyrzuciła Flandrja (po uprzedniej rewizji paszportowej) na brzeg wolnej ziemi San Martín, cały swój transport pasażerów.

BUENOS-AIRES.

Pierwszy miesiąc spędziłem na poznawaniu miejscowych stosunków, oraz uczeniu się języka hiszpańskiego, czyli tak zwanego „castillano”, który jest ładnym i łatwym, tak, że wkrótce mogłem się nim swobodnie porozumiewać.

Buenos-Aires, należące do najpiękniejszych, nowoczesnych miast świata, posiada zgórą półtora miliona ludności i na dodatek tylko osiemdziesiąt dwa tysiące samochodów. Prócz tego piękne ulice, bulwary, parki i ogrody, ze słynnemi Palermo i Belgrano na czele. Posiada też wspaniały ogród zoologiczny z okazami z całego świata i ze starym słoniem Wando na czele, oraz ogród botaniczny, zawierający rzadkie okazy światowej roślinności i drzew wyjątkowo się tam udających z powodu, jak sama nazwa miasta głosi, dobrego klimatu.

Jest tam też mnóstwo wspaniałych pomników, z których najwspanialsze zostały wzniesione w setną rocznicę niepodległości Argentyny przez zaprzyjaźnione państwa, mające tutaj mniej lub więcej licznych przedstawicieli - emigrantów.

Na szczególną uwagę zasługuje wystawiony



Stary znachor z Misiones

przez Włochy pomnik Kolumba, z oryginalnego kararyjskiego marmuru. Imponująco przedstawia się pomnik Hiszpanji, wznoszący się na głównej alei w parkowej dzielnicy Palermo, przedstawiający ogromnych rozmiarów wysoki śnieżno-marmurowy obelisk ze wspartą statuą wolności na szczycie.

Nie mniej piękny jest brązowy pomnik bohatera narodowego gen. San Martín'a na placu tejże nazwy przed arystokratycznym ogromnym „Plaza“ hotelem, oraz majestatycznie wznoszący się pomnik „Monumento dos Congresos“, artystycznie ze spiżu wykuty.

I tym podobnych okazałych pomników posiada stolica więcej niż lat istnienia swej wolności. Szczególnie, efektownie wyglądają podczas częstych iluminacji miasta.

Port Buenos-Aires urządzony wspaniale, według ostatniego słowa techniki, ciągnący się na przestrzeni 12-tu klm., z pięknymi portowymi bulwarami, należy do pierwszorzędných portów światowych.

Ludność z roku na rok, z szybkością powiększającego się miasta, stanowią tuziemcy, czyli „criollos“, których liczba rośnie z każdą minutą, ze względu na argentyńskie prawo, głoszące: że każde nowonarodzone dziecko zostaje obywatelem tegoż państwa.

W przeciwieństwie do Brazylii, spotyka się tu mało murzynów i czystej rasy Indian. Jedynie tuziemcy odznaczają się bardziej ciemną brązową cerą.

Zaś w ruchliwym porcie spotyka się mnóstwo ludzi najrozmaitszych narodowości, (istna wieża Babel), szukających pracy bezowocnie, którzy przyjechali z myślą zbierania złota po ulicach, jednak naga rzeczywistość szybko rozwiewa ich złote sny o mirażu.

Tutaj złęczce, inteligencie, czy proletariuszu, pracuj od rana do późnego wieczora, jak koń argentyński (raz na dobę otrzymujący pożywienie i to w nocy), abyś mógł utrzymać się przy życiu, a myśl o powrocie do rodzinnego kraju odłóż nieszczęśliwce na „zaraz potem“, kiedy ci fortuna lepszym potoczy się kołem.

Codziem spotykałem ludzi, będących bez pracy, przeklinających godzinę, w której za namową agentów okrętowych, zdecydowali się wyjechać do obiecaną ziemi argentyńskiej.

Wśród nich nie brakło i naszych emigrantów z Małopolski i Kresów, oraz mniejszości narodowych, którzy jednak z pomocą swych współwyznawców, dają sobie radę, prowadząc handel, czasami i żywym towarem. Ponieważ zaś podają się za Polaków, zastępują Min. Spr. Zagranicznych w propagandzie.

Polaków w Buenos-Aires będzie około tysiąca, dokładnie trudno ustalić liczbę, gdyż mimo istnienia „T-wa Wolna Polska“ (Calle Paraguay Nr. 4009), nie wszyscy się w niem jednoczą, gdyż duży odsetek, szybko wynaradawiając się, zapomina o obowiązkach obywatelskich.

Inteligencję polską w stolicy stanowi zaledwie parę domów z profesorstwem Lalewiczami na czele, których gościnne salony stoją zawsze otworem dla naszego przybysza. Dalej mamy pp. Gano, Białobrzeskich, Hoffmannów, Rechniewskich, Ritterów, Fabian, weterana 63 roku p. Michała Górskiego.

Święta polskie są bardzo uroczyste obchodzone przez tutejszą kolonję, np. z powodu uroczystości 3 maja, celem uczczenia konstytucji odbyła się wieczornica, podczas której p. poseł Mazurkiewicz treściwie i jasno przedstawił słuchaczom powstanie i znaczenie konstytucji.

Następnie amatorskie kółko odegrało z werwą jednoaktówkę „Łobzowanie“, przy czem na Argentynkach wywarły wrażenie dźwięcznie odśpiewane przez naszych emigrantów i emigrantki krakowiaki oraz z temperamentem wykonane nasze ludowe tańce.

Dnia następnego w miłym malutkim kościełku na „calle Mansilla“, odświętnie przybranym na narodowe polsko-argentyńskie flagi, odbyła się uroczystość kościelna, z udziałem licznych przedstawicieli emigrantów, celebrowaną przez ks. Władysława Zakrzewskiego. Po podniosłem, okolicznościowem kazaniu, odśpiewano Boże coś Polskę.

Wychodząc po nabożeństwie z kościoła, spostrzegłem siwego jak gołąb staruszką, ze łzami w oczach opowiadającego zebranym w koło niego rodakom, że szczęśliwy jest, iż mógł doczekać się zmartwychwstania ojczyzny, za którą w roku 63 przelewał swą krew. Zainteresowany, dowiaduję się, że ów staruszek jest jednym z najstarszych weteranów w Argentynie, i nazywa się Michał

Górski, ur. w 1838 r. w Łomżyńskim, w za-
 ścianku „Piątki Gręskie”, jak mi mówi: „Ja
 panie pochodzę ze starej szlachty drążkowej”.
 Ten 86-cio letni staruszek zachował dobrą
 pamięć, trzymając się czerstwo, ma szczere
 chęci powrócić do kochanej Polski i tu zło-
 żyć swe kości, które podczas walk powstań-
 czych 63-tego roku zostały kilkakrotnie po-
 strzelone.

*
 * *
 *

Młynarstwo interesowało mnie już dawno.
 Wiedząc, iż Argentyna eksportuje na cały
 świat tysiące ton pszennej mąki i temsamem
 kwitnie przemysł młynarski, postarałem się
 przez rozpowszechnioną wszędzie* protekcję,
 dostać się do największych elektrycznych
 młynów w Molinos Rio de la Plata.

Te ogromne młyny posiadają swe główne

ła się rzesza współtowarzyszy pracy, złożona
 z „pionów”, czyli prostych robotników i „ka-
 pałasów” — dozorców.

Chociaż byłem praktykantem, pracowałem
 iście po amerykańsku na równi z innymi.

O godzinie 5-ej minut 30 rano dyżurny „so-
 reno”, czyli nocny stróż, otwierał bramę, po-
 czem młyn wchłaniał w siebie tłum robotni-
 ków, by za chwilę, przebrani w białe robot-
 nicze bluzy, stanęli w zastępstwie zmęczo-
 nych całonocną pracą swych towarzyszy.

Praca była niezbyt lekka. W początkach
 nosiłem 70-kilogramowe worki na okręty
 lub do magazynów, a czasami, gdy często
 psujące się windy stawały, trzeba było tę sa-
 mą drogę z workami odbywać na 4-te piętro.

Później pracowałem w elewatorach zbożo-
 wych, jako pomocnik limpiadora, t. j. odku-
 zacza maszyn, po której to pracy wychodzi-



Rodzina Indian nad rzeką Alto-Paraná

przetwórnice zboża w porcie Buenos - Aires,
 a więc połączone są wodą i licznymi odga-
 niami kolejowymi nie tylko z całą republiką, ale
 ze światem.

Teraz parę słów o mojej pracy: wstając
 o 4-ej rano, śpieszyłem do tramwaju, by po
 godzinnej jeździe stanąć w porcie i udać się
 pod bramę Molino, gdzie wkrótce gromadzi-

łem czarniejszy od kominarza, gdyż byłem
 pokryty całkowicie powłoką kurzu, mąki i oli-
 wy. Kolejno byłem pomocnikiem mechanika,
 elektrotechnika, montera, stolarza i na koniec
 pomocnikiem ober-molinera. Po takiej 8-mio
 godzinnej bez przerwy pracy, ręce stawały
 się ciężkie, jak ołów, a wróciwszy do domu,
 padałem jak kłoda na łóżko i w półśnie ma-

rzyłem o wakacjach w latach dziecinnych, podczas których, nie myśląc o jutrze, hasałem całymi dniami na koniu.

Tak pracowałem 3 miesiące, aż pewnej niedzieli, (gdyż młyny nasze, przerabiające 20 tysięcy 70-cio kilogramowych worków mąki, niedziel i świąt nie uznawały), reparując walce, które przez zbytni pośpiech, zwykle powolnego „criollo'a", zostały zawczasie puszczone w ruch, miażdżąc mi duży palec lewej ręki. Szczęściem skończyło się tylko na tem. Taki był finał mojej 3 miesięcznej pracy,

w ogólnej ilości 17-tu tysięcy hektarów z najrozmaitszemi jakoby zakładami przemysłowemi, kanałami i t. p. inwentarzem żywym i martwym, który tylko wymyślić może istic amerykańska fantazja, licząca na naiwność europejczyków i zachwalająca te tereny przedewszystkiem Polakom.

Powyższa sprawa zainteresowała mnie tem bardziej, iż wiem, jak trudną jest do uregulowania kwestja należytego skierowania naszej emigracji, oraz zgrupowanie jej w większe zbiorowiska, celem zapobieżenia łatwemu



Plantacje „Jerba-mote“ w kolonji K. Rybińskiego w Corpus-Misiones

którą dopiero teraz należycie poznałem i nauczyłem się cenić.

*
* *
*

Wyjeżdżając z Polski do Ameryki Południowej, otrzymałem jak też paru moich znajomych, szumne prospekty Banco Polaco-Argentino z Buenos-Aires.

W spisie założycieli figurowały zaledwie dwa polskie nazwiska: Włodzimierz Galecki i Karol Sobieski.

W obszernym wywodzie, zawierały owe prospekty opisy posiadanych przez rzekomy ów polsko-argentyński bank obszarów ziemnych

wynaradawianiu się przy rozproszenu po olbrzymich amerykańskich przestrzeniach.

Sprawa ta nabiera charakteru aktualnego, ponieważ, jak wiadomo, Ameryka Północna ograniczyła emigrację do swych dotychczas gościnnych bram, Argentyna zaś, jako państwo rolnicze, z posiadaniem już kolonjami polskimi w terytorjum Misiones, mogłaby się do kolonizacji nadawać.

Natychmiast po przyjeździe do Buenos-Aires, udałem się do owego banku przy ulicy Calle San Martin 195, gdzie na czwartym pięterku, w dwóch małych pokojkach mieści się cały ów szumnie reklamujący się dla ko-



Gmach sejmu (Congress) w Buenos-Aires podczas iluminacji karnawałowej.

lonizacji i oszczędności bank Polaco-Argentino.

Personel urzędniczy składa się zaledwie z trzech osób, dwóch Argentyńczyków i Polaka, p. W. Gałęckiego, będącego faktycznym inicjatorem i założycielem tego nieszczęsnego banku, którego — pcha nazwą i tem, że czasowo pracował w nim p. G., gdyż obecnie na jego miejscu pracuje żydówka z Wilna, nie umiejąca, czy też nie chcąc mówić po polsku, — nic z Polską nie wiąże.

De facto, właścicielem owego banku jest bogaty estancionero-obszarnik Gabrjel Zagleyze, który, skorzystawszy z naiwności, czy złej woli p. Gałęckiego i Karola Sobieskiego, władającego 44-ma językami, z wyjątkiem polskiego, prócz tego dobrego malarza, roszczonego sobie oficjalnie pretensję (jako rzekomy potomek) — bezpotomnie zgásłego Jana III-go do tronu polskiego, chce wykorzystać naiwność polskich rolników i osiedlić ich na bezwodnych stepach, skazując ich na zdziwienie i zagładę.

Ponieważ od Polonji w stolicy dowiedziałem się o owem „rajskiem” położeniu tych kolonij, udałem się tam osobiście, by sprawdzić owe pogłoski.

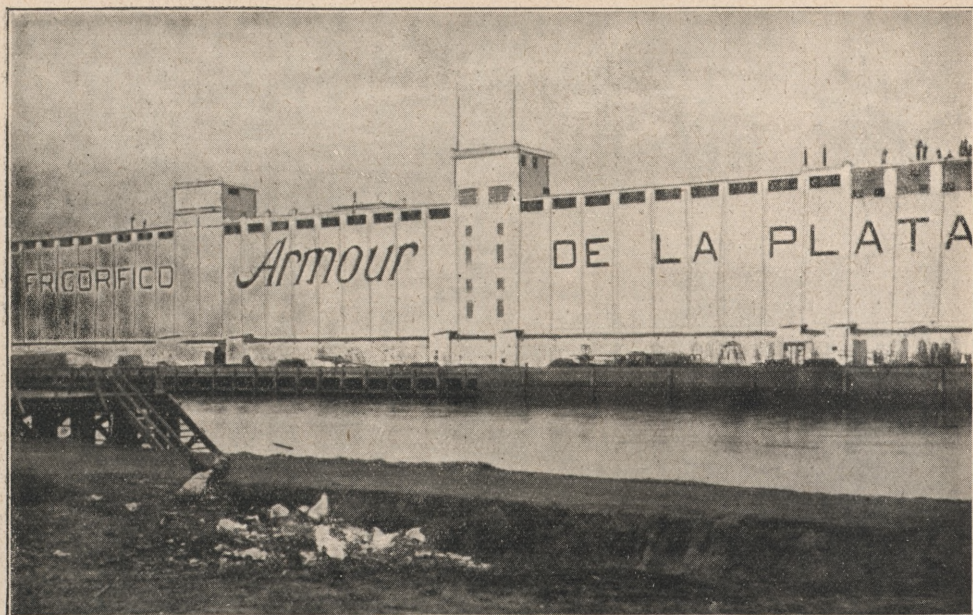
Mijając w pociągu żyzną prowincję Buenos Aires i Santa Fe, stolicę takowej, Rosario, po-

zostawiliśmy za sobą węzłową stację Ceres i kurjer nasz wpadł w stepową pustynną prowincję Santiago del Estero.

Po 20-to godzinnej podróży przybyłem na małą, bezludną stacyjkę kolejową „Real de Sayana”. Stąd udałem się do pobliskich budynków miejscowej administracji kolonji, w celu zasięgnięcia informacji o terenach powyższego banku.

Administrator Włoch — Don Spadoni, opowiadał znaną mi już historję o cudach wydajności ziemi, administrowanej przez siebie kolonji i zaproponował naoczne sprawdzenie tegoż. Korzystając z okazji, siadłem na ogromną, wysoką dwukołową „sulkę”, ciągniętą przez małego, lecz silnego muła z błyskawiczną szybkością, kilometr na godzinę, udaliśmy się w drogę na polską „czakrę” (?).

Wytrząsłszy sobie wszystkie wnętrzności od ciągłego kiwania się i podskakiwania przedpotopowego argentyńskiego ekwipażu, po dwugodzinnej ciężkiej „via dolorosa”, dotarliśmy nareszcie do onej „chacra polaca”. Już zdaleka powitał nas radosnem machaniem rąk człowiek, podobny do „rajskiego Adama”, kiedy ten jeszcze nie znalazł brzytwy i noży-czek, i na moje staropolskie: „Niech będzie pochwalony”, odpowiedział „Bohu sława”. Właścicielem owej „czakry” okazał się oby-



Rzeźnia i chłodnia fabryki konserw „Armour” poa Buenos-Aires

watel polski małopolanin ze wsi „Kuty Stare” pod Kołomyją, Borys Chlibczuk, który wraz ze swym dwudziestoparoletnim synem Iwanem i córką Maruszą, stanowili całą ludność owej „czakry”.

Chlibczuk przybył z rodziną do Argentyny półtora roku temu, a już w kraju słysząc o ogromnej reklamie Banco-Polaco-Argentino, po przyjeździe do Buenos-Aires, zwrócił się do zarządu onego banku, gdzie, obiecawszy mu złote góry, namówiono go do podpisania kontraktu na pięcioletnią dzierżawę dwudziesto-sześćsto hektarowego „loté” (działka ziemni).

Wmówiono mu, że jako dla pierwszego polskiego kolonisty warunki są bardzo wygodne, gdyż w celach propagandy zostaje zwolniony od płacenia czynszu dzierżawnego, zaś w roku 3-im, 4-tym i 5-tym ma on wnosić pięćdziesiąt procent czystego zbioru produktów rolnych.

Po spożyciu naprędce upieczonego „asado” zapijając czerwonym z słynnej winorodnej Mendozy winem, pijąc tradycyjną „matejerbę”, opowiedział mi Chlibczuk o ciężkich warunkach swego bytu.

„W Polszy posiadam ładne gospodarstwo

rolne, gdzie działo mi się dobrze do czasu, gdy żydowscy agenci, zwąchawszy u mnie trochę dolarów, zaczęli namawiać, bym wyjechał do Argentyny, gdzie mogę powiększyć swoje oszczędności bez wielkiej pracy stokrotnie. Jednocześnie opowiedzieli mi cuda o Polsko-Argentyńskim banku. Wobec tego, będąc naiwnym człowiekiem, sprzedałem część swego mienia i, zostawiwszy żonę na reszcie, wyjechałem do Argentyny z synem i córką dorobić się obecywanej fortuny.

Od chwili mego tutaj przyjazdu, główną bolączką było, jest i będzie, to brak wody, którą dla użytku kolonistów, zamieszkujących tereny wzdłuż linii kolejowej, często muszą dowozić cysternami. Z nami zaś, którzy mieszkamy dalej od kolei, ma się sprawa gorzej.

Ponieważ w prowincji Sant Jago del Estero brak opadów deszczowych, (rzek jest zaledwie kilka), zawadnianie terenów odbywa się przy pomocy rzadkiej sieci sztucznych kanałów; o puszczenie zaś wody do nich, trzeba prosić jak o wielką łaskę administratora kolonii, pomimo, że za każdy raz trzeba płacić pieniędzmi lub plonami. My zaś wodę do swego użytku bierzemy z rowu koło „rancha”, czyli chałupy, którą zbieramy podczas

deszczu. Na własne oczy widziałem muła i parę osłów, stojących parę godzin w błogim wodnym chłodzie, nieczule na nawoływanie kolonisty, który jednocześnie z obojętnością n bierał z tego bajora, gdzie nie brak było żab i jaszczurek, mętną wodę, w celu przygotowania tradycyjnej „mate”.

A teraz słów parę o „mate-yerbie”:

Mieszkańcy Ameryki Południowej nie przedstawiają sobie życia, bez „maty”, czyli

Oprócz braku tak niezbędnej wody, panujące tu susze wypalają nawet stepowe trawy, a niezwalczona szarańcza, czyli „laugosta”, rok rocznie zjada i tak niezbyt obfite zasiewy, z powodu licznych wysp saletrowych. Najlepiej jeszcze udaje się tu asfalta, czyli lucerna, na którą jednak niema odpowiedniego zbytu.

Karczunek dzierzawionych terenów, zarosniętych gęsto kolczastą darnią, kaktusami



Skąły nad rzeką Alto-Paraná

„mate-yerby”, która stanowi ich stały napój, tak jak u nas herbata, z tą różnicą, że ją piją od rana do nocy, nawet podczas pracy.

Liście drzewa yerbowego, suszone i mielone na proszek, wsypuje się do małej, wydrążonej tykwy, zwanej „cuia” lub „mata”, nalewa się gorącą wodą i przez jedną i tę samą rurkę, zakończoną sitkiem, a zwaną „bombilla”, pije całe towarzystwo, dolewając dla każdego gorącej wody.

Jak widać, nie jest to zbyt higieniczne, ale ma swoją utartą tradycję, z którą liczyć się muszą nawet europejscy emigranci.

„Mate”, przypominającą smak ziółek, pije się gorzką, bez cukru i, jak twierdzą argentyńscy lekarze, jest ona niezbędna w trawieniu, przy obficie tam używanych pokarmach mięsnych.

i tem podobnemi nieprzystępnymi krzewami, posiadającymi gęste, szeroko rozchodzące się korzenie, wymaga horendalnego wysiłku małego owocnego.

Bawiąc w iak mlekiem i miodem płynącej kolonji Banco-Polaco-Argentino, przekonałem się naocznie o urodzajności owych szumnie reklamowanych terenów. Chlibczuk ma szczerą wolę powrócenia do Polski, lecz wstrzymuje go kontrakt i brak pieniędzy na podróż; tymczasem kląć na czem świat stoi Banco-Polaco-Argentino i jego nieuczciwych agentów, żadnych grosza i pracy biednego polskiego chłopca, pracuje w pocie czoła, małe na przyszłość mając widoki.

Jest tu jeszcze z Wołynia Andrzej Skiba, nieokreślonej narodowości, któremu powodzi się lepiej niż Chlibczukowi, ponieważ jest

mechanikiem i jako taki zarabia dostatecznie, reparując Fordy i orząc Fordsonami.

Ostatniej nocy przed odjazdem spotkała mnie przygoda, która mogła mieć dla mnie fatalne skutki, gdyby nie czujność psów.

Śpiąc na stosie kukurydzy, obudzony zostałem gwałtownym ujadaniem psów. Złapałem za rewolwer, jednocześnie oświetlając ciemności elektryczną lampką i oto oczom moim w pobliżu mego barłogu, ukazał się wąż, jak się później okazało, grzechotnik.

Nie namyślając się długo, chwyciłem za faccon (t. j. nóż, używany przez krajowców, jako broń sieczną) i przeciąłem na pół gardzinę, czyhającą na moje życie.

Opuściłem kolonję Real de Sayanę, z myślą nie powrócenia do niej już nigdy i uderzenia na alarm, by nikt nie złapał się na lep szumnych a beczelnych reklam Banco-Polaco-Argentino w Buenos-Aires.



„Avon” wspinał się jak rozhuwany rumak po wzburzonych falach Atlantyku.

Już czwarty dzień i noc okręt nasz wiedzie zaciętą walkę z szalejącym oceanem.

To wspina się do góry, to opada wdół, a prute fale, nie mogąc inaczej okazać swej złości, raz w raz zalewają pokład potokami morskiej wody.

Wigilja. Magiczne słowo. Muszę ją spędzić samotnie, pośród obcych mi ludzi, zdala od bliskich i rodziny, pośród nieba i morza, powracając po rocznym pobycie za oceanem do kochanego kraju.

Do głowy przychodzą różne myśli z przeszłości.

W salonie pomimo furkotu wentylatorów robi się duszno. Wychodzę na najwyższy pokład koło kapitańskiego mostku i silnie trzymając się liny, odziany w skórzany płaszcz, siadam na krawędzi łodzi ratunkowej.

Wokół nieprzebite ciemności. Ani jedna gwiazda tego wieczoru nie przyświeca Dzieciątku Jezus, jak ongi wraz z Maryją i Józefem, spoczywającym w Betleemskiej stajence.

Nagle na horyzoncie (z trudem przebijając się przez ciemności) ukazuje się małe migoczące światełko, które powoli rośnie, zbliżając się do nas.

Po małej chwili ukazują się obok pierwszego, drugie czerwone i naprzemian gasnąc i zapalając się, przesyłają naszemu „Avonowi” świąteczne życzenia.

To transportowiec, udający się z Europy do Ameryki del Sur, by zostawiwszy w Nowej Ziemi swój ładunek, zabrać z powrotem cenne skóry z Argentyny lub cygara, kawę i owoce podzwrotnikowe z Brazylii.

Nasz morski pałac odpowiada również świetlnymi życzeniami i pomału znowu się od siebie oddalamy, dążąc w przeciwnie strony.

Co pewien czas przez huk fal przebijają się matowy głos dzwonu, którym dyżurny marynarz z budki obserwacyjnej oznacza kwadransy i godziny.

Schodzę na dół na dziób okrętu, gdzie się mieści klasa III.

Pasażerów wyjątkowo mało. Jadą ci tylko, którzy muszą. Każdy woli święta spędzić w swym rodzinnym domu.

To też pasażerów klasy III zastałem po wczesnej jak zwykle wieczery zgromadzonych na międzypokładzie, gdzie rozsiadają się grupkami mniej więcej podług narodowości, zabawiali się jak mogli.

Tu grupa powracających z Brazylii Portugalczyków wyciągała przez przepite cachę *) — wódką gardła swe krzykliwe piosenki, raz po raz przyklaskując całkiem nie do taktu mandoliny. Tam paru Anglików zabawiła się zakazaną na okrętach hazardową grą w karty, gasząc pragnienie czarnym londyńskim bookiem.

Najliczniej reprezentowani są tutaj Hiszpanie, którzy, dorobiwszy się trochę „pesetus” w Argentynie, powracają do swej ojczyzny, ci naprzemian kłócąc się i przezywając się nawzajem „gallego”, opowiadają sobie przebyta pośród „argentinos” wczasy.

W najciemniejszym zakątku usadowiło się najciekawsze mieszane towarzystwo.

Zbolszewiczały budyst, który za zamachy komunistyczne ścigany przez władze, uciekł do Urugwaju, ale i tamtejsze władze, przekonawszy się o jego dobroczynnej działalności, grzecznie, ale stanowczo go wyprosiły — obecnie udaje się do Rosji, by naocznie prze-

*) cachę — wódka samogonka z trzciny cukrowej.



konać się o wychwalanym przez siebie bolszewicko-żydowskim raj.

To też co chwila naprzemian śpiewa „Internacional”, przeplatając go „Steńką Razinem”, a akompaniując sobie na harmonice. Przy nim kozacki oficer — Kornilowiec, któremu bolszewicy wymordowali całą rodzinę, a on sam ledwie uszedłszy przed djabełskim terrorem, nadaremnie szuka po świecie nowej dla siebie ojczyzny.

Ten znowu grając na nieodstępnej bałabajce, wyśpiewuje sobie rosyjskie wojenne, z dobrych czasów piosenki.

Dalej paru rosyjskich żydów śpiewa coś w rodzaju „majuięsa”, a wtóruje im żydowski rabin z Palestyny, który przez Argentinę jedzie do Anglii, by agitować za emigracją swych współwyznawców do „Ziemi Obiecanej”.

Schody zaś obsiedli marynarze Anglicy i Murzyni, którzy, paląc swe nieodstępne fajki, nucili bez ustanku marynarską piosenkę „Tepperary”.

Było tam jeszcze paru pasażerów różnych narodowości, którzy, nie znalazłszy pracy w Obiecanej Ziemi argentyńskiej, powracali rozgoryczeni do swych pieleszy, klnąc agen-

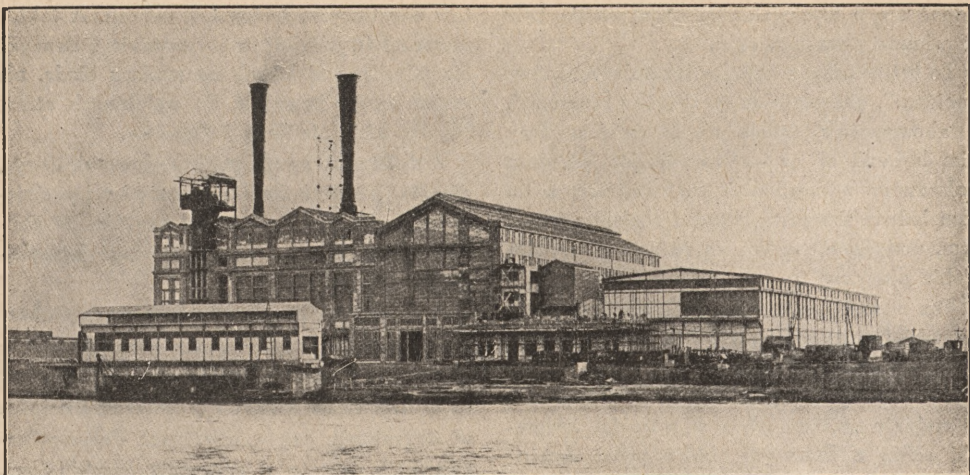
tów okrętowych, że ich tak nabrali. A takich nieszczęśliwych jest w Argentynie i Brazylii niemało, lecz ci klepią na miejscu biedę, nie mając za co powrócić do rodzinnych stron. Między nimi nie brak i Polaków.

Wróciłem do swego punktu obserwacyjnego, chwytając się co chwila poręczy i ścian okrętowych, gdyż „Avon” coraz bardziej ze zbliżającą się północą zaczął tańczyć brazylijskiego „Maxixe”.

Mimochodem stanął mi przed oczyma obraz naszej polskiej wigilji, którą wszędzie jednako uroczyście obchodzą nasi rodacy, czy to w kolonjach polskich terytorjum Misiones w Argentynie, czy w puszczach Parano-Brazylijskich, czy to w ojczyźnie Washingtona, rozrzućeni po rozległych stepowych przestrzeniach.

Na wieży strażniczej dyżurny Sailor wydzwaniał dwunastą, a mnie w uszach dzwoniły rodzinne polskie kościelne dzwony, wzywające wiernych na pasterkę.

Tam pod nogami ludu, spieszącego na pasterkę, skrzypiał śnieg — a tu — szalał morski żywioł i skrzypiały szarpane wichrem maszty i reje „Avonu”.



B i a ł y w ę g i e l

N a p i s a ł

inż. R o m a n P o d o s k i

Żyjemy w wieku już nie pary i elektryczności, ale tylko elektryczności. Wszędzie na całym świecie, zużycie energii elektrycznej wzrasta gwałtownie, powstają coraz większe nowe elektrownie, całe kraje pokrywają się siecią przewodów elektrycznych, lokomotywy elektryczne zastępują parowozy. Elektryczność, która do niedawna była raczej przedmiotem zbytku, służąc przeważnie do oświetlenia wytwornych lokali, dawno już nim być przestała, a oświetlenie stanowi obecnie minimalną część zużycia energii elektrycznej, podczas gdy na plan pierwszy wysunęła się siła motoryczna, a w najnowszych czasach także chemia i metalurgia.

Przyczyną tego jest przedewszystkiem nadzwyczaj wygodna forma, w jakiej otrzymujemy tę postać energii. Z jednego i tego samego źródła, czy przewodu, możemy czerpać światło w dowolnych postaciach, od maleńkiej lampki sygnałowej do olbrzymich lamp o wielu tysiącach świec, siłę napędową od motorków np. dla maszyn do szycia, czy stołowych wentylatorów, do olbrzymich motorów o mocy wielu tysięcy koni, lub też wreszcie ciepło, czy to dla ogromnych pieców hut-

nicznych, czy też np. zapalniczek dla cygar. Jednem słowem, możemy energję elektryczną dowolnie dzielić, rozdrabiać lub skupiać, przy jej pomocy wykonywać pracę mechaniczną, oświetlać, ogrzewać lub wywoływać reakcje chemiczne, wreszcie przysyłać na dowolne odległości znaki telegraficzne lub bezpośrednio głos.

Toteż ilość zużytej energii elektrycznej stała się poniekąd wykładnikiem stopnia cywilizacji, a conajmniej, uprzemysłowienia danego kraju. Sprawa ta, u nas w Polsce, przedstawia się na razie w świetle tych cyfr nader smutnie.

Tak więc wynosi roczne zużycie energii elektrycznej na głowę mieszkańca w Stanach Zjednoczonych Ameryki 472 Kilowat-godzin, w Szwajcarii 850 Kw-g., we Francji 147 Kw-g., w całej Europie 70 Kw-g., a w Polsce, łącznie ze Śląskiem—48 Kw-g., bez Śląska zaś zaledwie 4,8—5 Kw-g.!

Moc elektrowni w całej Polsce, bez Śląska, nie przekracza 130,000 Kw., na Śląsku mamy około 370.000 Kw. Obliczenia pokazują, że przy obecnym stanie uprzemysłowienia Polski, moc elektrowni winnaby wynosić 1.700.000

Kw., zużycie zaś energii na głowę mieszkańca—190 Kw-g!

Energję elektryczną otrzymujemy prawie wyłącznie z energii mechanicznej, przetwarzając tę ostatnią w dynamomaszynach, czyli prądnicach, na elektryczną. Do napędu prądnic służą przeważnie, a u nas w Polsce dotychczas prawie wyłącznie, maszyny cieplikowe, parowe lub spalino-we, przetwarzające ze swej strony ciepło zawarte w paliwie na energję mechaniczną.

Energję elektryczną jednak, jako taką, stosujemy w ogromnej mniejszości wypadków, np. w elektrochemji, dla elektrolyzy, przy telegrafji, telefonji i t. p.; w większości zastosowań musimy ją znowu przetwarzać, już to na ciepło przy ogrzewaniu lub metalurgji, lub światło dla oświetlenia, wreszcie energję mechaniczną przy motorach.

Normalny więc proces polega na tem, że przy pomocy maszyn przetwarzamy ciepło na energję mechaniczną, a tę dopiero na energję elektryczną, którą przesyłamy do żądanych miejsc i rozdzielamy do poszczególnych odbiorników i tam znowu przetwarzamy na mechaniczną lub nawet ciepło.

Cóż tedy skłania techników do wprowadzania tego całego szeregu komplikacji, powodujących oczywiście kosztą i straty? Oto głównie i przede wszystkim możność łatwe-

go przesyłania i dowolnego rozdzielania energii elektrycznej. Łatwość ta przesyłania i rozdzielania energii elektrycznej pozwala obywać się bez skomplikowanych, ciężkich i wielkie straty powodujących transmisyj

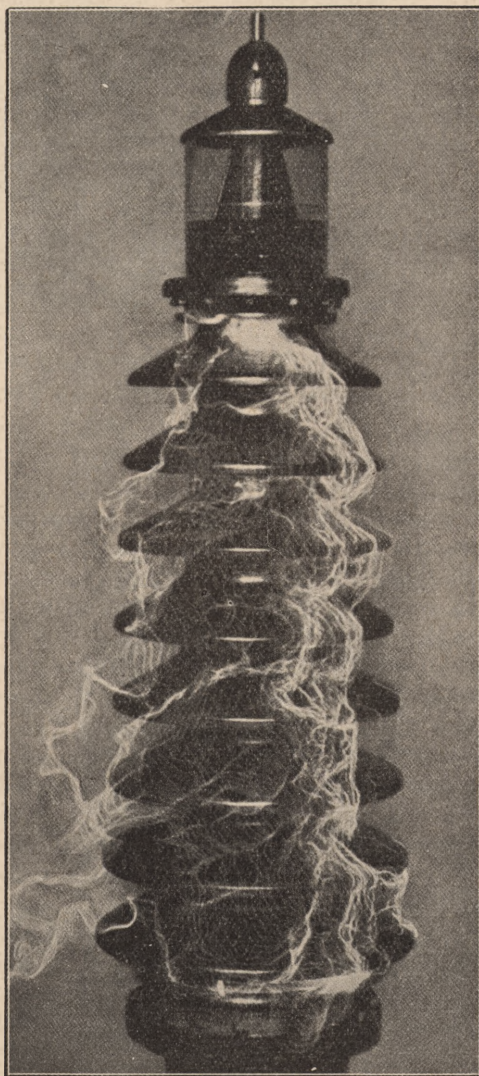
mechanicznych, np. pasowych i pozwala stosować zamiast wielu drobnych silników, jedną wspólną, o wiele ekonomiczniej pracującą maszynę. Poza tem jest silnik elektryczny czysty i cichy, nie potrzebuje kominów, nie wydzie-la gazów spaliny- wych, może więc być ustawiony w każdym miejscu i nie wymaga specjalnie wyszkolonej obsługi.

Żeby dać pojęcie o zmniejszeniu rozchodu paliwa w miarę zwiększenia mocy, dość powiedzieć, że małe, do kilkudziesięciu koni maszyny, spalają łatwo 3—6 kg. węgla na Kw-g., podczas, kiedy nowoczesna elektrownia zużywa więcej niż 1,2—1,5 kg. Oszczędność jest tem większą, im większą jest maszyna.

Należało więc, niezależnie od ulepszenia maszyn, dążyć do stosowania coraz większych ich mocy, coraz potężniejszych elektrowni: postęp w tym kierunku jest bardzo szybki i widoczny. Kiedy przed jakimiś 15 laty ma-

szyna o mocy 5.000 Kw. uchodziła za ogromną, dziś mamy już turbo-generatory o mocy 40.000—60.000 Kw.

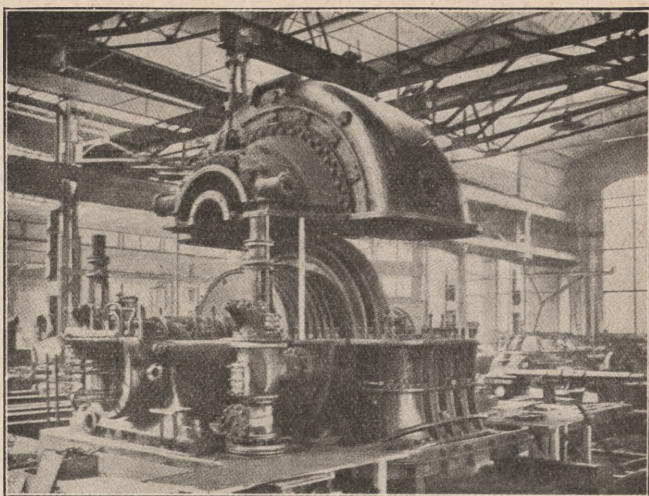
Aby jednak być w stanie stosować takie



*Przebiecie izolatora
napięciem 280 000 voltów*

maszyny, należało równocześnie rozszerzyć okąg działania każdej elektrowni, umożliwić obsługiwanie przez jedną elektrownię coraz większej połaci kraju. Spowodowało to udoskonalenie techniki wysokich napięć i stopniowe ich zwiększenie w technicznym zastosowaniu.

Moc elektryczna równa jestoczynowi z prądu i napięcia, im więc wyższe napięcie, tem mniejsze staje się natężenie prądu. Straty, powstające przy przesyłaniu energii elektrycznej, są ze swej strony równe oporowi elektrycznemu przewodu (opór tu zależy od przekroju przewodów) pomnożonemu przez kwadrat prądu. Z tego wynika, że przy jednakowych przewodach i stratach, można przy dwa razy większem napięciu, przesłać 4 razy więcej energii. Napięcia 5—10.000 Woltów, uważane przed kilkunastu laty za wysokie, zaliczone są obecnie do napięć średnich. Przesyłanie większych ilości energii na znaczniejsze odległości odbywa się dziś przy pomocy napięć 100.000—200.000 Woltów, a w pracowniach i laboratorjach probowane są napięcia 500.000 a nawet 1.000.000 Woltów. Odległości 150—200 km. nie są już uważane za duże, a przesyłanie energii na 300—400

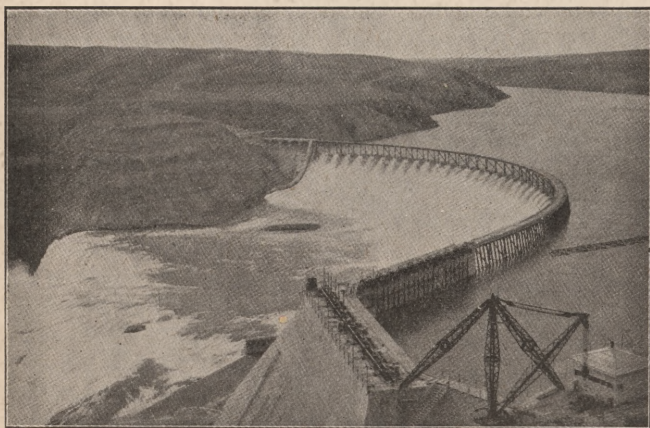


*Montaż turbogenerators parowego 40.000 K. W.
w elektrowni w Gennevilliers*

km. nie przedstawia też większych trudności.

Elektrownie o mocy 5—10.000 koni, uchodzące do niedawna za wielkie, uważane są już obecnie conajwyżej za średnie i zastępowane bywają coraz częściej nad-elektrowniami o mocy paruset tysięcy koni. Tak np. kilka poszczególnych i niezależnych elektrowni, obsługujących Paryż, zastąpione zostały w roku 1923 ogromną elektrownią w Gennevilliers pod Paryżem; elektrownia ta ma moc 200.000 Kw. Stosunki takie, jak np. w Warszawie, gdzie mamy obecnie 3 elektrownie (miejska, tramwajowa i w Pruszkowie) są już zupełną anomalią.

W ogromnej większości wypadków, do napędu prądnic służą parowe maszyny, energię więc elektryczną otrzymujemy z ciepła zawartego w węglu. Nie wszystkie jednak kraje posiadają węgiel, a poza tem staje się dobywanie jego coraz kosztowniejszem, gdyż sięgać musimy do coraz głębszych pokładów. Zapasy węgla, aczkolwiek jeszcze bardzo wielkie, są jednak ograniczone i z czasem wyczerpać się muszą. Zwrócono się więc do innego źródła energii, prak-



Jaz na rzece Missouri w Great Falls „Montana Power Company“

tycznie niewyczerpalnego, a mianowicie do t. zw. „białego węgla”, czyli sił wodnych.

Panuje dość ogólne mniemanie, że kraj nasz jest pod tym względem upośledzony, że sił wodnych w Polsce nie posiadamy. Otóż jest to mniemanie zupełnie mylne. Prawdą jest tylko, że siły wodne nasze nie tylko nie są wyzyskane, ale w większej części nawet nie zbadane, ale siły takie posiadamy i to w ilości wcale okazałej.

Na czym polega siła wodna? Na bardzo prostej zasadzie, że woda, spadając z pewnej wysokości, rozwija pewną moc, a mianowicie 1 metr sześciennej wody na sekundę z wysokości 1 metra teoretycznie 1000 kilogramometrów na sekundę, czyli 13,4 konia mechanicznego.

Ponieważ każda rzeka posiada pewien spad, a zatem i różnicę wysokości pomiędzy swymi źródłami a ujściem, przeto każda stanowi pewną moc. Obliczono, że rzeki w Polsce przedstawiają moc 3.653.000 koni mechanicznych.

Z tego nie wynika bynajmniej, aby całą tę moc można było wyzyskać, przeciwnie, można to uczynić jedynie dla niewielkiej ich części,

W rzece zużywa się cała energia wody na pokonanie oporów jej przepływu; z małymi tylko wyjątkami, gdzie mamy naturalne wodospady i wystarczy odprowadzić część wody na odpowiednie maszyny, należy ten spad wy-

tworzyć sztucznie, co da się tylko wtedy praktycznie uskutecznić, jeśli naturalny spad rzeki jest dostatecznie wielki.

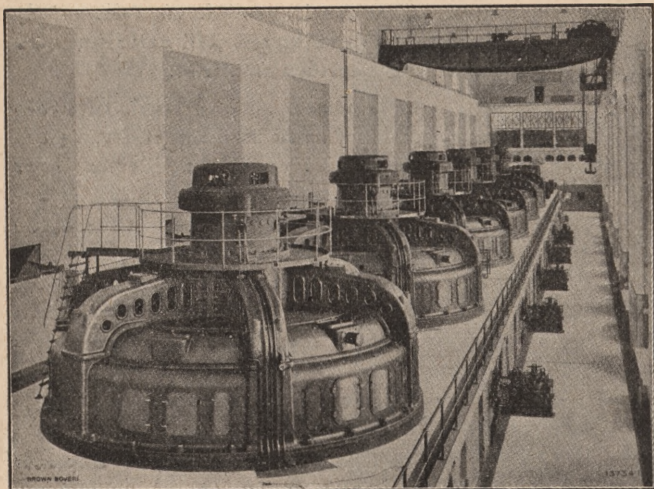
W odpowiednim miejscu rzeki, odprowadza się od niej kanał możliwie prosty, z gładkimi brzegami i dnem, dzięki czemu opór przepływu znacznie się zmniejsza tak, że kanał ten ma pochyłość mniejszą niż łóżysko rzeki; jeżeli przy tem, jak to zwykle bywa, da się skrócić drogę, przecinając np. zakręt rzeki, to otrzymuje się przy ujściu kanału do rzeki pewną różnicę poziomu wody w tym kanale i w rzece, czyli skoncentrowany spad, który właśnie dla wytwarzania siły zużytkować możemy.

Oprócz tego piętrzymy zwykle sztucznie wodę w rzece przez zbudowanie w niej odpowiedniej tamy, czyli raczej jazu, odprowadzając kanał tuż za tym jazem (w górę rzeki). W ten sposób zwiększamy oczywiście spad.

Otóż budowa taka nie zawsze da się praktycznie wykonać: jeżeli rzeka ma charakter równiny, bieg wolny, a zatem naturalny spad mały, a przy tem bieg względnie prosty, to dla osiągnięcia skupienia dostatecznego spadu wypadłoby prowadzić kanał tak długi, że budowa jego by się nie opłacała. Spiętrzenie znowu wody w rzece wymaga z jednej strony wysokich brzegów, któreby powstający zalew ograniczyły, z drugiej zaś strony znacniejszego spadku, gdyż inaczej



Przewód rurowy, doprowadzający wodę do elektrowni Buitreras w Hiszpanji.



Wnętrze elektrowni wodnej w Muhleberg w Szwajcarii.

zalew ciągnąłby się zbyt daleko w górę rzeki.

Otóż z naszych polskich rzek nadają się do wyzyskania przedewszystkiem rzeki Małopolski: Soła, San, Dunajec, Poprad, Dniestr i ich dopływy, a poza tem wody pasa pojezierza Pomorskiego, dorzecza stoków gór Św. Krzyskich i częściowo dopływy Warty i Niemna, podczas kiedy np. Wisła lub Bug do wyzyskania sił wodnych się nie nadają.

Pobieżne obliczenia wykazują, że dałoby się bez większych trudności uzyskać z sił wodnych Podkapacia około 1.000.000 koni, moc zatem już wcale poważna.

Dotychczas dokładniej zbadanych zostało 63 zakłady wodne o ogólnej mocy 352.000 Kw. i możliwej rocznej produkcji 1250 milionów Kw/g.; dokładniejsze projekta opracowane są dla 11 zakładów.

Gorzej się jednak rzecz przedstawia, jeżeli przejdziemy do wykonania. Nie licząc oczywiście małych zakładów, jak młynów lub drobnych elektrowni, których przed wojną było ogółem w Polsce około 9.000 o ogólnej mocy 125.000 K. M., obecnie zaś pozostało tylko około 85.000 koni, większy zakład posiadamy jedynie jeden, a mianowicie na Pomorzu w Gródku elektrownię okręgową o mocy 5.250 K. M. i rocznej produkcji 12.000.000 Kw/g. W budowie znajduje się dwie elektrownie, a mianowicie na Sanie w

Myczkowcach o mocy 4.300 Kw. i rocznej produkcji 22 milj. Kw/g. prawie ukończoną, oraz na Sole w Porębie o mocy 9.000 Kw. i rocznej produkcji 25 milj. Kw/g. le-dwo rozpoczęta.

Jak widzieliśmy zakład wodny składa się normalnie:

1) z jazu, przegradzającego rzekę i piętrzącego jej wody. Jaz może być jużto stały, przelewowy, t. j. taki, przez który przelewa się nadmiar wody, o ile ona cała nie zostaje zużyta na wytworzenie energii elektrycznej, jużto zaopatrzonej w śluzy otwierane w miarę potrzeby. O ile rzeka jest spławna, to pozosta-wione bywają w jazie odpo-

wiednie bramy dla przepuszczenia stałków i tratw.

2) — z kanału dopływowego lub robocze-go, który bierze wodę powyżej jazu i pro-wadzi ją do turbin. Kanał ten może być jużto wykopany w gruncie, jużto prowadzony ja-ko akwadukt górą na odpowiednich podpo-rach, np. ponad kotlinami, drogami, potoka-mi, lub też wreszcie najczęściej na części swego przebiegu wykonany jako tunel pod wzgórzami.

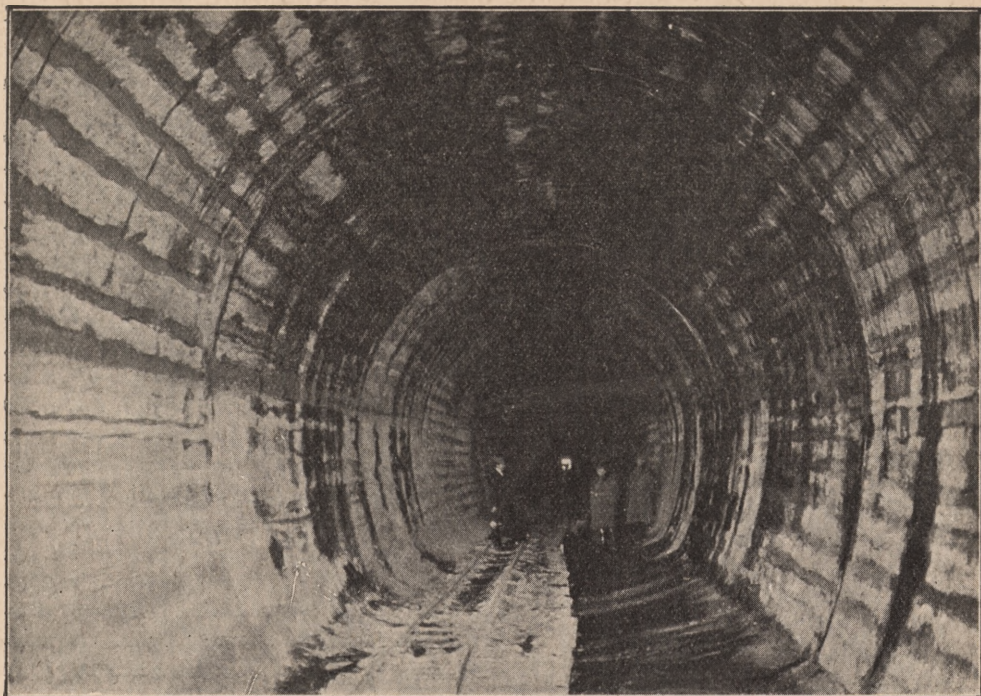
3) — z właściwej maszynowni z turbina-mi, generatorami elektrycznymi i wszelkimi innymi przyrządami.

4) — z kanału odpływowego, odprowadza-jącego wodę od turbin do łożyska rzeki.

Często poza tem kończy się kanał roboczy przewodem rurowym, w którym woda znaj-duje się już pod ciśnieniem, nieraz nawet bardzo wysokiem.

Wyjątkowo dogodnymi bywają miejsca, gdzie rzeka robi pętlicę, jak np. w Myczkow-cach na Sanie; przy pomocy około 900-me-trowego kanału i 230-metrowego tunelu uda-je się tu przeciąć pętlicę Sanu o długości 6,4 km., a ponieważ zalew sięga 2,7 km. wwyż rzeki, przeto wyzyskać spad na długości 9,1 km. — średnio 13,8 m.

Zapotrzebowanie energii elektrycznej by-wa zawsze, z wyjątkiem niektórych zakła-dów, jak np. hut lub fabryk chemicznych,



Tunel, doprowadzający wodę do elektrowni w Myczkówach na Sanie.

wysoce zmienne w ciągu doby i staje się bardzo małym, np. w nocy lub w święta, kiedy fabryki nie pracują. Tymczasem jest przepływ wody w czasie doby normalnie stały, a natomiast mocno zmienny w porach roku, np., minimalny w lecie przy suszy i t. d. Wynika z tego, że musimy albo przepuszczać bezużytecznie większą część wody, albo też stworzyć zbiornik, w którym moglibyśmy wodę tę zbierać i puszczać na turbiny tylko wtedy, kiedy mamy zapotrzebowanie energii. W ten sposób możemy znacznie zwiększyć moc zakładu, przepuszczając przez turbiny, np. w 8 godzin wodę zebraną przez 24 godziny, czyli 3 razy większą.

Każdy przeto zakład wodny musi mieć pewien zbiornik: częściowo stanowi go spiętrzenie za jazem i spowodowany nim zalew, częściowo można odpowiednio rozszerzyć kanał dopływowy. Takie małe zbiorniki są zbiornikami dziennymi.

O wiele jednak pożyteczniejszymi są zbiorniki wielkie, o pojemności kilku lub kilkunastu milionów metrów sześciennych wody,

prawdziwe już sztuczne jeziora, gdzie się one zrobić dadzą, jak np. na Sole w Porębcu. Zbiorniki takie, sezonowe, pozwalają zbierać wodę w czasie przyływu, aby ją następnie zużytkować w czasie suszy.

Bez zbiornika sezonowego musielibyśmy właściwie dostosowywać moc zakładu do najmniejszego przepływu; ponieważ jednak w ten sposób tracilibyśmy bezużytecznie większość wody przez całą pozostałą część roku, robi się więc zwykle inaczej, a mianowicie, dostosowuje moc maszyn do tej ilości wody, która przepływa np. w przeciągu 260 dni rocznie, ustawiając poza tem jako rezerwę maszyny cieplikowe, parowe lub inne, które w czasie małej wody dopełniają brakującą moc.

Obiór tej średniej wody, a co za tem idzie i mocy rezerwy cieplikowej, oraz ilość dni, przez jakie rezerwa ta pracować musi, zależy będzie czysto od kalkulacji.

Zbiornik sezonowy czyni taką rezerwę cieplikową w znacznej mierze zbędną, regulując cały przepływ rzeki.

Często zapobiegają wielkie zbiorniki po-

wodziom i pozwalają uniknąć budowy kosztownych obwałowań brzegów, tam i t. p. Tak np. został zaprojektowany wielki zbiornik na rzece Sole jeszcze przez rząd austriacki, głównie dla zabezpieczenia od szkód, jakie czyni Soła w czasie wielkich wód, nie tylko na swym przebiegu, ale i na Wiśle, która gwałtownie wzbiera przy wylewie Soły. Dopiero później pomyślano o wyzyskaniu zbiornika dla wytwarzania energii elektrycznej.

Przeważnie bywa tak, że na jednej rzece powstaje nie jeden tylko zakład, ale cały ich szereg, wyzyskujące każdy część spad. Czy lepiej jest budować jeden zakład z większym spadem, ale zato dłuższym kanałem, czy też dwa, jest to już rzecz każdorazowej kalkulacji. Oczywiście, iż dla całego szeregu takich zakładów wystarcza jeden wspólny zbiornik sezonowy w górze rzeki. Tak na przykład, projektowane są na Sole, oprócz zakładu w Porębcu, przy samym jazie zamykającym zbiornik, dwa dalsze zakłady, a mianowicie w Kętach i Jawiszowicach, na Sanie 4 zakłady: Solina, ze zbiornikiem 90.000.000 m³, Myczkowce, Łukawica i Kosiczyń i t. d.

Poszczególne elektrownie, względnie całe ich grupy, bywają zwykle łączone elektrycznie ze sobą w ten sposób, że pracują wszystkie na wspólną sieć elektryczną. Łączenie takie przedstawia duże korzyści, gdyż w ten sposób mogą się obciążenia poszczególnych elektrowni znacznie wyrównywać. Poza tem zwiększa się pewność całej eksploatacji, gdyż w razie uszkodzenia jakiej maszyny, czy też całej elektrowni, zastępują ją sąsiednie. Niezbędne dla zapewnienia ciągłości dostawy prądu maszyny zapasowe mogą być wspólne, przez co zmniejsza się ich ilość.

Odnosi się to głównie do rezerw ciepłokowych zawsze, jak widzieliśmy, koniecznych; jedna elektrownia parowa wystarcza wtedy dla całej grupy elektrowni wodnych.

Z łączenia ze sobą elektrowni powstają ogromne sieci, obsługujące cały kraj. Tak np. ma być Francja podzielona na trzy okręgi z trzema sieciami. W Ameryce stan Montana posiada sieć o przeszło 3.000 km. zasilaną przez kilkanaście elektrowni i obsługującą cały ten stan. Szwajcaria dąży również do wytworzenia ogólnokrajowej sieci, łączącej

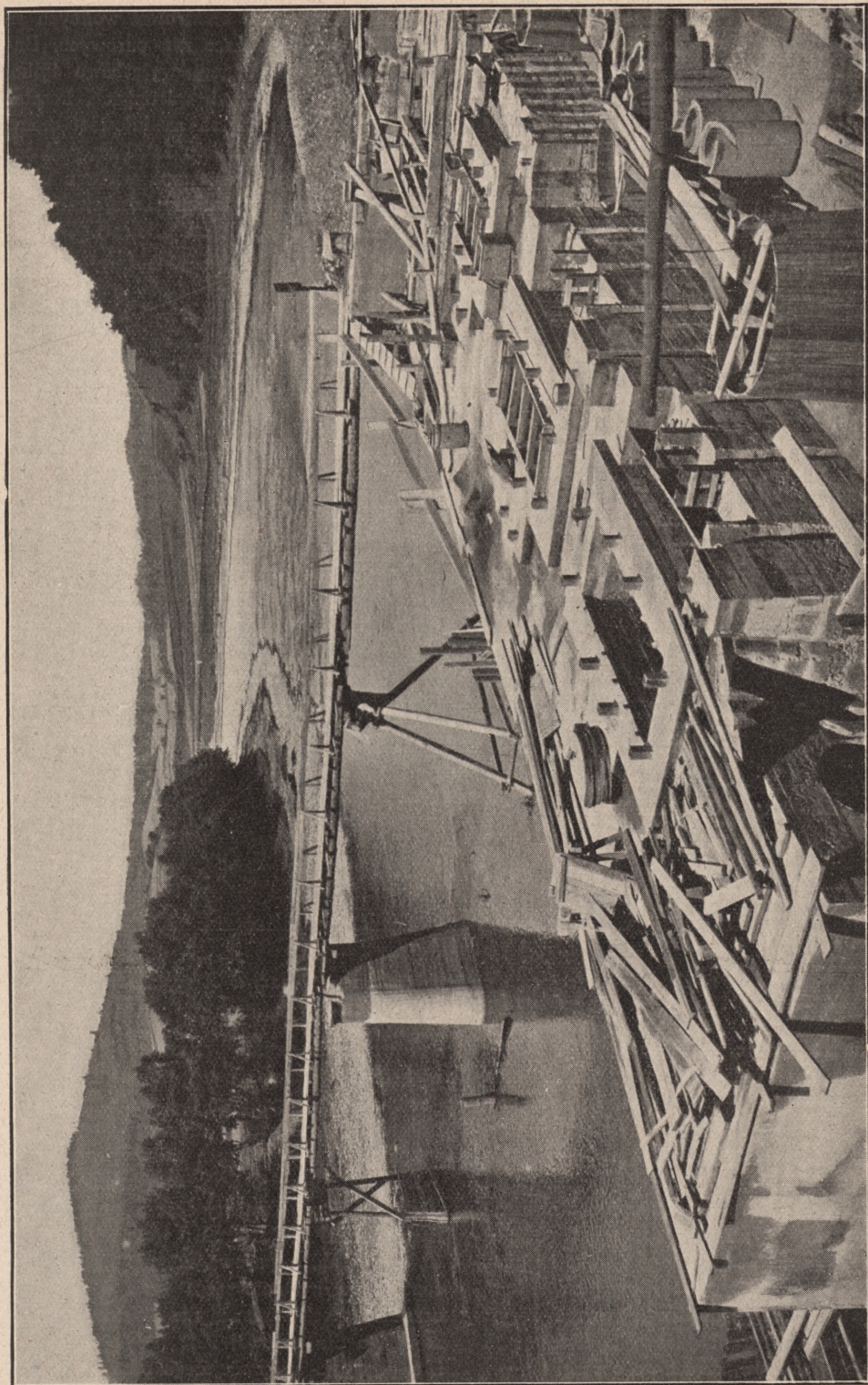
w jedno wszystkie bardzo liczne już tam egzystujące sieci.

Obliczenia pokazują, że połączenie wspólną siecią elektrowni parowych Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego oswobodziłoby około 100 tys. Kw., obecnie bezużytecznie stojących jako rezerwy na poszczególnych elektrowniach. Łatwo zrozumieć, o ileby skutkiem tego potaniała energia elektryczna.

Projekt opracowany przez Ministerstwo Robót Publicznych przewiduje budowę głównej linii elektrycznej wzdłuż całych Karpat, od Krakowa aż do Uniża na Dniestrze we Wschodniej Małopolsce, długości około 500 km.; główna ta linja zasilana ma być przez wszystkie elektrownie rozłożone wzdłuż Karpat; odgałęzienia od głównej linii, szyn zbiorczych, prowadzić będą do poszczególnych miast: Tarnowa, Przemyśla, Lwowa i t. d.; na zachodnim końcu łączyć się ma linja główna poza Krakowem z siecią łączącą elektrownie ciepłikowe Śląska; od Krakowa przewidziana jest linja przez Częstochowę, Łódź do Warszawy, około 320 km., od Lwowa przez Lublin również do Warszawy, około 350 km. W ten sposób będzie mogła nawet Warszawa być zasilana energią wytwarzaną przez siły wodne.

Obecne elektrownie ciepłikowe poszczególnych miast, Krakowa, Lwowa, Warszawy i t. d. oraz Śląska stanowiłyby niezbędne rezerwy ciepłikowe. Obecność takich rezerw w większych ośrodkach jest jeszcze i z innych względów wysoce wskazana. Oto przewody elektryczne muszą być tak obliczone, aby powstające w nich straty napięcia nie przewyższały pewnych granic, nawet przy maksymalnym obciążeniu. Ostrza takie obciążeniowe bywają zwykle dość krótkotrwałe, n. p. w większych miastach w zimie koło godziny 3 — 5 po południu, kiedy w ruchu wszystkie fabryki są oraz działa w pełni oświetlenie. Jeżeli dane miasto posiada zapasową elektrownię ciepłikową, to ostrza te może dawać ta właśnie elektrownia, sieć zaś zostaje zbudowana na mniejsze, średnie obciążenie, przez co staje się o wiele tańsza.

Mylnem byłoby mniemać, że energia elektryczna wytwarzana w elektrowniach wodnych musi zawsze być tańszą od energii wytwarzanej w elektrowni ciepłikowej. Często może być



Elektrownia w Myczkowcach na Sante. Wylot tunelu i fundamenty maszynowni

dobę, czyli około 2.400 godzin na rok, z drugiej zaś pałac, którego salony recepcyjne oświetlane bywają może 30 razy do roku, ogółem przez jakie 200 godzin. Jeżeli tak warsztat, jak i pałac potrzebują n. p. 10 Kw., to dla każdego z nich musi elektrownia mieć owe 10 Kw. i oczywiście jest, że właściciel pałacu będzie musiał płacić za użytą energję o wiele drożej niż właściciel warsztatu.

Koszta energii elektrycznej składają się

Koszta urządzenia elektrowni wodnych są naogół znacznie większe niż parowych. Budowa elektrowni wodnej wyjątkowo tylko, w specjalnie dogodnych warunkach, kosztować może 400 — 500 zł. za kilowatt mocy, kosztuje zaś zwykle około 1.000 zł., podczas kiedy dobrze zaprojektowane większe elektrownie parowe nie powinny kosztować więcej niż 300 — 400 zł. za kilowatt. Wynika z tego, że koszty pierwsze będą dla elektro-



Wejście do tunelu, doprowadzającego wodę do turbin w elektrowni w Myszówkach

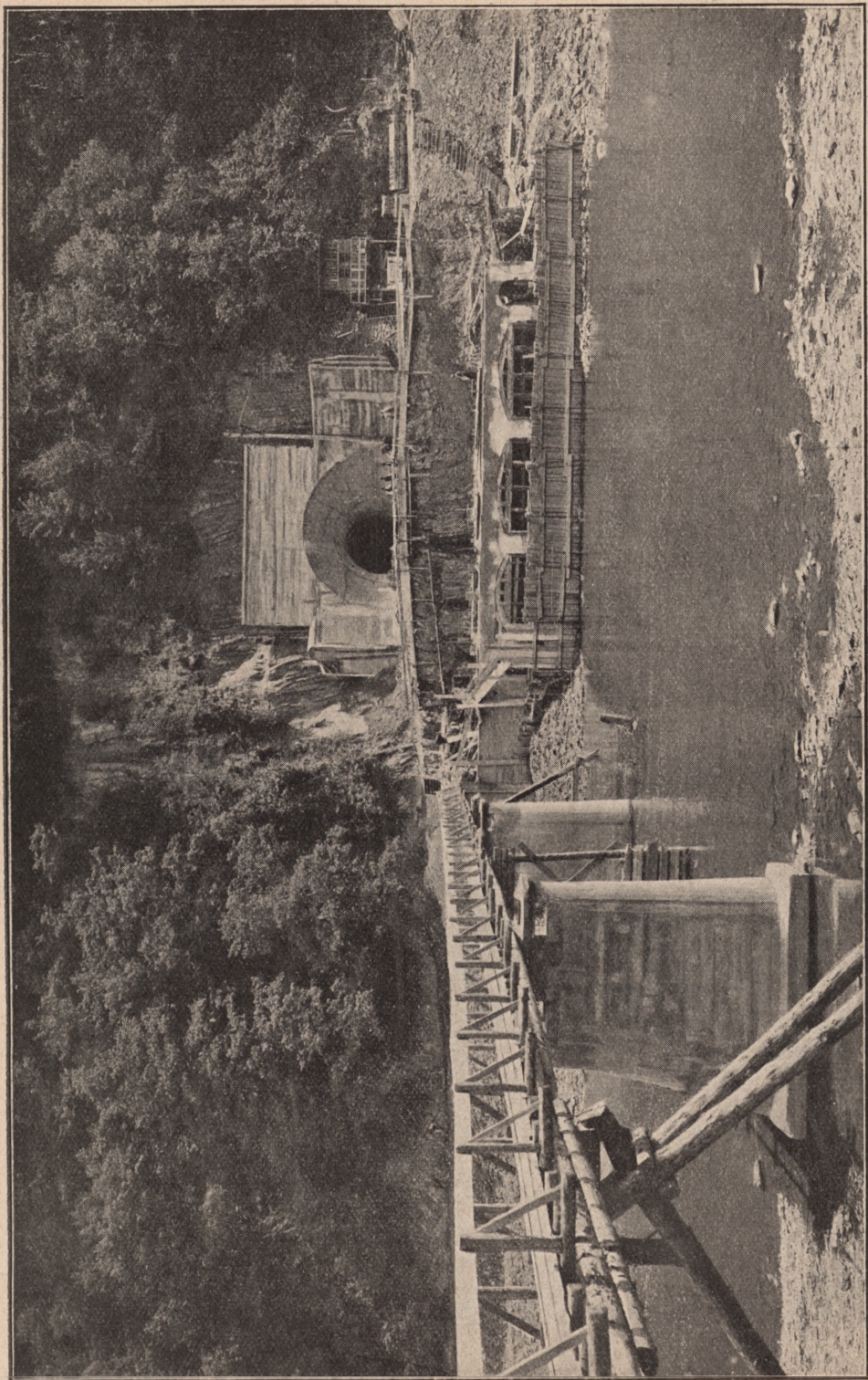
zawsze z dwóch części, a mianowicie: z kosztów zależnych jedynie od przyłączonej mocy a niezależnych od czasu jej używania, czyli ilości zużytej energii, oraz kosztów bezpośrednio zależnych od ilości zużytej energii.

Do pierwszych należą będą przedewszystkiem koszty spowodowane oprocentowaniem, amortyzacją i odnowieniem urządzeń elektrowni i sieci, koszty ogólne dyrekcji i administracji oraz w przeważnej swej części koszty obsługi maszyn; do drugich, przedewszystkiem dla elektrowni parowych, koszty paliwa, dalej smarów, częściowo obsługi i t. p.

wni wodnych zwykle przeszło dwa razy większe, niż dla parowych; natomiast drugie, ponieważ siła napędowa, t. j. woda, nie kosztuje nic, będą o wiele mniejsze.

Sprawę tę wyjaśni nam najlepiej przykład.

Wyobraźmy sobie dwie elektrownie, jedną wodną, a drugą parową, obie o mocy 10.000 Kw. Niech elektrownia wodna kosztuje 10.000.000 zł., a parowa 3.500.000 zł.; oprocentowanie i amortyzacja oraz odnowienie urządzeń niech stanowią dla elektrowni wodnej 12, a dla parowej 14% (gdyż jaz, kanał i t. p. wymagają mniejszego odnowienia niż



Elektrownia w Myczkowcach na Sante. Fundamenty sali maszyn i turbin.

kotły, maszyny i t. p.) obsługa dla elektrowni wodnej 50.000 zł., a parowej 150.000 zł. rocznie; otrzymamy więc dla elektrowni wodnej rozchody roczne stałe 1.250.000 zł., czyli 125 zł. na kilowatt, a dla parowej 640.000 zł. czyli 64 zł. na kilowatt. Licząc dla elektrowni parowej 1,5 kg. węgla po 30 zł. za tonnę na kilowatt-godzinę, otrzymamy 4,5 gr. za Kw/g., a wraz ze smarami i częściowo obsługą i naprawą — 5 gr., dla elektrowni zaś wodnej 0,5 gr.

Warsztat, biorący 10 Kw. przez 2.400 godzin rocznie, zużyje 24.000 Kw/g. i musiałby zapłacić:

1) — przy elektrowni wodnej:

Płaca stała 10 Kw. po 125 zł.	= 1.250 zł.
24.000 Kw/g. po 0,5 gr.	= 120 „
	1.370 zł.

czyli 5,7 gr. za kilowatt-godzinę.

2) — przy elektrowni parowej:

Płaca stała 10 Kw. po 64 zł.	= 640 zł.
24.000 Kw/g. po 5 gr.	= 1.200 „
	1.840 zł.

czyli 7,7 gr. za Kw/g.

Właściciel pałacu zapłaciłby:

1) — przy elektrowni wodnej:

Płaca stała 10 Kw. po 125 zł.	= 1.250 zł.
2.000 Kw/g. po 0,5 gr.	= 10 „
	1.260 zł.

czyli 63 gr. za Kw/g.

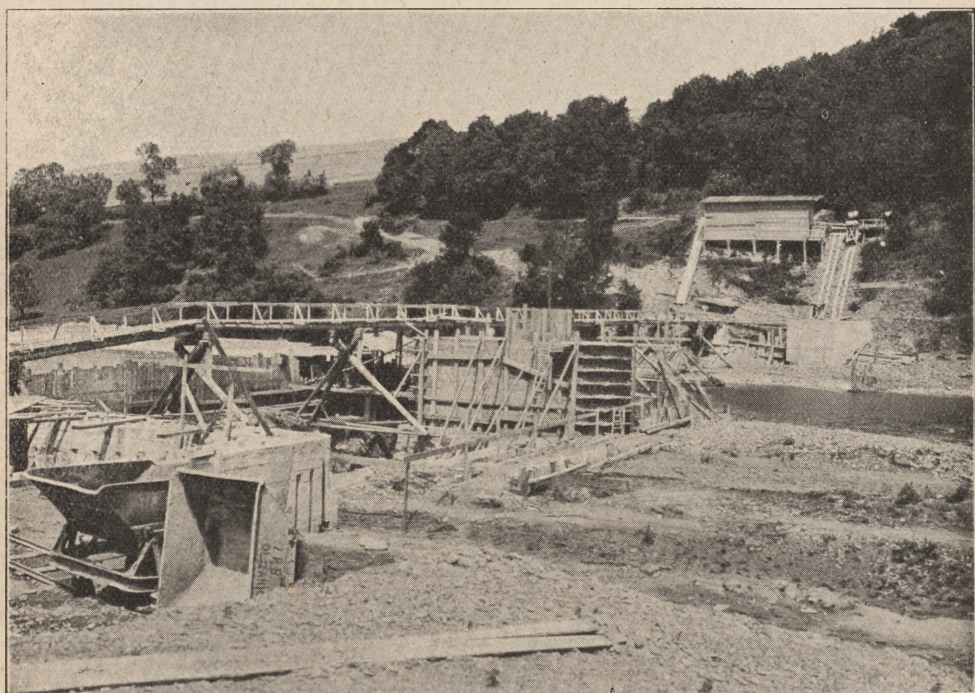
2) — przy elektrowni parowej:

Płaca stała 10 Kw. po 64 zł.	= 640 zł.
2.000 Kw/g. po 5 gr.	= 100 „
	740 zł.

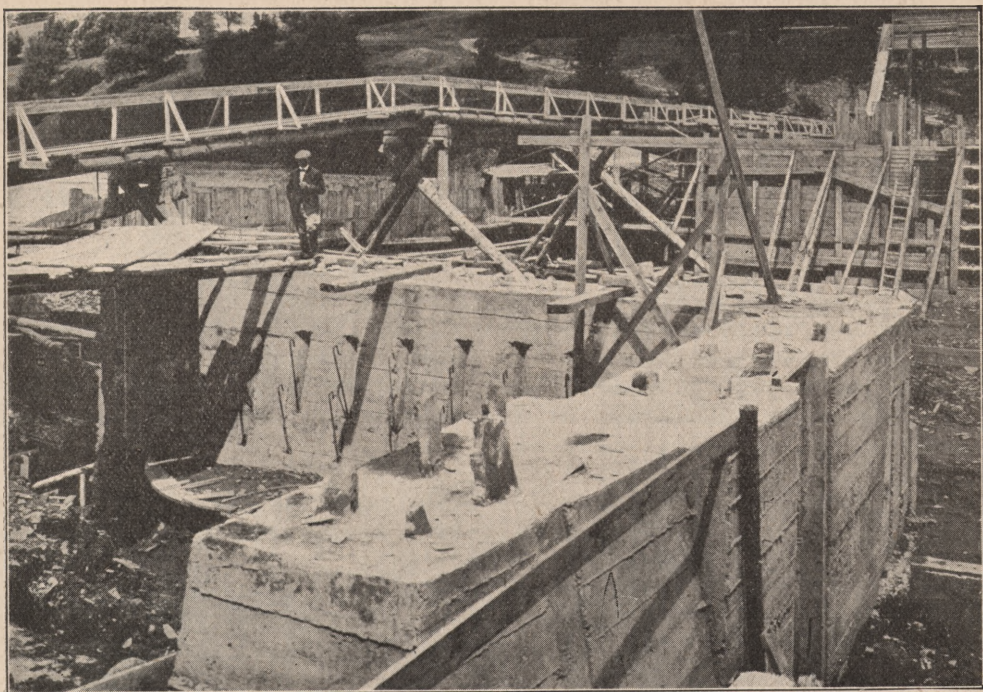
czyli 37 gr. za Kw/g., a zatem o wiele taniej, niż przy elektrowni wodnej.

Jest to oczywiście tylko obliczenie porównawcze, dowodzi jednak, jak wielką rolę gra czas używania, i że przy małej używalności może być energia elektryczna wytwarzana parą tańsza od wytwarzanej wodą.

Jeżeli więc idzie o energję o krótkiej używalności, n. p. przeważnie o oświetlenie, to budowa elektrowni wodnej może się opłacić tylko przy wyjątkowo dla niej korzystnych warunkach.



Fundamenty jazu, piętrzącego wodę na Sanie w Myczkowcach.



Część fundamentów sali maszyn w elektrowni w Meczówkach

Widzieliśmy już, że znaczną część wody musimy przepuszczać bezużytecznie, gdyż moc elektrowni dostosowywać musimy do średnich, nie zaś maksymalnych wód. Otóż taką zbyteczną wodę, względnie energję, można również zużytkować, jeżeli powstana przemysł, mogące pracować tylko sezonowo, jak n. p. elektro-huty. Taką energję odstępają zwykle elektrownie po wyjątkowo niskiej już cenie, dochodzącej nieraz do 1 grosza za Kw/g., co oczywiście przyczynia się silnie do rozwoju tego rodzaju przedsiębiorstw.

Z powyższego opisu widzimy, że w naszych siłach wodnych mamy ukryte ogromne bogactwa, których uruchomienie przyczyniłoby się ogromnie do rozwinięcia przemysłu, a zatem wzmocnienia finansów Polski.

Na to jednak trzeba, oprócz przedsiębiorczości i wiedzy, których nam nie brak, jeszcze i wielkich kapitałów. Kapitałów tych niestety w kraju nie mamy, i długo jeszcze mieć nie będziemy.

Czyż tedy mamy jeszcze na szereg lat bo-

gactwa te marnować? Stanowczo nie. Należy w braku kapitałów własnych, przyciągać obce, chociażby wypadło za nie płacić w tej czy innej formie drogo; haracz ten jednak stokrotnie się opłaci ożywieniem życia przemysłowego i zwiększeniem wytwórczości, a co za tem idzie bogactwa naszej Ojczyzny. Mylnem jest rozumowanie, które twierdzi, że należy najpierw stworzyć u nas przemysł elektrotechniczny, któryby wyrabiał potrzebne dla elektrowni maszyny. Wprost przeciwnie, stwórzmy najpierw elektrownie, a wtedy dla zaspokojenia ich potrzeb, przemysł elektrotechniczny powstanie napewno sam!

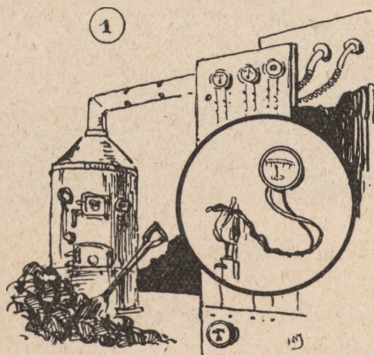
Korzystać więc należy z tego, że obecnie zaczyna się rodzić, głównie w Ameryce, zainteresowanie do przedsiębiorstw w Polsce i zaufanie do nas, zachęcać kapitały amerykańskie wszelkimi możliwymi ułatwieniami, a przy ich pomocy możemy we względnie niedługim czasie pokryć nasz kraj siecią przewodów elektrycznych, które jako arterje roznosić będą do najdalszych jego zakątków tanią i życiodajną energję elektryczną.

10 Wynałazków przyszłości

Myśl twórcza ludzkości odkrywa coraz to nowe dziedziny, zużytkowuje coraz to nowe i nieznane siły, wyężając swoje wysiłki do poznania nowych kręgów działalności i pracy. Postęp techniki ostatniej setki lat jest niezmierny, gdy porównamy stan kultury

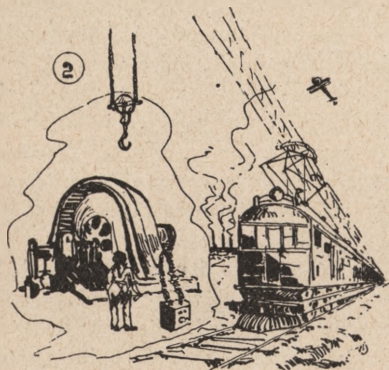
Nowe wynalazki i odkrycia są w drodze...

Jedną z pilnych potrzeb jest sprawa motorów i wytwarzania energii elektrycznej z węgla. Obecnie spalany węgiel opala kotły, wytwarza parę wodną i ta dopiero mocą



technicznej z początku XIX stulecia, z wieku dyliżansów pocztą z obecnym stanem rozwo-

swojej prężności przemienia się na energię elektryczną, czy motoryczną. Traci się na



ju podziw ogarnia nad twórczością i postępem myśli ludzkiej.

Lecz postęp dlatego jest postępem, iż postępuje, i nie tylko nie cofa się, lecz idąc wprzód, rozwija dawne myśli i tworzy nowe dzieła.

tym procesie bardzo dużo ciepła i energii. Nowe wynalazki dążą do zmiany wprost ciepła na energię elektryczną, bez pośrednictwa pary wodnej.

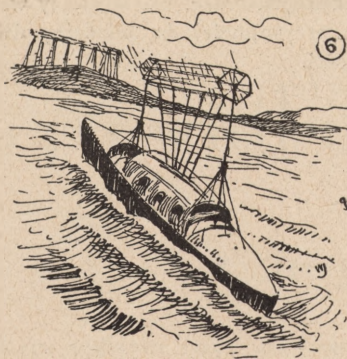
Drugim wynalazkiem, czekającym rozwiązania, jest budowa lekkich akumulatorów,

które przy niewielkiej objętości, będą mogły gromadzić znaczne zapasy energii elektrycznej.



Wprowadzi to możliwość budowy poruszanych elektrycznością samolotów i samochodów.

Jako trzeci wynalazek stawia się możliwość osiągnięcia zimnego światła.



Obecnie lampy elektryczne zużywają więcej niż połowę swojej energii na wytwarzanie ciepła i rozgrzewanie lampki na światło pozostaje zaledwo 10%.

Czwartym wynalazkiem jest tańszy i szybszy sposób lokomocji osobowej i towarowej. Obecny system kolei żelaznych o dwu szynach i kosztownej budowie toru jest bardzo nieekonomiczny. Bezpieczne rozwiązanie sprawy kolei jednoszynowej, o szynie górnej, zawieszanej, lub dolnej, podpartej, pozwoliłoby na prowadzenie tras kolejowych daleko taniej, dałoby możliwość rozwinięcia większej szybkości.

Piątym wynalazkiem, niezbędnym dla ludzkości, jest przenoszenie elektrycznej siły bez drutu. Dużo w tym kierunku prowadzono prób, jednakowoż ekonomiczne i pewne rozwiązanie tej kwestji nie zostało jeszcze osiągnięte.

Następnym z kolei jest możliwość kierowania mechanizmami na odległość zapomocą fal radiowych. Wprawdzie i w tym kierunku szły już rozliczne próby, jednak rozwiązanie tej kwestji nie zostało dotychczas opanowane.

Siódmym wynalazkiem, oczekującym wynalazcy, jest przemiana materji. Wiemy, że



charakterystyka jakiegoś pierwiastka zależy od ilości elektronów, przychodzących w atomach danej materji, ale dotychczas jedynie tylko znaleziono możliwość przemiany radu.

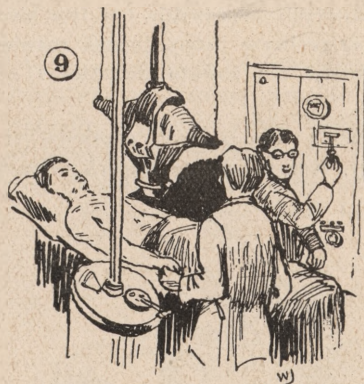


na inne pierwiastki co do innych pierwiastków, to jedynie alchemicy średnich wieków

próbowali przemienić materiały nieszlachetne w szlachetne.

Ponadto przemiana składu elektronów może być źródłem siły, gdyż przy rozkładzie atomu na elektrony, wywiązuje się niesłychana siła wybuchu.

Na ósmym miejscu jest telewizja, czyli mo-



żność widzenia na odległość i oglądania osoby, z którą rozmawiamy telefonicznie.

Jako dziewiąty wynalazek byłaby możliwość leczenia przez zabijanie bakcyli chorobotwórczych

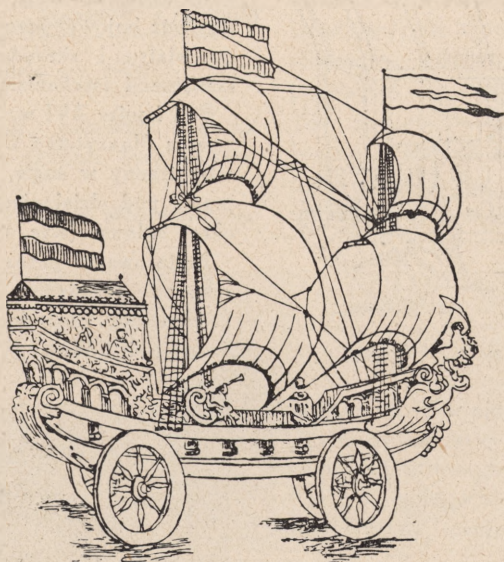
przez poddanie ich działaniu pewnych promieni. A więc choroby raka, płuc i inne mogłyby zniknąć bez śladu, przez poddanie chorego jakimś specjalnym naswietleniom.



Dziesiąty wynalazek wkracza w dziedzinę chirurgji i ułatwia możliwość przeszczepiania organów ciała, np. oka w organizm żyjący.

Listę wynalazków możnaby naturalnie znacznie uzupełnić wynalazkami fantazyjnymi, jak np. możliwość komunikacji międzyplanetarnej maszyną czasu, ale te rzeczy wchodzą narażenie przynajmniej do dziedziny dalszych możliwości.

N.



Krażowniki lądowe (czołgi)

Napisał

Jerzy Kuszelewski

Czołgi (po angielsku *Tanks*, po francusku *Chars d'assaut*) te stalowe potwory, słusznie przewzane przez Niemców „Schreckenmaschinen”, — kruszące wszystko na swej drodze, niszczące najsilniejsze przeszkody, — z łatwością przewracające mimochodem stuletnie drzewa, nawet małe domy wioskowe, szybko i bez trudu przechodzące najszersze rowy i doły, wyrzucające z paszcz swych dział ukrytych pod silnym pancerzem — lawę śmiertelnych pocisków, — poruszające się swobodnie w terenie w zabójczym ogniu nieprzyjacielskich karabinów maszynowych i dział, odporne na działanie tych ostatnich, — czołgi, o których u schyłku wojny światowej mówiono wszędzie tam, gdzie tylko czytano wiadomości z frontu, na którym właśnie

czołgom udało się w końcu skruszyć wojkową potęgę Niemców, — czołgi, — którym po zakończonej wojnie wzniesiono na krwawych polach minionych walk wspaniały i jedyny w swoim rodzaju pomnik, — czołgi są właśnie niczem innym, jak trojańskimi końmi XX wieku!

Jeżeli obejrzymy się o 4.000 lat wstecz — to stwierdzimy, że zadania wojny od tego czasu do chwili obecnej w zasadzie nie zmieniły się wcale. Jak wtedy, tak i teraz każda ze stron walczących dąży do:

- 1) zniszczenia przeciwnika na odległość,
- 2) podejścia do niego możliwie jaknajbliżej,
- 3) zniszczenia przeciwnika z bliskiej odległości,



Szkółki wóz bojowy z XVI wieku

4) zabezpieczenia siebie w tych wszystkich wypadkach od działań przeciwnika.

To też idea czołgów — trojańskich koni XX wieku nie była wcale nową.

Znane są wozy bojowe Assyryjczyków z przed 5000 lat.

3000 lat temu wozów bojowych używali również i Chińczycy.

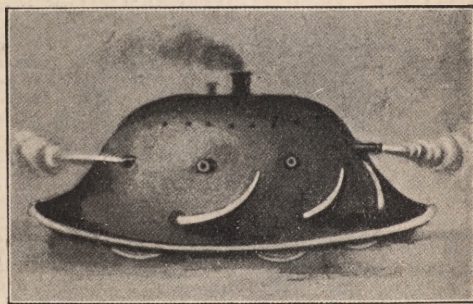
Wynalezienie prochu i umożliwienie zwalczania przeciwnika na znaczną odległość spowodowało to, że w średnich wiekach rozpoczęto masowo zastosowywać najrozmaitsze wozy bojowe, poruszające się na kołach, przy pomocy siły koni lub ludzi, wyglądem przypominające olbrzymie skrzynie drewniane,

ne, wewnątrz których siedzieli — jak w ruchomej fortecy uzbrojeni wojownicy, a celem ich było wtargnięcie włąb nieprzyjacielskich szeregów

W drugiej połowie XV w. Valturio zbudował wóz bojowy, poruszający się przy pomocy wiatru i skrzydeł (wiatraczków) oraz kombinacji mechanizmu trybowego.

Pod koniec XVI w. Simon Stevin zbudował księciu Maurycemu Orańskiemu bojowy wóz zaopatrzony w żagle, a poruszający się naprzód pod działaniem siły wiatru — niby okręt lądowy. (Rys. tytułowy).

Zastosowanie przez James'a Watt'a pary, jako siły pociągowej, w r. 1765 umożliwiło Francuzowi, Cugnots, a potem i Anglikowi James'owi Cowen'owi w r. 1885 skonstruowanie



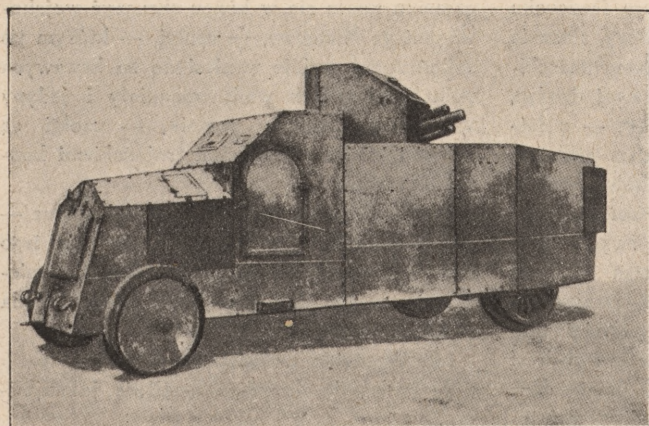
Wóz bojowy z roku 1885 (poruszany parą)

wozu bojowego, poruszanego parą, uzbrojonego w działa i szybko wirujące sierpy

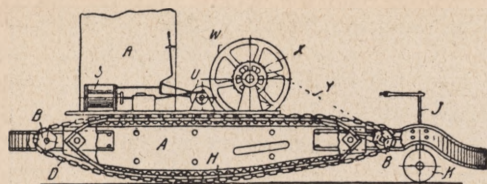
W dalszej swej ewolucji wozy bojowe przejęły na własność zwykły benzynowy silnik samochodowy.

W miarę rozwoju przemysłu samochodowego, rozpoczęto budowę licznych typów samochodów pancernych, które w wojnie rosyjsko-niemieckiej oraz w ostatniej naszej z bolszewikami odegrały często dużą rolę.

Wszystkie te jednak wozy bojowe — od czasów starożytnych począwszy, skończywszy na samochodach pancernych lat ostatnich. Fiat, Putiłow, Austro-



Samochód pancerny Pierre-Arrow



Traktor Battara z r. 1916

nach, Garfordach inn., posuwały się na kołach i tem samem zależne były zawsze od stanu dróg i terenu.

Do poruszania się w terenie nierównym, — po przez rowy i jamy, kępy i zarośla, mokradła i piachy, — wozy te zdolne nie były.

Dopiero zastosowanie t. zw. gąsienicy (chenille), — taśmy bez końca, składającej się z zawiasowo połączonych ze sobą płyt — niby ogniw, — pozwoliło wozom bojowym uniezależnić się od szos i dróg i z drugiej strony pozwoliło im wykorzystać dla swoich ruchów każdy teren, nawet posyty rowami strzeleckimi i pociskami.

Jednocześnie zastosowując gąsienicę do wozów bojowych, przedstawiających pudła o grubych ścianach ze stali pancernej, mogących pomieścić w swoich wnętrzach załogę i uzbrojenie, — musiano zmienić formę tych pudeł, — wydłużyć je znacznie, nadać im kształt przypominający łódkę, w celu zwiększenia przekraczania jam, rowów itp.

W roku 1770 Ryszard Lovell Edgeworth pierwszy opatentował swój wynalazek, polegający na zastosowaniu w kołowym wozie kombinacji, układających się bez końca

drewnianych szyn, po których wóz kołowy mógł się toczyć z łatwością.

W roku 1888 Frank Battar w Ameryce opatentował pomysł zastosowania do parowego traktora coś nakształt obecnej gąsienicy, składającej się zasadniczo z tych wszystkich elementów, z których składały się gąsienice pierwszych angielskich czołgów z roku 1916. Ten traktor Battara składał się z dwóch bocznych ram A, na których końcach były umieszczone tryby B, dokoła których był owinięty łańcuch, składający się z połączonych ze sobą za-

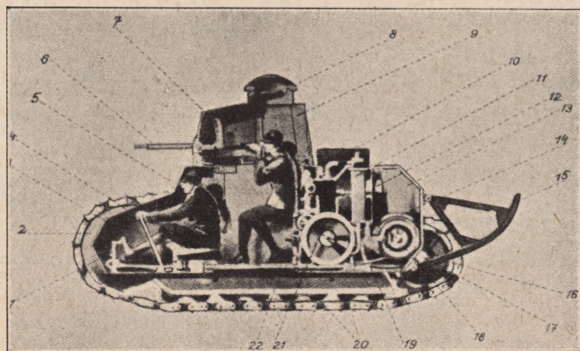
wiasowo płyt.

Ramy boczne A były połączone ze sobą poprzeczkami, na których spoczywał kocioł parowy R.

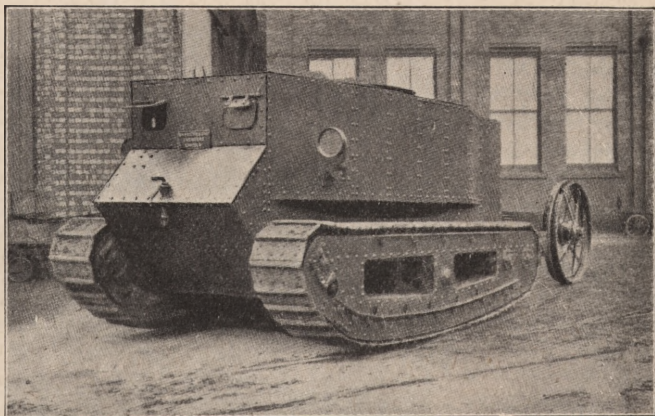
Po obu stronach tego kotła znajdowały się dwie maszyny parowe, każda poruszająca jedną gąsienicę.

Wał korbowy tych maszyn obracał przy pomocy trybu X i łańcuchów Y tryby B, umieszczone w tylnej części wozu.

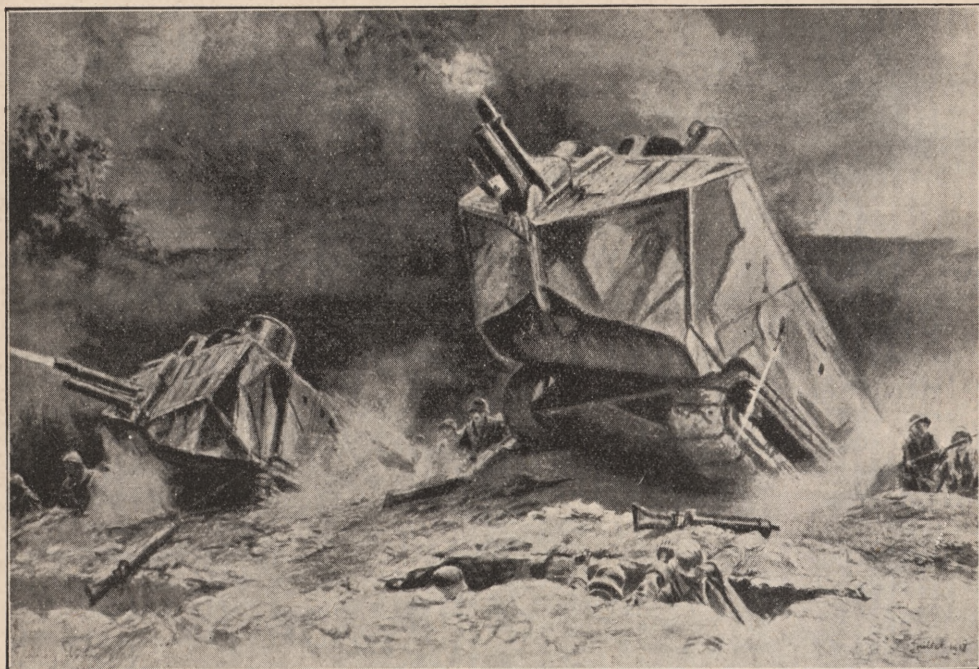
Tryby B wprawiały w ruch gąsienicę. Gą-



Lekki czołg włoski „Fiat 3000” o szybkości 21 kłm. na godzinę



Pierwszy zbudowany model angielskiego czołga w jesieni 1915 r. „Little Willie” (mały Wilus)



Czołgi w ataku na okopy

sienica składała się z dwóch części: zewnętrznej i wewnętrznej.

Zewnętrzna składała się z czworokątnych elastyczniełączonych ze sobą bokami płyt.

Miedzy zewnętrzną gąsienicą (łańcuchem) a rolkowymi wózkami, znajdowała się wewnętrzna gąsienica (łańcuch), której zadaniem było napięcie gąsienicy zewnętrznej i dostosowanie tej ostateknie do nierówności terenu.

Do zmiany kierunku oraz zachowania równowagi służyły dwa ztyłu umieszczone ogony sterowe, poruszające się na małych rolkach K.

Wzorując się na traktorze Battera i Holt'a w r. 1915 zbu-

dowali Anglicy pierwszy model bojowego wozu na gąsienicy.

Pierwszy chrzest bojowy tych maszyn miał miejsce 15 września 1916 roku nad Somme'a.

Francuzi użyli czołgów dopiero w kwietniu 1917 roku.

W roku 1918 występują czołgi różnych typów, a więc czołgi - olbrzymy — 40-tonnowe, średnie 28-tonnowe i lekkie — 14—7-tonnowe w setkach i tysiącach sztuk, coraz bardziej udoskonalone pod każdym względem.

Czołg nowoczesny składa się z kadłuba opancerzonego sta-



Ang. czołg ciężki rozbity ciężkimi pociskami niemieckimi w r. 1918

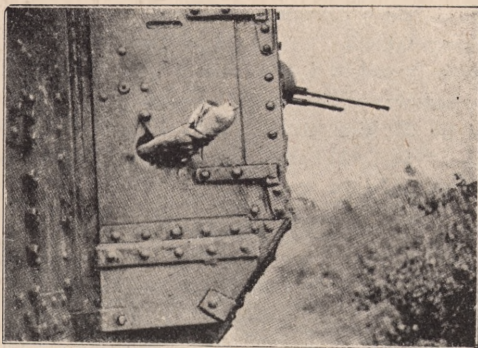
lową blachą pancerną, o grubości do 50 mm.

W kadłubie tym mieści się pod pancernem cały mechanizm pędny, uzbrojenie, zapas amunicji, sprzęt pomocniczy, stacja radiotelegraficzna i t. p.

Obserwacja z czołgu odbywa się za pomocą szczelin w pancerniu, węższych aniżeli średnice kul karabinowych.

Wobec ostatnio czynionych prób całkowitego uszczelnienia czołgów i tem dania im możliwości przechożenia najgłębszych rzek wbród oraz celem zabezpieczenia załogi czołgów od straszliwego działania gazów bojowych, — w pewnych modelach nowszych czołgów usunięto szczeliny, a obserwacje uskuteczniliono za pomocą specjalnych przyrządów optycznych — w rodzaju peryskopów.

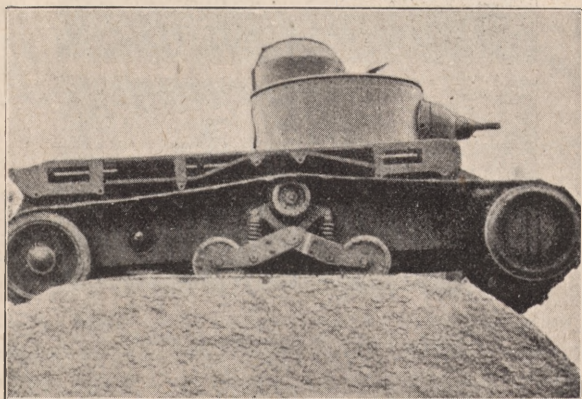
Uzbrojenie czołga składa się przeważnie z szybkostrzelnych dział artylerji polowej lub działek mniejszego kalibru i karabinów, umieszczonych w pancerniu oraz w specjalnych małych wieżyczkach, obracają-



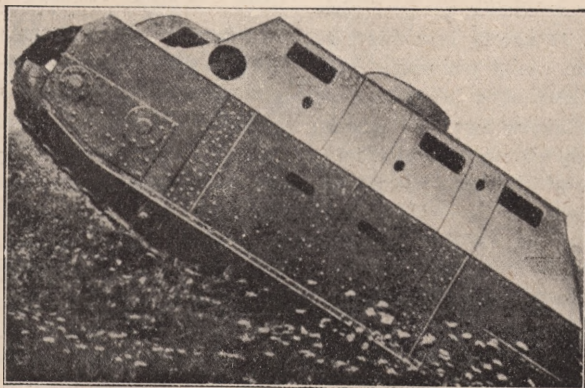
Gołęb pocztowy wypuszczony z czołga

na powierzchni ziemi ciężar czołga.

Tak np. dzięki gąsienicy ciśnienia lekkiego francuskiego czołga Renault lub włoskiego



Amerykański kombinowany czołg „Cristie” (trakeja kołowo gąsienicowa)



Ciężki czołg włoski

cych się dookoła własnej osi.

Kadłub czołga spoczywa na resorach, podobnych do zwykłych resorów, lub na tłokach poruszających się w cylindrach, wypełnionych olejem i t. p.

Wszystko to spoczywa na gąsienicy, która przez swą długość i szerokość równomiernie rozkłada

Fiat (rys. 8), waży 6,5 tonn, wywierane na jeden kw. cm. powierzchni, równa się 0,5 kg., czyli tyle samo, co i ciśnienie wywołwane stopą normalnego człowieka podczas jego ruchu.

Ciśnienie zaś 33-tonnowego angielskiego czołga Mark V z gwiazdą, wywoływane jego ciężarem na 1 cm² powierzchni, dzięki gąsienicy — nie przewyższa 0,75 kg.

Z tego powodu tam, gdzie przejdzie w grząskim terenie człowiek — przejeżdżać musi i czołg.

W czołgu znajduje się zapas materiałów pędnych i inn., po-

zwalający na jego poruszanie się w przeciagu około 10 godzin bez uzupełniania.

Czołg posuwać się może przodem i tyłem. Szybkość czołgów, zbudowanych w ostatnich czasach, dochodzi do 35 kilometrów na godzinę. Czołgi z roku 1916 i 1917 mogły się przemieścić z szybkością najwyższą 8 km. na godzinę.

W czasie pokoju rozpoczęto w różnych państwach, nie wyłączając i Rosji bolszewickiej, produkować masowo wozy gaśnicowe różnego rodzaju nie tylko dla celów wojskowych, ale i gospodarczych, rolnych, jak np. gaśnicowe ciągniki, traktory, gaśnicowe pługi motorowe, ciągniki bron, karczownice i t. d.

W ostatnich czasach czynione są próby zbudowania czołga-łódki oraz czołga podwodnego.

Próby te dały, jak dotychczas, rezultaty pomyślne, a skonstruowane modele tych czołgów wymagają tylko pewnych ulepszeń i udoskonaleń w szczegółach.

Postęp techniki w dziedzinie czołgów idzie tak szybko naprzód, że należy oczekiwać, że w najbliższym czasie czołgi podwodne będą działać tak samo niezawodnie jak najnowsze modele obecnie działają w zwykłym terenie.

A wtedy sprawdzą się wizje znakomitego angielskiego pisarza wojskowego, pułkownika

Fullera—i w przyszłej wojnie, jak samolot będzie panem powietrznych przestworzy—tak czołg wszechwładnym będzie panem lądu.

Będzie się on poruszać na lądzie — niby duży krążownik morski na wodach oceanu — w dowolnym kierunku będzie przechodzić pola, rzeki, zarośla.

On jeden będzie w przyszłej wojnie odporny na okropne działanie gazów bojowych i wszystkie inne straszliwe środki ogniowe nieprzyjaciela.

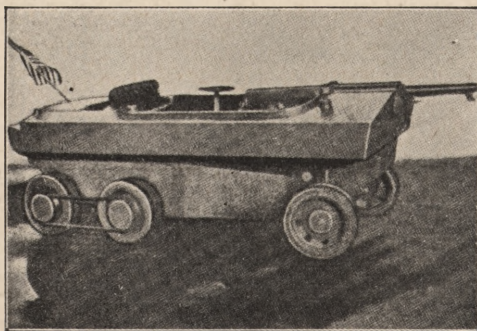
Ostatnio nietylko już wojskowa prasa angielska, ale również i amerykańska (pułk. Rockenbach) i francuska (pułk. Velprey) przyszłą wojnę określa jako wojnę morską, odbywającą się na lądzie.

Olbrzymie flotyle czołgów - olbrzymów, poprzedzane lżejszymi typami czołgów szybkoieżnych — niby tor-

pedowców, poruszać się będą w dowolnym kierunku na lądzie.

I jeżeli się porówna traktor Battera lub pierwszy model angielskiego czołga z roku 1915 z czołgiem, zbudowanym w roku 1923 — przekonamy się, że technika w odniesieniu do wozów gaśnicowych poszła tak szybko naprzód, że niema podstaw do wątplenia o trafności przypuszczeń pisarzy Zachodu co do przyszłości i roli tej najnowocześniejszej broni, — jaką są niewątpliwie — czołgi.

Czołg amerykański



Czołg łódka — uzbrojony w działo



Napisał

Ilustrowała M. Rozbicka

Karol Jan Strobl

Dyrektor zatelefonował o tem do sekretarza teatralnego, który zajęty był właśnie wszystkimi okropnościami Wilczego Parowu, sekretarz teatralny natychmiast obwiescił tę niezwykłą nowinę reżyserowi, reżyser powiedział to zaraz Samielowi, Agacie i Kasprowi, Agata szepnęła o tem koledze z „dramatu”, który podziwiał ją z głębi mroków kulis, i jak wodospad, gdy spada ze skał, tak szumiała ta wieść z jasnych wyżyn; rozgałęziała się, rozszerzała, łamała przeszkody, skrząc się i oszalamiając, aż dotarła do najniższych ciemności robotników teatralnych. Między drugą zapadnią a trzecią, między „mrokiem wieczornym” a „światłem księżycą” w sznurowni, pod pomostem, na którym ukazuje się duch Agaty, za oszczecionym grzbietem odyńca i obok wielkiego bębna udającego szum wodospadu, wszędzie mówiono o tem tylko. Potem wieść buchnęła na miasto i wzburzyła cały świat, którego ośrodkiem były nowinki teatralne. Kelner w kawiarni „Teatralnej” dyskretnie

podawał wraz z białą kawą tę ostatnią nowość teatralną, sądząc po zdziwionem spojrzeniu gościa, obliczał wysokość swego napitku. Wszyscy miłośnicy sztuki potrzásali głowami i najstarsi z pomiędzy nich nie mogli zaprzestać tego, jakgdyby groza zmieniła ich w pagody. I jak wstążki, bukiety, bombonierki, króliki z cylindra magika, tak z wiadomości tej wysypała się cała moc tematów do rozmów, przypuszczeń, aforyzmów, dobrych i złych dowcipów.

O godzinie jedenastej przed południem Józef Prinz zawiadomił dyrektora, że jest gotów zagrać Hamleta, a gdy o godzinie trzeciej popołudniu przyszedł do domu, gospodyni oczekiwała go z świątecznie podwojonymi pokładami szminki na policzkach i ze zdenerwowania nieco nieudanemi brwiami. Z trudem próbowała stanąć na palcach, wymachując przytem rękami, niby skrzydłami opuszczonego wiatraka.

„Co ja słyszę, co słyszę... ach, uwierzyć nie mogę. Czy to możliwe, panie Prinz! Ach, pan



Agata szepnęła o tem koledze z „dramatu“

chce znów, brak mi słów... Chce pan znów obdarzyć nas swoim Hamletem. Ach... ten monolog! Jak go pan mówił!...”

Prinz przedarł się przez skrzydła wiatraka i przebojem dotarł do drzwi swego mieszkania. Korzystając z przerwy pomiędzy dwoma obrotami i trzema okrzykami, wymknął się niebezpieczeństwu, na progu drzwi przybrał pozę Cezara, oddającego w darze jedną z części świata i zawołał: „Dostanie pani билет bezpłatny”, poczem uciekł się pod obronę mocnego rygla, z gwarancją na włamanie. Ale o czwartej musiał otworzyć woźnemu z teatru, który przyniósł mu rolę i wiązanek nietaktownych pytań i domyslników. Około piątej oddał mu listonosz dwadzieścia trzy liściki o subtelnych kolorach, od liljowego do różowego, woniejących wszystkimi zapachami, od piżma do heljotropu, wszystkie z wyrazem najgłębszego poważania i gorącego pragnienia, by znów ujrzeć boskiego Hamleta.

O wpół do szóstej wieczorem przyszedł przyjaciel Prinza, Gustaw Rietschl. Zastał Hamleta otulonego w szary mrok, z dwiema

czerwonemi jak krew plamami, które zapadający wieczór rzucił na jego pierś i barki, zamyślonego ze szpadą w rękę; wąska jej klinga zataczała półkole od gardy ku podłodze.

„Słyszałem, że chcesz znów grać Hamleta”.

„Tak, zdecydowałem się. Dyrektor tak mocno nastawał na mnie, bym umożliwił cykl szekspirowski, a ja... dlaczegoż nie miałbym zagrać Hamleta. Moja najlepsza rola... to śmieszne!”...

„Jeśli sam czujesz, że przemogłeś w sobie to, co wówczas się zdarzyło, dlaczego nie miałbyś grać? Oczywiście”.

„Ja... ja przemogłem to”. Prinz puścił zgięte ostrze tak, że cicho zadźwięczało u nasady. Krwawe plamy na piersi i plecach stały się teraz szersze, potem, drgając, rozplynęły się w ciemności.

Przyjaciel spojrział na wąską, czarną pręgę szpady, sterczącej w rękę Hamleta, jak woła ludzka, skierowana w niewiadome.

„Jak to dawno było?”

„Szczęśliwy jesteś, że nie musiałeś liczyć lat. Pięć lat banicji, i to w okresie najpełniejszego, najwyższego rozkwitu mych sił”.

„Wyobrażam sobie, że każde powtórzenie musiało w tobie budzić takie samo przerażenie, jak wówczas”.

„Chimery, mój drogi, chimery. A może sądzisz, że sumienie... Chcesz powiedzieć może, że było to więcej, niż nieszczęśliwy przypadek”...

„Cóż znowu... Prinz, cóż znowu! Ty, zdaje się, wciąż jeszcze nie przemogłeś tego w sobie. To przejście mocno nadszarpało ci nerwy”.

„O tak, to było straszne, gdy leżał przedemną: krew na jego kaftanie i na mojej szpadzie pełno krwi. To nie śmierć teatralna, po której wstaje się, by z uśmiechem skłonić się publiczności za oklaski, ale śmierć prawdziwa. Jeszcze parę drgawek i skurczów, potem jest już głuchym na oklaski. Te oklaski były straszne. Oni nic nie wiedzieli, i myśleli, że to triumf sztuki aktorskiej. Fortynbras musiał zdobyć się na słowa, które nam wszystkim zamarły na ustach.”

Gospodyni przyniosła lampę, zadowolona, że znalazła sposobność, by dotrzeć do Prinza. Ale ani uprzejmość, ani wyrazistszy, niż zwykle, rumieniec na jej twarzy nie zdołały

zwrócić na siebie uwagi. Gdy odeszła nadąsana, Hamlet położył szpadę na stole.

„Przypadek, przyjacielu, nieszczęśliwy przypadek. Pomyłka rekwizytora, i śmierć stała się pośród nas. Przysięgam ci, przypadek“.

„Nikt nie wątpi o tem“.

„Odtąd używam własnej tylko broni, o której wiem, że jest tępą i nie niebezpieczną“. Przy tych słowach przycisnął dłoń do końca szpady, jakgdyby chciał sędziego przekonać o swej niewinności. „A jednak... gdy ostrza skrzyżują się na scenie, drzę, i moje sposoby szermiercze stają się nie lepsze od sposobów byle statysty“.

„Zauważyłem to“.

„Zauważyłeś? Prawda? Może i publiczność zauważyła. Wogóle, wiesz, od tego czasu nie czuje się dobrze. Krytyka poblaża mi tylko. Ale ja nie chcę jałmużny uznania. Gdy raz jeszcze zagram Hamleta, będę wolny. Muszę znów stanąć naprzeciw Laertesowi, muszę zobaczyć, jak się podnosi i uśmiecha; wtenczas dopiero przemożę tego strasznego upiora“.

Wstał, podnosząc się całą swą smukłą postacią i z szybko przybranej pozycji wypadł kilkoma pchnięciami, którymi przebił bezcielesnego wroga. Potem szpada opadła jakby w zwątpieniu o zwycięstwo.

„Ty byłeś... prawda, przedewszystkiem ty byłeś wówczas przy mnie? Gdy leżałem w gorączce. Co mówiłem w delirium? To jest, co składało się na moje bredzenie?“

„Po największej części ułamki z Hamleta. Wiele ze słów Ofelji, a także Laertesowi. Wymieniałeś ich po nazwiskach i mieszałeś teatr z rzeczywistością. Coś niecoś było w tem prawdy, bo zdaje się, że plotka o twym stosunku do wdowy była prawdziwa.“

„Niedorzeczność!“

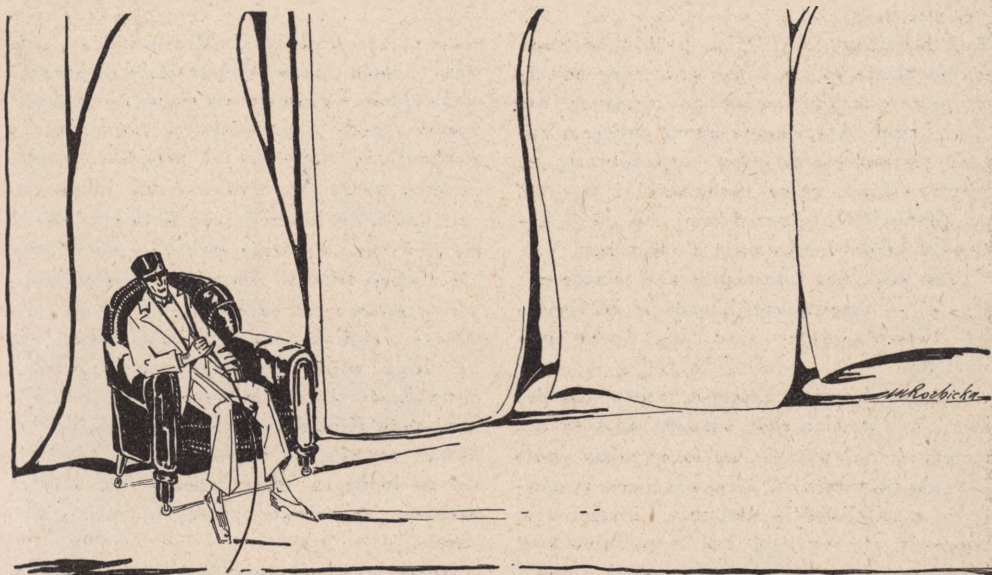
„A więc nie? Tak mi się zdawało, bo przecież zaraz po tym wypadku opuściła teatr, płacąc za to penale. Mówiono, a niektórzy byli tego nawet pewni, że z powodu Laertes-Tieffenbacha przyszło pomiędzy wami do gwałtownego starcia“.

„Brednie! Brednie!“

„Ale można było mieć wrażenie, że cię to przecież niepokoiło trochę. Mówiłeś... ale to były majaczenia“.

„Tylko majaczenia. Mój mózg przejął wszystko, co doszło go z tych wydarzeń, i wszystko to zmieszał razem. Dziękuję ci... ale nie wspominaj o tem, i wogóle byłoby najlepiej, byśmy już o tem nie mówili. O, duchu mego ojca, pójdź, by zakląć teraz demona, zwane-go alkoholem“.

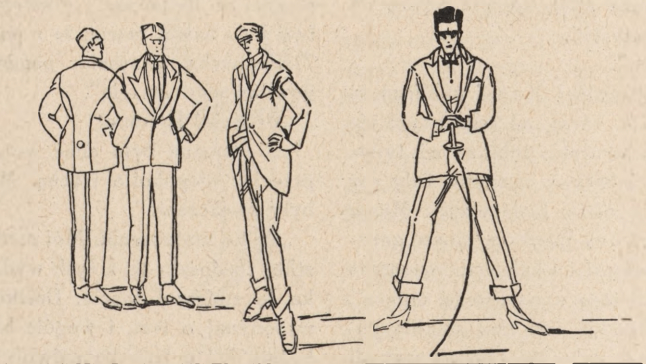
Ubrali się, przeszli obok uroczystie wyma-



O upół do szóstej wieczorem przyszedł przyjaciel Prinza G R Zastął Hamleta... ze szpadą w ręku, a wąska klinga zatoczyła półkole od gardy ku podłodze

lowanej gospodyni, wspaniale, jak królowie, a zamknąwszy się, jak spiskowcy, w tylnym pokoju pod „Niebieską małpicą“ zaklinali demona, zwanego alkoholem.

Do prób z „Hamleta“ zabrano się tym razem bardzo sumiennie. Prinz, który z zaciśniętymi ustami stał na scenie blady i stanowczy, bronił się przed każdym niechlujstwem, a wszystko drżało, by nie dożyć drugiego takiego wybuchu, jak na pierwszej próbie. Jednego z niedbałych statystów Prinz porwał i dwoma policzkami wypchnął za kulisy, gdzie biedak, jęcząc, padł u nóg Poloniusza. Statysta zaskarżył brutalnego Hamleta do sądu, ale inni strzegli się, aby niewłaściwym zachowaniem się na próbach nie wywoływać jego gniewu. Niemal niesamowicie, bez ruchu, jak



Niemal niesamowicie, bez ruchu, jak Gość Kamienny, stał Prinz pośród ogólnego przygnębienia swych kolegów

Gość Kamienny, stał Prinz pośród ogólnego przygnębienia swych kolegów, a lotne dowcipy pelzały zakneblowane po ciemnych kątach. Przed jego nieubłaganym obliczem zawsze niezawodne dowcipy rozpadały się na mizerne słowa, pełne skromności i strachu, jak gdyby stało tu przed nimi coś, czego doniosłość sięga daleko poza złudę sceny.

„Jak ktoś, kto inscenizuje swe własne egzekwie“ — szepnął król Klaudjusz do Gustawa Rietschla, który grać miał ducha ojca Hamleta.

Młody odtwórca Laertesa, który dopiero dwa lata był na scenie, ośmielił się postawić niebezpieczne pytanie, co to wypadek spotkał jego poprzednika. Ciekawość jego spotkała się z milkliwością Rietschla, musiał więc zadowolić się tem, co mu popołudniu król Klaudjusz powiedzieć mógł przy taroku, w formie urywanych plotek, barokowych ułamków, śmiałych przypuszczeń i złośliwych

przytyków. To, co tu usłyszał, podnieciło go i niby łaskotanie poczał odczuwać lubieżną rozkosz, że zajmuje miejsce, które przekłęta i uświęciła śmierć. Prinza ubrała jego wyobraźnia w pancerz niezwykłości i tajemniczości, a z jednego szeptem wypowiedzianego słowa wznosić się poczęły lubieżne rozkosze trwożnego wstrętu.

Miedzy dwoma turami król Klaudjusz pochylił się głęboko ku przodowi, aby Gildenstern, kibic, nie mógł go dosłyszeć: „Powiadają, ale musisz trzymać język za zębami, że wówczas nie był to przypadek, ale... no, jakby z zamiarem, bo Tieffenbach z ówczesną O-felją...”

Mocno zapowiedziany pagat altimo sprowadził króla Klaudjusza na inne tory, a młody Laertes musiał udać się na poszukiwa-

nia w zaczarowany las możliwości. Jego gorliwość i napięcie nerwowe wzrastały, im bardziej niezwykle wydawało mu się to, że ma skrzyżować szpady z prawdziwym mordercą. To wyobrażenie nęciło go jak przepaść, a sobie samemu poczuł się wydawać tak interesującym, jak ktoś, kto zmierzyć się ma z jakimś niesłychanym niebezpieczeństwem, niepojętem, ale dlatego właśnie tem większem i piękniejszym. Dlatego też odchodził wprost od zmysłów i wąpił o sprawiedliwości Bożej, gdy na dzień przed przedstawieniem zauważył symptomy ciężkiej grypy. I chociaż część swej gaży miesięcznej utopił w koniaku, gorączka zmusiła go popołudniu do położenia się do łóżka, a lekarz odebrał mu wszelką nadzieję na wielkie przeżycia jutrzejszego dnia.

Dyrektor i sekretarz teatru byli niemniej zrozpaczeni, przeklinali pogodę, która nie ma zadnych względów dla zmian repertuaru, i

tak samo uciekli się do koniaku. Przy piątym kieliszku sekretarz zaproponował obsadzić rolę Laertesa jednym z mniej wybitnych aktorów. Ale dyrektor rzucił mu w twarz swoje kontrargumenty: nigdy... nigdy... nigdy nie zgodzi się Prinz na obsadzenie Laertesa przez drugorzędną siłę. „On chce się przecież do pewnego stopnia zrehabilitować. Chce zająć i pokazać wszystko, co potrafi. To jest poprostu niemożliwe”. Ale przy siódmym kieliszku zabłysło wyjście z sytuacji w przedziwnej jasności. „Hildemann z Pragi na zastępcę”, krzyknął sekretarz, nawpół podniesiony w swym fotelu aksamitnym, i „Hildemann z Pragi” ryknął dyrektor.

Propozycję swą przedstawili Prinzowi, a ten skinął z ponurą miną hamletowego przyzwolenia.

„Hildemann z Pragi będzie dobry”, powiedział Gustaw Rietschl, uspakajając przyjaciela, którego ta zamiana zaniepokoiła. „Z Hildemannem nie trzeba będzie robić prób; on wie, co robi, a grał już z najlepszymi aktorami, możesz mu zawierzyć”. Hildemann zgodził się i obiecał stawić się we właściwym czasie, tuż przed widowiskiem, gdyż prędzej nie mógł.

W dniu przedstawienia Prinz kipiał od niepokoju. „A jednak chętnie odbyłbym był z nim próbę”, — powiedział wieczorem do szatnego, gdy ten przypasywał mu szpadę. Potem począł chodzić tam i sam po ciemnej scenie, spoglądając na pustą widownię i wracając nieustannie do przyjaciela, otulonego w zasłony ducha.

„Jestem

rozdrażniony; proszę cię, bądź przy mnie”.

„Nie dziw, że masz dziś treść...”

„Treść?... Mógłbym nieomal powiedzieć: strach... Djabli wiedzą... Czy Hildemann już przyjechał?”

„Nie wiem. Ale pewnie jest już”.

I Prinz znów począł chodzić po scenie, wypełnionej jeszcze grozą rzeczy martwych, pomiędzy kurtyną a brzegiem terasy zamkowej Elzynoru, tam i z powrotem, jakby krokami swemi rozedrzyć chciał pęta samotnej męki. Strażnicy wyszli na scenę i oparli hablebardy o malowane wieże, aby podciągnąć cholewy u butów i poprawić kryzy u kłnierców, a Hamleta przejmowały dreszczem ich cienie, jakgdyby wypelzały one z jakiegoś nieznanego, tajemniczego świata. Ożywiona, wypełniona widownia, oczekiwanie zebranej publiczności nie napawały go tym razem pewnością siebie i nie ważył się nawet pytać o przyczynę niepokoju za kulisami, jakgdyby pełnego jakiegoś oczekiwania.

Sygnal rozpoczęcia postawił go na nogi i w nagłym przerażeniu począł teraz żałować tego, co się już odwołać nie dało. Pytanie, dlaczego zgodził się na to okrutne widowisko,



Hamlet ukazał się przed rampą i śmiertelnie błądzący, z drgającymi rękami, skłonił się przed rozentuzjasmowaną widownią

pełne niesamowitych wspomnień i krwawych postaci, nie dawało mu spokoju; ale miał nadzieję, że przyczyną rozpaczliwej bieżącej sceny była nieobecność Hildemana. Wtenczas przedstawienie nie mogłoby się odbyć, trzeba by je odwołać w ostatniej chwili, a wśród wszystkich strachów ukazywała mu się droga ocalenia.

m. R. R.

Ale po pierwszej scenie oczekiwał go za kulisami cień, który podszedł do niego.

„Pan Hildemann?”

„Pan Prinz?”

Ojciec Hamleta dowcipkował na temat spóźnienia.

„O, ja nie zawodzę. Gdy zapowiem przybycie, przychodzę napewno”.

„Może spróbujemy prędko ostatnią scenę?”

„Pojedynek? Nie potrzeba. Pan bije się dobrze, a zobaczy pan, że jestem tęgim przeciwnikiem. To się już jakoś zrobi...”

Leartes pożegnał się z Poloniuszem i Ofelią. Jego ostrzeżenie przed Hamletem było suche i kupieckie, a jednak dziwnie przejmujące. Potem znikł, a gdy Hamlet, którego gnał jakiś straszliwy niepokój, chciał go odszukać, nigdzie nie można go było znaleźć, jakgdyby naprawdę wyjechał był za nieprzebyte morza.

Drżąc, padała dusza Prinza na kolana w scenie z duchem ojca. To, co niepojęte i upiorne w tem tak dobrze znanem mu zdarzeniu, działało, jak trucizna na jego krew, aż znów pogonił za Hildemannem, lecz nie szumu w uszach, nieomal nie zemdlął.

Publiczność odpowiedziała dreszczem przeczcucia na strach Hamleta, wciśnięty w szranki sztuki. Miało się takie wrażenie, jakby się było przytomnym objawieniu jakichś mistycznych wydarzeń, jakiejś dziwnej symbiozie udania i rzeczywistości, a podniecenie przypisywano nie zrównanemu kunsztowi wykonawcy.

Hamlet ukazał się przed rampą i, śmiertelnie blady, z drgającymi rękami, skłonił się przed rozentuzjasmowaną widownią. Potem znów pogonił za Hildemannem, lecz nie mógł go nigdzie znaleźć.

Rietschl odrzucił w tył zasłony kostjumu i wyglądał teraz jak wódz beduinów. Pragnął uściskiem dłoni oddać przyjacielowi nieco z chłodnych skarbów swego pokoju. Ale Prinz schwycił go i niemal nie powalił.

„Słyszysz, słyszysz, to nie jest wcale Hildemann!”

„Też... A któżby to być mógł?...”

„To nie jest Hildemann. Znam go z portretów...”

„A ja znam go osobiście i powiadam ci, to jest Hildemann...”

„Na miłość boską, czy nie zauważyłeś, człowieku, jak z pod jego twarzy ciągle wyjrzeć usiłuje inna twarz? Zupełnie tak, jakgdyby były to dwie warstwy. Jedna twarz walczy z drugą i wypiera ją... ale ta w końcu zwycięży...”

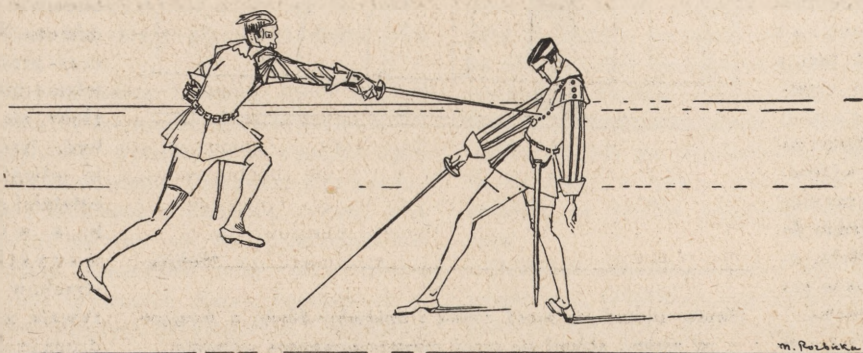
„A może ty ze strachu przed influencją za wiele wypileś koniaku?...”

„Na miłość boską! Czy nikt tego nie widzi?... Czy nikt nie widzi, że on mnie nienawidzi? W scenie z Ofelią... jak on zgrzytał zębami i przewracał oczyma, gdy mówił o Hamlecie. To nie gra, to prawdziwa nienawiść!... pod wszystkimi maskami... I gdzie on jest, gdzie się podziewa? Muszę go pociągnąć do odpowiedzialności”.

„Kochanku, nie przesadzaj”.

„Nie żartuj. Proszę cię, nie opuszczaj mnie, bądź w pobliżu. Wciąż blisko mnie. Powiem ci coś okropnego... ja... ja się boję”.

Rietschl począł się naprawdę obawiać, że przedstawienie skończy się cwałowaniem, i wzmógł wszystkie siły suggestywne swej przyjaźni. Pośród tępych zamyśleń, rozpaczliwej rezygnacji, nagłego zrywania się i nieobliczalnej drażliwości Prinz wykonywał rolę Hamleta. Dawał obraz skazańca, który z



grozy przed unicestwieniem próbuje ukryć się w sobie samym, by potem znów bić pięściami w ściany więzienia. Monolog „być albo nie być” chwiał się pomiędzy melancholiczną obojętnością a straszliwą gwałtownością; ostatecznie zdania wypowiedział Prinz z trudem i niewyraźnie, a zębami zagryzał wargi tak, że po ostatnich słowach dwa wąskie strumienie krwi pociekły po огоłonej brodzie. Tak okrutnie nie śmiał się nigdy jeszcze, tak pełna zgrzytów i dosadności nie była nigdy ironja tej sceny; była to cała kolekcja subtelnie wymyślonych narzędzi tortur, a publiczność rozplątywała się i odchodziła z zachwyty od zmysłów. Widzowie zostali porwani, wprost wciągnięci w akcję, i lubieżnie odczuwali mękę tego mózgu, podobnie jak zgrzyt pił w sali operacyjnej rozkosznie rozchodzi się po kościach pacjenta.

Lekarz teatralny przyszedł w przerwie na scenę i wciągnął Hamleta w kąty:

„Pan niszczy siebie. Co pan dziś wyrabia?”

Ale Prinz roześmiał się, grubiańsko odepchnął lekarza i w towarzystwie zrozczonego przyjaciela pobiegł szukać Hildemanna. Jego przerażenie podziało na resztę wykonawców, a przedstawienie poczęło przerastać złudę sceny, wznosząc się ku przeczuciu straszliwej jego doniosłości. Wzburzony we wszystkich swych głębiach, poemat drżał, a aktorzy patrzyli na siebie w przestrachu, jakgdyby teraz mieli poznać właściwy sens tego wszystkiego.

„Szukać, szukać” — — krzyczał Hamlet do inspicjenta, do reżysera, do szatnych, i wszyscy szukali Laertes, który gdzieś znikł.

Gdy nadeszła scena jego powrotu, w czwartym akcie, nagle zjawił się, wszedł na scenę i zimno, z kamiennym spokojem przyłączył się do akcji, jakgdyby nie zauważył, że wszyscy bali się stać przy nim. Omawiając z królem Klaudjuszem zabicie Hamleta, był spokojny i niewzruszony, lecz zarazem jakby ożywiony jakąś tajemną radością, jakgdyby coś dawno upragnionego miało się w końcu nieodwołalnie dokonać. Hamlet, wsparty na swym przyjacielu, z naprężeniem przysłuchiwał się za kulisami wszystkim tajnikom zamachu, a miało się wrażenie, że musiał się z nim zmagać jak z nowymi dla niego i nieoczekiwanymi wieściami. Jego niepokój przywalała teraz jakaś wielka ociężałość i znieruchomość.



Prinz chwycił przyjaciela za ramię i przysunął jego twarz do swojej: „To było umyślne morderstwo!”

miła go w leniwy, groźny kolos, błyskający małemi, okrutnemi oczkami. Lecz akcja posuwała się niepowstrzymanie naprzód i falą szła przez wszystkie opóźnienia, które Hamlet próbował wynaleźć w antraktach. Przedłużono przerwę, on zaś używał jej jak daru z łaski, chodząc tam i sam z przyjacielem pomiędzy grobami, które ustawiono do następnej sceny.

Na cmentarzu, nad grobem Ofelji, Hamlet i Laertes zwarli się ze sobą. Było to zderzenie, które wzburzyło publiczność; z przerażającą powagą rozpoczęło się zmaganie w otwartym grobie, walka, z której Hamlet wyszedł z pustemi oczami i chwiejąc się na nogach.

Aplauz widowni stłumił przestrach, ale tylko Laertes zjawił się na scenie, z długimi, dziwnie bezwładnemi ramionami i uśmiechem, który wydawał się zupełnie niewłaściwym i niesamowitym, gdy tymczasem za sceną Hamlet obejmował kurczowo swego przyjaciela.

„To jest śmierć” — wyrzucił — „to jest śmierć”.

„Głupstwo; wytrzymaj, wnet się skończy”.

„Wnet się skończy... tak, bo to jest śmierć”.

Schwycił mnie i nie puścił ani na chwilę. Czy nie widziałeś, jak jego druga twarz nagle wychyliła się, a gdy mnie ścisnął, czułem... czułem... że on nie oddycha. On nie oddycha, człowieku!

„Będziesz potem musiał położyć się zaraz do łóżka. Ty masz gorączkę. Zawieź cię to kosztuje. Wspomnienie jest jeszcze zbyt silne...”

„Ono ożyło znów, ono mnie zabija. Ten Laertes zabije mnie. Nie wyjdę więcej na scenę...”

Dyrektor i reżyser pokonali jego opór i wypchnęli Hamleta na scenę.

„Panie Prinz!” — zawołał inspicjent.

„Zaraz”.

Prinz schwycił przyjaciela za ramię i przysunął jego twarz do swojej.

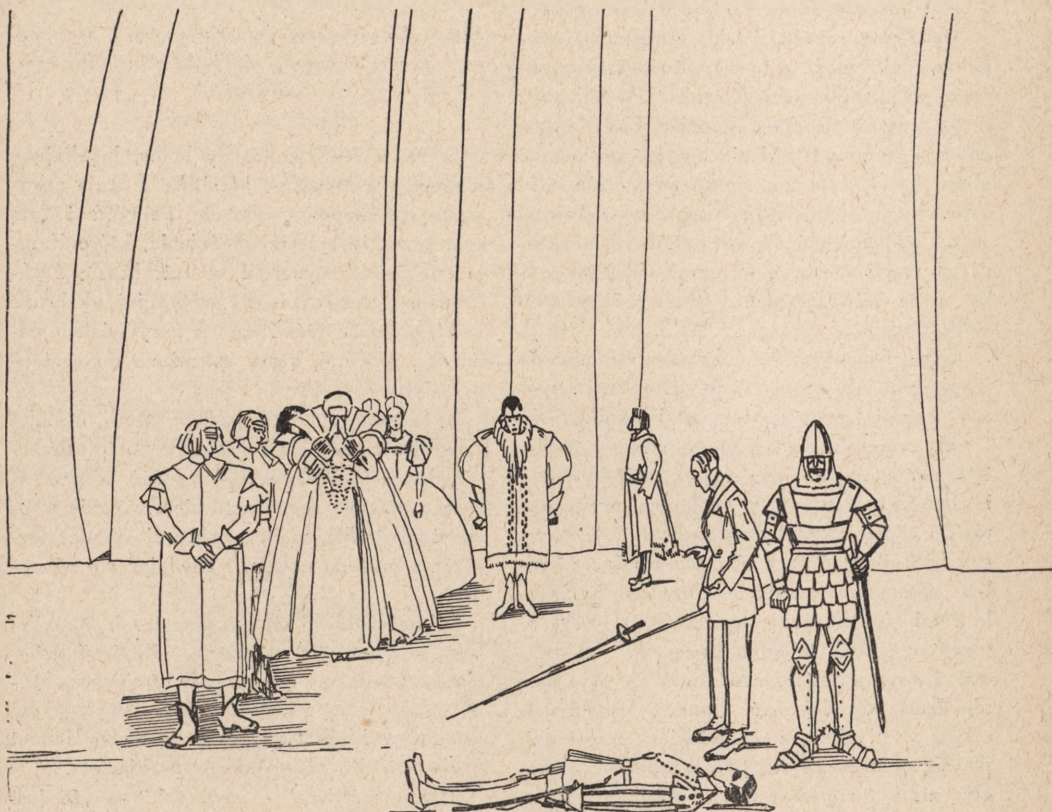
„Muszę ci powiedzieć, zanim pójdę. Ktoś musi to wiedzieć. To nie był przypadek. To

było umyślne... morderstwo. Laertes został zamordowany, a ja go zabiłem”.

„Panie Prinz!”

„Idę”.

I Hamlet podszedł do Horacja w sali pojedynkowej. Laertes stał w pobliżu, gdzieś między kulisami, czekając na drwiny Hamleta. Nie widziano go, ale wszyscy wiedzieli, że jest tu, i że niema siły, która przeszkodziłaby mu wejść na scenę. Wyprowadzony z równowagi przerażeniem przyjaciela i jego wyznaniem, Rietschl nie ważył się szukać Laertes a i patrzył tylko, jak się akcja wlecze na scenie, zaś słowa Hamleta płynęły z ociąganiem, z troską o krótkie choćby opóźnienie. Król Klaudjusz wykonywał swe wyraziste, zdenerwowane gesty nieomal pod nosem lekarza teatralnego, potem i jego wir akcji porwał na scenę, gdzie drżało dziwne napięcie, czekając na chwilę odprężenia.



Stojący za Rietschlem dwaj strażacy czynili półgłosem uwagi: „Ten Hamlet, ten ci gra dzisiaj, proszę siadać”.

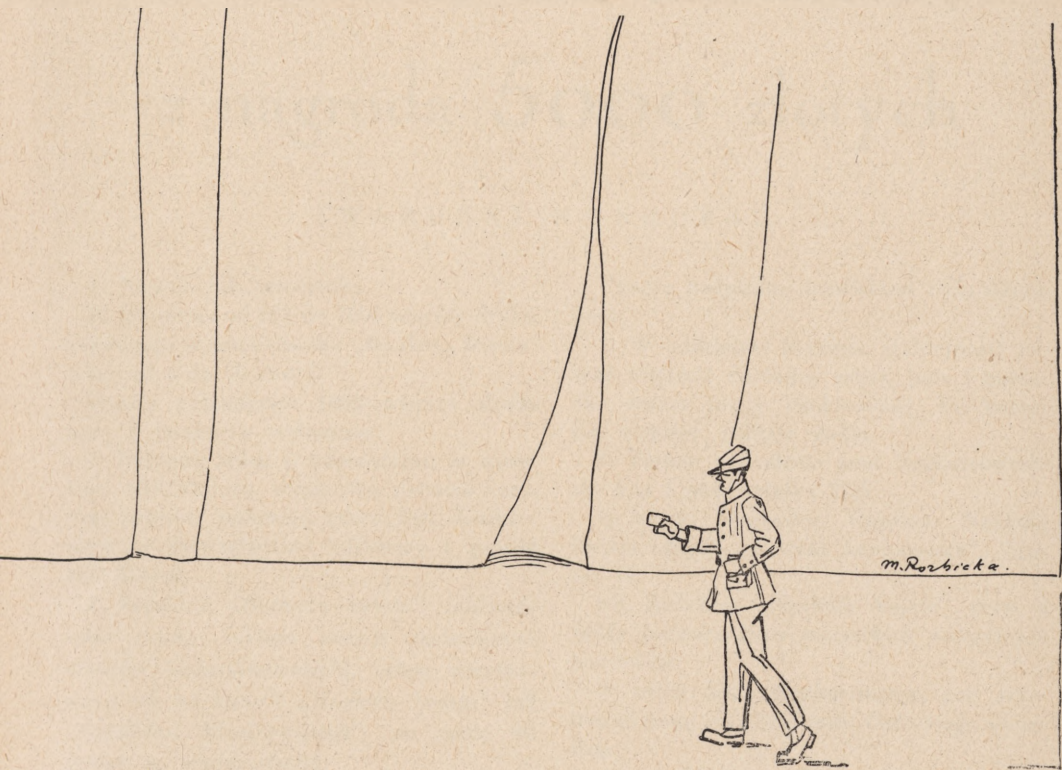
„O, ten gra... jakby na śmierć i życie”.

Nagle Laertes stanął pomiędzy aktorami na scenie. Rietschl widział, jak się wszyscy zwrócili ku niemu, przyciągani a zarazem odpychani, i jak potem starali się mimowoli zgromadzić dokoła Hamleta, niby dokoła przeciwnego bieguna. Wiązania dramatu zachwiały się, jak wieża pod naporem burzy, nie grożąc zawaleniem, dostatecznie jednak, by dało się czuć drżenie budowli. Laertes stał wśród dworzan, smukły, gibki, uśmiechnięty, i nawet Rietschlowi wydało się teraz, że to nie może być Hildemann. Znacząco bawił się klingą i giętkość jej skręcał w fantastyczne linje, które przez chwilę trwały na powietrzu jak znaki.

Walka rozpoczęła się. Klingi odnajdywały

się i wiązały ze sobą, syczały jak węże i spotykały się w gwałtownych wypadach. Były to gibkie i zdradzieckie, czyhające i brutalne, żywe istoty, które zmagają się ze sobą nad brzegiem przepaści. Walka przeciągała się długo ponad trwanie zwykłej gry, a gdy reżyser zaczął coś rozpaczliwie szeptać do Fortynbrasa, Rietschl ujrzał z przerażeniem, że Hamlet musi się bronić naprawdę, a Laertes z dzikim ogniem napiera nań w wypadach. Dokoła tej walki potworzyły się grupy widzów, których mimowiedna mimika wyrażała prawdziwe przerażenie, a nawet martwe masy statystów nabrały życia.

Wtenczas Rietschl ujrzał, że Laertes podwójnem pchnięciem dotknął piersi Hamleta i z uśmiechem, spokojnie wyciągnął ostrze. Hamlet rzucił się, wspiał się w górę, chwycił się za gardło i upadł wtył. Skurczonemi pal-



cami sięgnął ku sukni królowej i, rzućąc, przewrócił się na bok.

„Kurtyna, kurtyna!” — krzyczał reżyser; lekarz teatralny omal nie stratował Rietschla i przypadł do leżącego. Gdy reżyser przed kurtyną rzucał w niespokojny pomruk publiczności słowa o drobnym, pożalowania godnym wypadku i prosił o spokojne opuszczenie widowni, lekarz badał ciało ofiary.

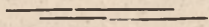
Hamlet nie żył.

„Laertes, Laertes... gdzie jest Hildemann?” krzyczał dyrektor, a komisarz policji pobiegł, aby go szukać.

Ale Laertes znikł.

Koło zawodzących kobiet i oniemiałych mężczyzn przerwał listonosz z telegramem do dyrektora. Depesza zawierała dziwną wiadomość. Pociąg, którym Hildemann przybyć chciał na wieczorne przedstawienie, w połowie drogi uległ wypadkowi skutkiem pęknięcia szyn. Było dwu zabitych i kilku ciężko rannych. A gdy na najbliższej stacji stwierdzono identyczność ofiar, naczelnik pośpieszył zawiadomić dyrekcję, by nieobecność Hildemanna zechciała usprawiedliwić jego śmiercią.

Tłum. Wilam Horzyca.



REDAKCJA NAOKOŁO ŚWIATA

O G Ł A S Z A

W I E L K I K O N K U R S

na nowelę lub humoreskę
z nagrodą 5000 złotych

WARUNKI KONKURSU:

- 1) Nowela lub humoreska.
- 2) Objętość: od 600 do 1000 wierszy druku, używanego w miesięczniku „Naokoło Świata” (czyli od 6 do 10 stron).

Utwory przynoszące 1000 wierszy druku będą z konkursu wyłączone.

- 3) Nagroda jedna i niepodzielna, w wysokości 5000 złotych, wypłacona zostanie autorowi utworu, uznanego przez Sąd Konkursowy za bezwzględnie najlepszy z pośród nadesłanych.

4) Redakcja „Naokoło Świata” zastrzega sobie prawo zakupu innych nadesłanych utworów (nienagrodzonych), celem zużycowania ich na łamach „Naokoło Świata” lub „Tygodnika Ilustrowanego”, po cenie 50 groszy za wiersz druku.

5) Nadsyłane na konkurs utwory muszą być pisane na maszynie.

6) Należy je opatrzyć dowolnie obranem przez autora godłem.

Utwory podpisane nazwiskiem będą odrzucone.

7) W oddzielnej kopercie (zaklejonej) należy umieścić dokładny adres, imię i nazwisko autora pracy konkursowej. Na kopercie wypisać jedynie godło.

8) Termin nadsyłania prac konkursowych: do dnia 1 października 1925 r.

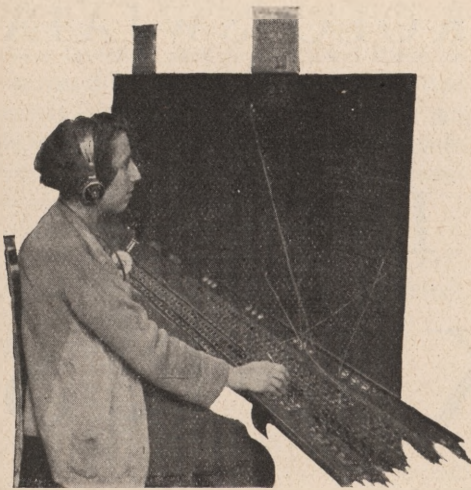
9) Adres: Warszawa, Redakcja Naokoło Świata, dział: „Nowela konkursowa”. Zgoda 12.

10) Redakcja „Naokoło Świata” prosi o ścisłe przestrzeganie wszystkich powyższych warunków.

W skład Sądu Konkursowego, pod przewodnictwem red. Zdzisława Dębickiego wchodzi:

pp. red. Ferdynand Goetel, Wilam Horzyca, Karol Irzykowski, Adam Zagórski i Władysław Zawistowski.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w grudniowym zeszycie „Naokoło Świata”.



(fol. J. Ryś)

„Telephone Review” podaje utarte zwyczajem zdania, używane w różnych krajach, przy łączeniu się abonentów ze stacją. W Anglii np. telefonistka, zazwyczaj uprzejma, odpowiada: „Przepraszam, numer jest zajęty”. W Szwecji telefonistka mówi przede-

H a l l o -- h a l l o !

wszystkiem swój numer służbowy. W Paryżu odpowiada „Słucham”. W Szwajcarii, gdy linja jest zajęta, słyszy się: „Numer nie odpowiada”. W Japonii telefonistka zaczyna od dwukrotnego pozdrowienia: „moski, moski” poczem woła: „nulaan numer”. W Ameryce wreszcie stacja odzywa się: „Proszę o numer”, a abonent wywołuje go pojedynczymi cyframi np. jeden, pięć, siedem, dwa.

Z. K.

Wyniki pierwszego konkursu Naokoło Świata

Pytanie I: Jaka oczywista omyłka wkra-
dła się do jednego z utworów, znajdujących
się w numerze 10 Naokoło Świata i kto jest
jej autorem?

Odpowiedź I: W noweli Piotra Choynow-
skiego p. t. „Pogotowie ratunkowe”, ilustro-
wanej przez p. Kamila Mackiewicza, dwie
pierwsze ilustracje przedstawiają krajobraz
zimowy, chociaż jak to z treści wynika,
(pierwsze zdanie noweli) akcja rozgrywa się
latem.

Autorem omyłki jest K. Mackiewicz.

Pytanie II: „Jaka będzie przybliżona ilość
trafnych odpowiedzi na pytanie pierwsze?”

Odpowiedź II: Wynik. Trafnych odpo-
wiedzi na pytanie pierwsze nadesłano do
dnia 30.IV włącznie: 65.

Wobec czego sąd konkursowy w składzie:
pp.: J. Gebethnera, W. Husarskiego, J. Kotwi-
cza, J. Moszyńskiego, zastępcy redaktora

Naokoło Świata i A. Nalepińskiej na po-
siedzeniu odbytem w redakcji Naokoło Świa-
ta dnia I.V o godzinie 15-ej, przyznał na-
grode w postaci radio-stacji odbiorczej pa-
nu *Józefowi Centnerszwerowi* (godło: *Veni, vidi,
vici*) z Warszawy — Leszno 13, którego od-
powiedź na pytanie drugie brzmi:

„Przybliżona ilość trafnych odpowiedzi na
pytanie pierwsze będzie 65”.

O wynikach niniejszego konkursu spisany
został protokół, podpisany przez sąd kon-
kursowy.

Koperty zaopatrzone w godła, dołączane
przez uczestników konkursu, zawierające
ich nazwiska i adresy, pozostają w stanie
nienaruszonym w archiwum redakcji.

Redakcja Naokoło Świata prosi zwycięzcę
konkursu kwietniowego o przybycie do re-
dakcji w godzinach przyjęć celem otrzymania nagrody.

Olbrzymi akwedukt przez pustynię

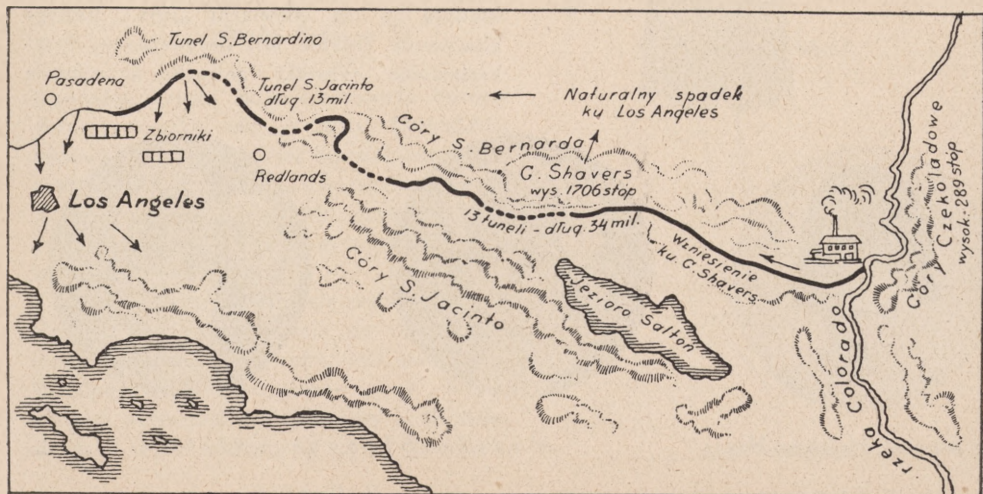
Mała osada, założona w swoim czasie przez hiszpańskich zdobywców pod poetyczną nazwą „Madonny Anielskiej”, jest tem ogromnem o milionowej ludności miastem, które znamy obecnie, jako Los Angeles w Kalifornji. Jedną z największych trosk tego bogatego miasta była zawsze chęć posiadania dużej ilości dobrej wody. W początkach swego istnienia osada używała wody z kilku małych strumyków, płynących na krańcach północno-zachodnich miasta. W miarę atoli nowego rozrostu ostatnie było zmuszone zbudować akwedukt na długości 250 mil angielskich celem sprowadzenia dobrej wody z wyżyn Górnej Sierry. Koszt tych robót wyniósł wtedy 25 milionów dolarów i choć od tej pory upłynęło zaledwie lat dziewiętnaście, już rosnące jak na drożdżach miasto uznaje potrzebę wykonania nowej serji robót, dla doprowadzenia w swą dolinę potoków rzeki Colorado. Ten nowy akwedukt, ciągnący się przez 300 mil ang. spalonej i bezpłodnej pustyni, będzie przedstawiał przy budowie trudności o wiele większe niż poprzedni.

Początek jego będzie pewno leżał w bli-

skości tak zwanych Gór Czekoladowych, w miejscowości skalistej, dzikiej i odludnej. Tam wodę trzeba będzie podnieść na wysokość 1400 stóp i przejść w ten sposób grzbiet górski. Stamtąd linja wodna pójdzie zboczem gór Ś-go Bernarda, i częściowo pod całym szeregiem drobnych tuneli łącznej długości 34 mil — aż na odległości 60 mil Shavers Summit spotka główny tunel Ś-go Jacentego, długości trzynastu mil. Stąd kierując się na północny zachód, akwedukt będzie napełniać ogromne rezerwoary, zaopatrujące w wodę Los Angeles i pobliskie miasteczka. Kosztowna i trudna ta impreza będzie wymagać ogółem zbudowania około 60 mil ang. tunelu, nie mówiąc już o niełatwym zadaniu podniesienia wody na przeszło 1400 stóp.

Wody rzeki Colorado są znane w całej Ameryce ze swego brudnego i mętnego wyglądu. Zawierają one ogromną ilość mułu i substancyj postronnych. Oczywiście jest rzeczą, iż przed oddaniem wody z tego źródła do użytku, będzie ona należycie oczyszczona.

Z. K.



Świat kobiecy

(Korespondencja własna „Naokoło Świata”).

Paryż, w kwietniu

O modzie wiosennej. — Dwoista postać sukien. — Kapelusze. — Wizyta u Antoine'a i u Redferna.

Nastąpiło już w całej pełni „objawienie” mody wiosennej. Stała ona przed nami bez hałasu, bez krzyczącej reklamy, jak to czasami dawniej czyniła, lecz ufna w swoje piękno i racjonalną prostotę.

Dla profanów, którzy powierzchownie tylko na nią spoglądają, żadnej zasadniczej zmiany nie przynosi, lecz gdy uważnie się zanalizuje jej szczegóły, wyłania się mnóstwo charakterystycznych cech, wpływających na jej ewolucję i prowadzących ku ustaleniu nowej linii.

Od paru lat, na innych całkiem zasadach oparta jest twórczość pierwszorzędných pracowni, które są zarazem kolebką Mody, jak i artystycznym warształem, gdzie subtelne dłuto modeluje jej kształty: nieśmiałe podszepity zastąpiły tu bowiem radykalne zmiany. Krawcy, bardzo taktownie, pragną się w ten sposób liczyć z opinią klientów i nakładają na nią cbowiązki „jury”, którego głosowanie jedynie jest decydującem. Przekształcenie sylwetki natrafiło na niemałe



Model Redferna Nr. 3



Model pracowni Madeleine May

fol. M. Talma



Modele Blanche Carlette

fol. H. Manuel





Model Redferna Nr. 1

trudności. Prosta linia zjednywała bowiem dotąd wszystkie niemal głosy. Oczywiście, odpowiada ona wybornie upodobaniom elegantki: nadzwyczaj; odmładza, wydłuża i uwypatnia zgrabną figurę, ale przecież modą przestałaby być wierna sobie, gdyby już ostatecznie się ustaliła!

Zeszłej wiosny dawała się wyczuwać, głównie u Poiret'a, tendencja do zaznaczenia wysokiego stanu, *Directoire*, lecz nie zyskała odpowiedniej ilości głosów „jury”. Krawcy więc zaniechali naglej zmiany w tej dziedzinie i stan nieznacznie tylko podnieśli,

ustanawiając go o jakie pięć centymetrów poniżej normy.

Spódniczki są coraz krótsze: pozostawiają między ziemią a obrębką odległość jakich 35-ciu centymetrów. To jednak, co ujmujemy długości, dodajemy szerokości. W tej to dziedzinie leży zasadnicza zmiana, która zadaje śmiertelny cios prostej linii, daleko poważniej, niż to uczyniły wieczorowe suknie stylowe, inspirowane przez XVIII wiek i epokę Drugiego Cesarstwa, które w ostatnich latach cieszyły się tak wielkiem powodzeniem. Były one tylko dywersją, nie przyno-



Mode Redferna Nr 2



fot. Transatlantic

Damski kostjum „Smoking“

szącą bynajmniej ująć ściśle prostej linii, do której nie przestawały się stosować ranne i popołudniowe stroje. Lecz i tu unikamy starannie stanowczego kroku. Szerokość we wszystkich niemal kolekcjach daje się zaznaczyć wyłącznie z przodu, nadając w ten sposób dwoistą postać jednej i tej samej sukni. Poczynając od stanu (raczej od pięciu centymetrów niżej stanu), kroi się suknią ukośnie, co wytwarza kształt t. zw. „cloche“, przy zachowaniu z tyłu prostej i obcisłej linii. Haft upiększa ją również wyłącznie z przodu. Jedynym naruszeniem jednolitości na plecach bywa luźnie związana szarfa, lub obszerniejszy owalny dekolty, który tworzy najwięcej uroczą, naturalną ozdobę.

Ciężkie, atlasowe tkaniny poszły w ką. Niech żyją muśliny w kwiaty i jedwabne koronki, których cienutkie poprzekładane warstwy, w trójkąt skrojone, czynią wrażenie płatków.

Kostjumy, przeznaczone do *footing'u*, są ściśle męskiego kroju. Zrobione zaś bywają z jedwabnego repsu i tworzą t. zw. „ensembles“, które się składają z bardzo elegancznej sukienki i wykwintnego płaszczyka lub żakiecika. Rękawy spotykamy krótkie lub długie, szerokie, kształtu „pagode“ lub też nader obcisłe; bywają również i „trois-quarts“, w tym wypadku zakończone szeroką falbaną, jak stroje pięknych markiz XVIII wieku.

Co do kapeluszy, cieszą się obecnie powodzeniem drobniutkie foremki z filcu, angielskie



fot. Carl Fernstädt

Model amerykański sukni wiosennej



fot. J. Graudenz

Kapelusz „panama” ozdobiony kwiatami



fot. Carl Fernstädt

Moda amerykańska: kapelusz słomkowy koloru brązowego



fot. J. Graudenz

Kapelusz ze słomy i wstążek

skiej lub jedwabnej słomy, ozdobione kwiatami, których się już nie stylizuje, a które się bardzo zbliżają do natury.

Docieram do pałacej kwestji — fryzury. Pytają mnie ze wszystkich stron: „Czy modne są w dalszym ciągu krótkie włosy?” Aby odpowiedzieć na to pytanie, zasięgnęłam zdania naszego rodaka, Antoine’a (Cierplikowskiego), artysty fryzjera, który obecnie jest wyrocznią w tej kwestji.

Udałam się więc do luksusowej dzielnicy Madeleine-Rivoli, siedziby paru pierwszorzędných krawców: Lanvin, Patou, Redfern i in. Tam właśnie mieści się pracownia Antoine’a. Kładę nacisk na ten wyraz „pracownia”, gdyż Antoine, z zawodu rzeźbiarz, jak szczerzy artysta, modeluje niemal włosy najpiękniejszych kobiet Paryża. Pogardza szablonową ondulacją, banalizującą każdą ładną główkę. „Panie tak uczesane, wyglądają jak bolszewiczki” — powiada. Posługuje się natomiast ondulacją t. zw. wodną, która tworzy „mouvement”, przypominający naturalne fale. Układając włosy, Antoine stosuje się do kształtu

głowy, oczu, owalu twarzy i rysów. Jest w dalszym ciągu zwolennikiem obcinania włosów. Przedział najczęściej umieszcza daleko na boku, lecz paniom, które sobie upodobały uczesanie o odkrytem czole, nie sprzeciwia się bynajmniej, owszem, nikt bardziej, niż on, nie namawia do uczesania indywidualnego. Czytelniczki zwróć uwagę na dwie fotografie fryzur Antoine’a: pierwsza (Nr. 1), na pozór bardzo prosta, wymaga jednak



Nr. 1



Nr. 2

Uczesania Antoine’a

mistrzowskiego wykończenia. Druga zaś (Nr. 2), o włosach zlekka ondulowanych wyłącznie na bokach, jest nadzwyczaj twarzowa.

Na zakończenie, załączam parę modeli kreacji Redfern’a, którego kolekcja łączy w sobie przepych i dyskretny smak.

Redfern jest dostawcą wszystkich niemal dworów europejskich. Przy mnie zamawiała sobie kostjum dama dworu królowej angielskiej. — Królowa Marja rumuńska jest dawną jego klientką, ofiarowała mu nawet dużą fotografię z własnoręcznym, dziękczynnym napisem.

Parisetle.

ten ryse

na



szewskiej storcie

ta pani

tańczy
do opadłego



mamusia
ma cały dom w głowie

temo się pali

ziemia pot nogami

a temo' knof opa
dajom
rence



tego to każdy nabiera
jak chce



Wiem to po
miatajomy



t n i k a

Fredzia

Rys. Grus

pano dyrektorowi to



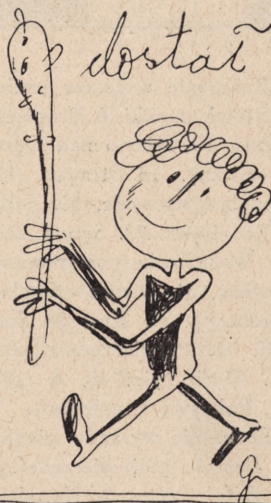
szyszy Radna

ten poeta spocroł
na
laurach



edzio dostał

patę

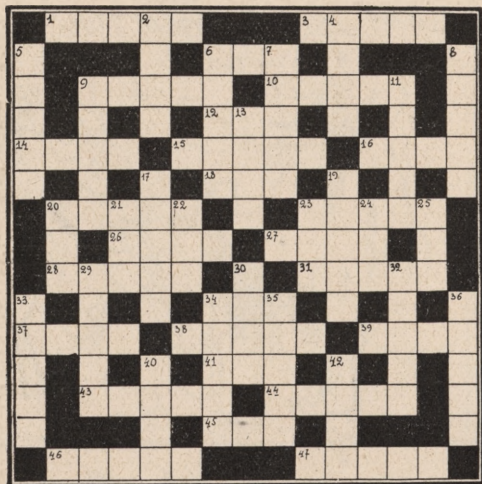


Rozrywki umysłowe

7. KRZYŻÓWKA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Wyrazy w krzyżówkach, które należy odgadnąć, czytają się w dwóch kierunkach — z lewej strony ku prawej (wyrazy poziome) oraz z góry do dołu (wyrazy pionowe), przy czym każde słowo zawarte jest między czarnymi kwadratami, względnie między jedną z czterech linii bocznych krzyżówki a czarnym kwadratem, lub odwrotnie.



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Świerk 3. Statek morski. 6. Drapieżny ptak. 9. Dziewczyna. 10. Miasto nad Odrą. 12. Pierwiastek chemiczny. 14. Stragan. 15. Ciemność. 16. Ozdobne naczynie. 18. Zakaźna choroba. 20. Lilja nilowa. 23. Synod. 26. Miejsce postoju. 27. Wskazówka postępowania. 28. Miasto nad Bugiem. 31. Owoce czekoladowe. 34. Termin szachowy. 37. Kur. 38. Rodzaj artysty. 39. Cel. 41. Potwierdzenie. 43. Rodzaj wojaka. 44. Niech żyje! 45. A col.. 46. Marynarka. 47. Pokrywa w pompach.

Znaczenie wyrazów pionowych: 2. Wulkan. 4. Drzewo pici mieszanej. 5. Zmyślny ptak. 6. Bożek leśny. 7. Narodowość. 8. Ciężarek

do kosztowności. 9. Słuszne żądanie. 11. Muza pieśni miłosnych. 13. Napój z ryżu. 17. Typ zwierząt. 19. Ziomek. 20. Podrodzaj psa. 21. Prąd. 22. Chlorek sodu. 23. Torba. 24. Zbiornik. 25. Hiszpańskie rzeki. 29. Nakrycie. 30. Odmiana. 32. Miłość. 33. Rodzaj owadów. 34. Klub. 35. Dynia. 36. Aerostat. 40. Przełożony zakonników. 42. Figura.

Ułożył Jerzy Długi.

8. ZAGADKA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Choć ciężka — jedzie i wozi ciężary.
Lecz niktby temu nie chciał dać wiary,
Że wnet się zmienia w cienką, długą rurę,
To znów na śmieszna, niezdarną figurę,
Skoro *ja* tylko siądę do takowej
Mając po bokach jej obie połowy...

Dr. Józef Kadyi.

9. UKŁADANKA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Z podanych części ułożyć rodzaj puharu.

Jot=Kot.

10. REBUS-SATYRA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).



Ułożył Gamaston.

UWAGA. Cztery zadania umieszczone w niniejszym zeszycie stanowią zakończenie konkursu drugiego; rozwiązania należy nadsyłać w terminie miesięcznym.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania Krzyżówki oraz Układanki zostaną

umieszczone na łamach „Naokoło Świata”.

Pozatem — przypominamy — wymagane jest nadsyłanie wraz z rozwiązaniami bieżącego kuponu, który w-g życzeń Czytelników dołączony jest do miesięcznika na oddzielnej karcie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ KONKURSU 2.

„Naokoło Świata” Nr. 10.

1. SZARADA.

Do-da-tek do Ty-go-dni-ka I-lu-stro-wa-ne-go.

2. PIRAMIDKA LITEROWA.

Atlantyda.

A
e T a
b u L l a
p o l A n i e
s z e r N o w i e
k o r T e z y
i z Y d a
o D a
A

3. LOGOGRYF.

H e l e n ó W
E s a u Ł
N i a g a r A
R o n s a r D
Y e n Y
K a p o s t a S
S p e c j a Ł
I t a l j A
E n g a ł y c z e W
N o t e S
K a r a T
I m b i R
E c a r t E
W ę g r Y
I b r a h i M
C e d r O
Z e n o N
i n t e r n a T

Henryk Sienkiewicz

i Władysław St. Reymont.

4. REBUS.

Zgoda i jedność prowadzą do potęgi, siły i fortuny; waśnie, gwałty i spory — do ruiny i upokorzeń.

5. REBUS.

Koza drze łozę, kozę — wilk, wilka — filister, a jego — minister.

„Naokoło Świata” Nr. 11.

Błędy, wynikłe z niewłaściwego określenia przez rozwiązujących postaci *Zgody* i *Fortuny* (w rebusie 4) oraz czynności *Wilka* (lub *Psa* — w rebusie 5), zostały uwzględnione w wypadkach trafnego uchwycenia treści rebusów. Oczywiście wyraźne błędy dyskwalifikowały całkowite rozwiązania, z których na specjalne wyróżnienie zasługuje twierdzenie p. Janiny F. — „*wilka doi filister!...*” Pan Antoni P. z Białegostoku wyczytał w rebusie aluzję do obecnej sytuacji w Polsce: „*Koza — to wieśniak, produkujący płody ziemi, wilk — to kupiec miejski, Filister — lichwiarz, a Minister — ktoś, jak nie Grabski?*” Przyznajemy słuszność i trzy punkty.

Osoby nagrodzone w *Konkursie I* raczą łaskawie nadesłać swe podobizny, celem umieszczenia na łamach „*Naokoło Świata*” w poddziale „*Rozrywek umysłowych*” p. t. „*Galerja laureatów naszego działu*”.

Zwolenników działu prosimy o nadsyłanie najrozmaitszych zadań z zachowaniem warunków oryginalności.

ODPOWIEDZI.

Wszystkim, którzy z okazji świąt Wielkanocnych nadesłali na ręce kierownika działu życzenia, składamy serdeczne dzięki.

Ks. Arlitewicz J. — Smardzewice. Zatrzymujemy i prosimy o nowe — więcej pomyślowe i trudne.

Pogorzelski C. — Warszawa. Jak wyżej. Co do rebusu — zła konstrukcja i wykonanie; rysować należy wyraźnie na białym czystym papierze i możliwie tuszem.

Jastrzębski S. — Wilno. Poprawkę uwzględniono. Zadanie arytmetyczne posiada dokładnie 234 rozwiązań, zatem ilość użytych punktów mogła tyle wynosić.

Jaworski R. — Lublin. Na podstęp odpowiadamy wspaniałomyślnie zaliczeniem wszystkich punktów.

Karbowski W. — Warszawa. Prosimy o materiał więcej oryginalny. Łamigłówkę krzyżową zatrzymujemy w tece.

Kowalewska J. — Warszawa. Jak niżej. Konikówka nie pójdzie.

Inż. Świecki W. — Kielce. Do rebusu z Nr. 6-go „*Naokoło Świata*” wkraśli się drukarskie niedokładności — i to tylko w części nakładu — zresztą przez wielu czytelników zrozumiale zlekceważonych.

Kraszewski W. — Wilno. Rebus wadliwie skonstruowany; powinno się przestrzymywać zasady — jaknajmniej liter.

Kurowski J. — Lwów. Dołączanie kwitów jest zbędne.

Nawrocka M. — Zakopane. Oklepane.

Pawlikowski S. — Warszawa. Szarada szwankuje w rytmie, pozatem treść już wyzyskana w jednym z tygodników.

Piotrowski A. — Warszawa. Sylabik?... Piekielna intryga!...

Tarło-Mariński W. — Wasilków. Zatrzymujemy w tece.

Zamoyska R. — Klemensów. W Nr. 10 zostały podane, zaś w Nr. 14 będą powtórzone warunki konkursu. Pozatem — lepiej późno jak nigdy!

Zwolennikom R. U. Na anonimy nie odpowiadamy.

Inż. Łypaczewski Ł. — Radom, Siedzieniewski H. — Warszawa, S. Z. — Radom, Richling W. — Warszawa. Uwzględniono.
J. K.

T r e ś ć N u m e r u 13-go

	<i>Str.</i>
<i>Konrad Wrzos:</i>	
Dzień premjera Grabskiego (Jak pracuje rząd) (11 ilustracyj)	5—30
<i>Ludwika Brod Plater:</i>	
W kraju Ibsena i Hamsuna (6 ilustracyj)	31—44
<i>Jan Wiktor:</i>	
Sąsiedzi (4 ilustr. K. Sopočki)	45—52
<i>Czesław Jankowski:</i>	
Na tamtym brzegu (9 ilustracyj)	53—66
<i>Jan Strzelecki:</i>	
Przewrót w sztuce kinematograficznej (4 ilustracje)	67—72
<i>Inż. T. Niedzielski:</i>	
Wieczny kalendarz (dwie tablice)	73—76
<i>Feliks Teodorowicz:</i>	
Dziwy świata grzybowego (7 ilustr., wyk. Ciompa i Wierciak)	81—94
<i>Jerzy Bohdan Rychliński:</i>	
Mah-Jongg (ilustr. Łagowskiego)	95—118
<i>Kazimierz Kleniewski:</i>	
Nad Rio de la Plata (12 ilustracyj i dwa kartony)	119—150
<i>Inż. Roman Podolski:</i>	
Biały węgiel (12 ilustracyj)	151—174
<i>N.:</i>	
Dziesięć wynalazków przyszłości (10 ilustracyj)	175—180
<i>Jerzy Kuszelewski:</i>	
Krażowniki lądowe (czołgi) (13 ilustracyj)	181—192
<i>Karol Jan Strobl:</i>	
Laertes (9 ilustr. M. Rozbickiej)	193—212
Warunki konkursu	213—214
Hallo=hallo (1 ilustr.)	215—216
Wyniki konkursu kwietniowego	215—216
<i>Z. K.:</i>	
Olbrzymi akweduk przez pustynię (1 mapka)	217—218
<i>Parisette</i>	
Świat kobiecy (13 ilustracyj)	219—226
Z teki humorysty (rys. Grus)	227—230
Rozrywki umysłowe (3 ilustr.)	231—236

„JULJUSZ SŁOWACKI”

MONOGRAFJA PROF. J. KLEINERA

Tom III

Ponieważ osoby, posiadające t. I i II monografji prof. J. Klei-
nera o Słowackim w wydaniu drugim lub trzecim, dopytują
się często o t. III, zwracamy uwagę, że tom ten, obejmujący

„OKRES BENIOWSKIEGO”

wyszedł nakładem księgarń GEBETHNERA I WOLFFA
i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Sześć tygodni we Francji

STUDJA I WYCIECZKI

Po raz pierwszy zorganizowano w paryskim uniwersytecie, podczas wakacyj letnich, kurs wszelkich studiów francuskich. Rozróżnia się dwa periody: pierwszy, od 11/VIII—9/VIII, obejmujący studia przygotowawcze oraz jednogodzinne lekcje fonetyki, udzielane przez dyrektora Instytutu Fonetycznego w paryskim uniwersytecie — dwugodzinne odczyty praktyczne (lek-tura, gramatyka, konwersacja) urządzone przez poszczególne oddziały studujących. Popołudniu odbywają się konferencje na temat historii Francji, oraz rezultatów wizytacji Paryża.

Drugi, od 9/VIII — 23/VIII — obejmuje kurs wyższy pod kierownictwem najzdolniej-szych profesorów uniwersytetu i oddziału prawniczego. W 36 konferencjach (rano) omawia się kwestje rozwoju literatury, polityki, sztuki oraz stosunków ekonomicznych — po wojnie świato-wej. — Popołudniu znów zwiedza się dzisiejszy Paryż.

Podczas tych sześciu tygodni w Paryżu, organizuje się w każdą sobotę i niedzielę wy-cieczki celem zwiedzenia starych zabytków sztuki, co jest miłą rozrywką podczas mozolnych dni pracy.

Wreszcie podróż w małych grupach, pod kierownictwem profesorów, która prowadzi studujących podług ich wyboru do trzech części Francji: połudn., wschodn. i zachodn., stano-wi nader zachęcające zakończenie. Organizacja tej podróży może być objęta przez członków kursu uniwersyteckiego.

Kierownictwo kursu tego spoczywa w ręku HENRI GOY, dyrektora biura informacyj-nego — Bureau de Renseignements Scientifiques — Sorbonne — znanego już organizatora kur-sów cywilizacji francuskiej. Do niego też musi się zwrócić każdy, który pragnie otrzymać do-kładne informacje w tej sprawie.

FOSFATYNA FALIERA



znakomity pokarm, najbar-dziej polecany przez leka-rzy dla dzieci od 7-iu mie-sięcy, zwłaszcza w czasie odstawiania od piersi i w okresie rosnienia. Ułatwia żabłkowane i zapewnia praw-dytowy rozwój kości. Bar-dzo pożyteczny dla starców i rekonwalescentów.

Sprzedaj we wszystkich
aptekach
i składach aptecznych.

PARYŻ.

6, r. de la Tacherie



Angelus
PARFUMERIE-DISTILLERIE
 VARSOVIE STAROGARD (POMORZE)

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, po-
 łyskującą, skłoną do węgry i pryszczu
 oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych
 używać należy N^o 2.

TOW. AKC. *"Jr. Karpiński"*
 W WARSZAWIE

Quaker Oats

ORYGINALNE

AMERYKAŃSKIE

PŁATKI OWSIANE

NIEZMIERNIE POŻYWNE I LEKKO STRAWNE

DLA DZIECI, CHORYCH I REKONWALESCENTÓW

Przedstawicielstwo

Sp. Akc. LAMBERT & KRZYSIAK, Warszawa, Niecała Nr. 8

"MIMOZA-MOTOR"



WYTWORNE MYDŁO
 TOALETOWE

PERFUMERJA „MARQUISE DE SEVIGNY“

MYDŁO Z MONETA

WYTWÓRNI PERFUMERJI

„MARQUISE DE SEVIGNY“

najlepszego gatunku o bardzo mocnym i miłym zapachu

W każdy kawałek mydła włożona jest MONETA ZŁOTA, SREBRNA LUB BILON
następującej wartości:

Monety złote: 20 frank. franc., 10 frank. franc., 5 frank. franc.

Monety srebrne: 2 franki franc. i 1 frank. franc.

Bilon groszowy: 50 groszy, 20 gr., 10 gr. i 5 gr.

Żądać wszędzie. Wszelkie naśladownictwo prawem zastrzeżone

„KORONA“

poleca likiery pierwszorzędnej jakości

LA PRUNELLE

RÓŻANY ALLASCH

CHERRY BRANDY

CUKIERNIA

I FABRYKA CZEKOLADY I CUKRÓW

M. A. WĘGIERKIEWICZ

WARSZAWA, BODUENA Nr. 5. TELEFON 47-55

POLECA WŁASNE ZNANE ZE

SWEJ DOBROCI WYROBY